

Iwona MEJZA

WSZYSTKIE
GRZECHY
NIEBOSZCZYKA



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

CAŁKIEM
NIEŻYWY TRUP
I PEWNA KASJERKA

Iwona MEJZA

WSZYSTKIE
GRZECHY
NIEBOSZCZYKA



OFICYNKA
WYDAWNICTWO



Firma ubezpieczeniowa, w której wydarzyła się ta historia, jest firmą starą, znaną na południu naszego kraju i z tak zwanymi tradycjami. Na całe szczęście są od niej firmy dużo, dużo starsze i z jeszcze większymi tradycjami.

Jak wszystkie tego typu instytucje, zapewnia klientom rzetelność obsługi, wiarygodność, zaufanie i niezmienną od dwudziestu lat nazwę. Nawet po pierwszej szkodzie klienci wracają do niej, bo zdążyła wypracować sobie renomę. Wiedzą, że w razie czego zawsze dostaną parę złotych odszkodowania, a w najgorszym razie dobre słowo od likwidatorów. Rzesza klientów niewielkiego biura firmy jest obsługiwana przez kilkunastu znakomicie wykształconych, licencjonowanych agentów ubezpieczeniowych. Fachowcy pracujący w Bezpiecznej Przyszłości potrafią przekonać klientów, że tylko ich firma daje stuprocentową gwarancję wypłaty odszkodowania za niewygórowane składki. Im więcej zebranych składek, tym większy kapitał, agenci zaś są w tym naprawdę dobrzy. Likwidacja szkód jest coraz lepsza i raczej nie słychać skarg na jej temat. Księgowość zatrudnia specjalistów wysokich lotów, zwłaszcza tych od księgowości kreatywnej, a kierownik nawet nie udaje, że nad tym wszystkim jeszcze jakoś panuje.



Lato przebiegało dość spokojnie, agenci ubezpieczeniowi i pracownicy biurowi realizowali zaplanowane wcześniej urlopy, odpoczywali i marzyli o chłodniejszych dniach września. Powoli kończył się upalny, burzowy sierpień.

Była niedziela. Krople deszczu przetykane małymi jak paznokiec kulkami gradowymi, szarpane częstymi porywami wiatru bębniły w parapety okienne i szyby, potęgując grozę sytuacji. Burza trwała już ponad dwie godziny, tworząc nad miastem kocioł, i nie zamierzała odpuścić.

Bożenka Kryspin, kasjerka w Bezpiecznej Przyszłości, burzy bała się od dziecka. Mieszkała sama, bez rodziny, bez jakiegokolwiek zwierzęcia. Od lat na wielokrotne, czasami wręcz natrętne propozycje adoptowania jakiegoś słodkiego psiaka czy mruczącego śpiewnie kociaka odpowiadała, że nie po to utrzymuje mieszkanie w doskonałym porządku, żeby jej jakiś zwierzak sikał po kątach. Pod tym względem była nieugięta i nawet propozycja sprawienia sobie kanarka została przez nią odrzucona ze wstrętem.

Nie lubiła ptaków, płazów, gadów oraz większości stworzeń. Na widok myszy mdlała, a chomika nigdy w życiu nie wzięłaby do ręki; w końcu chomik to prawie to samo co mysz. Przynajmniej ona tak uważała. Prawdziwa maniaczka porządków! Teraz sama przed sobą, po cichutku trochę żałowała takiej rygorystycznej postawy, co kilka minut wstrząsana panicznym lękiem. Gdyby miała psa... takiego małego... malutkiego... przytuliłaby się... nie czułaby się taka samotna. Wiedziała, że z chwilą gdy burza odejdzie w inne rejony kraju, chęć posiadania psa przejdzie jej jak ręką odjął, ale teraz autentycznie się bała.

Mieszkanie po przeprowadzonym ostatnio generalnym remoncie stanowiło cel i radość życia Bożenki i nie zamierzała nic w nim zmieniać. Było spełnieniem jej marzeń o jasnej, wolnej od nadmiaru sprzętów przestrzeni.

Po burzy czekało ją jeszcze przygotowanie ciuchów do pracy, spakowanie torebki i przeczytanie chociażby kilku stron *Dziwnych losów Jane Eyre*. Uwielbiała romanse – te w książkach.

Od pierwszego dnia pracy w Bezpiecznej Przyszłości, zaraz po ukończeniu liceum ekonomicznego, osiemnaście lat temu, jej rytuał przygotowań na następny dzień prawie w ogóle się nie zmienił. Bożenka musiała mieć wybrane, wyprasowane i powieszona na drzwiach sypialni ubrania do pracy. W karnym szeregu pod lustrem w przedpokoju leżały torebka, odpowiednio dobrana do kostiumu (torebki to była mania i hobby Bożenki), dzień wcześniej przygotowane książki do biblioteki, buty do szewca, ubranie do krawieckich poprawek i tak dalej. A więc chodziło o wszystkie te rzeczy, które przeciętni ludzie załatwiają na ostatni moment. Wynikało to z jej charakteru – była wręcz chorobliwie dokładna i obowiązkowa (niewątpliwa zaleta w pracy) – oraz z tego, że jej mama robiła dokładnie tak samo. A skoro coś się sprawdzało u mamy, to i Bożence było z tym dobrze i nigdy nie przyszłoby jej do głowy zmieniać zwyczaje.

Tym razem na wieszaku zawisa słodka, romantyczna sukienka z białego płóciennika, ozdobiona ręcznie dzierganą koronką, podkreślająca tycjanowską urodę Bożenki i złotą opalenizną, tak nietypową u rudych kobiet. Skórzana torebka koloru wiosennej trawy z plecioną rączką, wykończona miękkim zamsem, oraz zielone klapki na koturnach tworzyły całość.

Poniedziałkowy ranek, po wieczornej burzy rześki, przebiegał identycznie jak większość poniedziałków Bożenki. Komórka śpiewnym tiki-taki postawiła ją na nogi. Bożenka automatycznie przedłużyła sobie spanie o piętnaście minut i otuliła się jedwabnym prześcieradłem. Za chwilę komórka znów nadawała swoje i nie było sensu dłużej leżeć. Łazienka u Bożenki nosiła wszelkie znamiona luksusu: kremowe granitowe płytki, wykończone antycznym szlaczkiem, lustro w złocistej oprawie i szafka łazienkowe z prawdziwego drewna, robione na zamówienie, dawały nieodzowny latem chłód i wprawiły Bożenkę w dobry nastrój.

Prysznic oraz mycie długich, gęstych, lekko sfalowanych włosów o barwie złocistej miedzi zawsze sprawiały Bożence przyjemność. Otulona w błękitny ręcznik i delikatny zapach Miss Dior zajęła się śniadaniem.

Kawa wsypana do ekspresu przed prysznicem zdążyła się już zaparzyć, pozostawało jeszcze przygotowanie śniadania. Bożenka i owszem, lubiła poczytać o dietach, ale tylko poczytać. Sama co rano potrzebowała solidnej porcji treściwego jedzenia, żadne płatki czy pieczywo chrupkie nie wchodziły w grę. Po wczorajszych przeżyciach Bożenka miała ochotę na solidną porcję jajecznicy na pomidorkach, boczku i szczypiorku, takiej z co najmniej dwóch dobrze ściętych jajek, do tego ze dwie kromeczki chleba i można zaczynać dzień.

Zapach kawy rozchodzący się po wypielęgnowanym mieszkaniu zawsze kojarzył jej się z aktywnością zawodową i dodawał energii. Czuła, że dzień pracy już się zaczął, chociaż tak naprawdę pracę zaczynała dopiero od ósmej.

Dokładnie o godzinie siódmej trzydzieści zamknęła za sobą drzwi mieszkania. Przekręciła klucze w solidnie wyglądających zamkach, poprawiła wycieraczkę z napisem „witamy” i zeszła na dół.

Mieszkała szczęśliwie na pierwszym piętrze. Ani za wysoko, ani za nisko. Lokalizacja też była idealna, wprawdzie budownictwo wielomieszkaniowe, ale były tylko dwa piętra i tylko dwa duże mieszkania na piętrze. Swojsko, przytulnie i nowoczesnie oraz blisko do pracy.

Bożenka z powodzeniem mogłaby wychodzić z domu za piętnaście ósma, a i tak byłaby przed czasem, ale ona lubiła tę ciszę zamkniętych jeszcze pomieszczeń. Bez kręcących się klientów i całej rzeszy jazgoczących kolegów i koleżanek. Z natury spokojna, wręcz flegmatyczna, upiornie dokładna i bardzo punktualna, Bożenka Kryspin była kasjerką prawie idealną, żyła pracą i praca była jej życiem. Trochę przed czterdzistką, nadal samotna. Nie miała powodzenia u mężczyzn, co dziwiło, wszak była bardzo atrakcyjną kobietą.

Trasę z mieszkania do pracy pokonała w dziesięć minut i prawie tego nie zauważyła. Ostatnio wyczerpały ją przejścia z robotnikami remontującymi ukochane mieszkanie. Bożence przez moment mignęło w głowie pytanie, jak by to było, gdyby te wszystkie rozmowy, decyzje i spory przejął na siebie jakiś mężczyzna. Oczywiście miły, sympatyczny, przystojny oraz zamożny. Ale tacy nie istnieją, a przynajmniej nie w twoim otoczeniu, otwórz oczy kobieto i szukaj kluczy – wewnętrzny głos rozsądku przywołał ją do porządku w trybie pilnym.

Była godzina dokładnie siódma czterdzieści dwie, gdy Bożenka otworzyła drzwi wejściowe, antywłamaniowe, zabezpieczone dookoła bolcami, metalową futryną i zamkiem atestowanym gerda. Przełożyła do lewej ręki torebkę i reklamówkę z butami do szewca. Zamknęła za sobą drzwi, w przedsiönku rozkodowała alarm i, ciężko oddychając z wysiłku, zaczęła wspinać się po schodach na pięterko do księgowości. Przystanąła na podeście oddzielającym parter od poddasza i zaczęła mozolić się z otwieraniem kłódek zamykających solidną kratę.

O ile całkiem niedawno udało się wywalczyć w centrali nowe, porządne drzwi wejściowe, to odczekać musiały jeszcze prośby biura o roletę antywłamaniową, oddzielającą parter od poddasza, oraz o monitoring. Na razie ozdobną kratę zabezpieczały dwie solidne kłódky, prawie zabytki z czasów, gdy Rosjanie tłumnie handlowali na pobliskim targowisku i sprzedawali wszystko, czego dusza zapagnie. Kłódky wprawdzie nie miały atestu, ale za to były grube, solidne i ciężkie do sforsowania nawet łomem.

Otworzywszy kratę, Bożenka weszła na przytulne biurowe poddasze i skierowała się prosto do drzwi księgowości. Daleko nie miała. Na dole informowano klientów: „Proszę państwa, księgowość oraz kasa na poddaszu, pierwsze drzwi po lewej stronie. Na pewno państwo traficie”.

Do nowego biura pracownicy przenieśli się dopiero dwa lata temu. Przedtem w wynajętych pomieszczeniach na piętrze starej, rozlatującej się już kamienicy gnieździłi się po pięć osób w maleńkich pokoikach. Papiery fruwały stale nad głowami, ale na starych śmieciach była bardzo przyjemna atmosfera.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności ponad dwa lata temu w spektakularny sposób zbankrutował znany w mieście przedsiębiorca i elegancka willa w stylu małego dworku szlacheckiego z dnia na dzień poszła pod młotek. Prezes Bezpiecznej Przyszłości nie czekał na nic, tylko od razu zgłosił się do przetargu. Oczywiście najpierw okazało się, że wierzyciele trochę za dużo sobie życzą, ale w czasie drugiego przetargu, po solidnym opuszczeniu z ceny willa została sprzedana Eugeniuszowi Darskiemu, założycielowi, właścicielowi i prezesowi firmy ubezpieczeniowej Bezpieczna Przyszłość.

Zatrudniona prawie natychmiast firma remontowo-budowlana przystosowała dół willi do obsługi klientów, tworząc w głównej sali coś na kształt półokrągłej, drewnianej ludy barowej z trzema stanowiskami pracy. Odpowiednio dużo miejsca przeznaczono na poczekalnię. Ściany obwieszono gablotami z ulotkami i reklamami produktów oraz rzędy jasnofioletowych fotelików zachęcały do czytania i spokojnego oczekiwania na swoją kolej.

Ania i Basia oraz agenci ubezpieczeniowi na zmianę dyżurowali za ladą, wystawiając polisy, drukując oferty i udzielając różnorodnych informacji. Na parterze wydzielono także jeden większy pokój

dla likwidacji szkód, jeden malutki dla windykacji i kantorek na druki, stare akta oraz zjedzenie śniadania. Na poddaszu umieszczono księgowość z kasą i akwizycję, a za załomkiem korytarza sekretariat i gabinet kierownika. Za gabinetem wybudowano nawet małą łazienkę, tylko i wyłącznie do dyspozycji kierownika biura. Wszystko pomalowano w firmowych fioletowo-zielonych, gęsto okraszonych złotem barwach, co robiło na klientach piorunujące wrażenie przepychu i solidnej dostojności.

Bożenka z westchnieniem ulgi pchnęła drzwi do księgowości. Wiedziała, że za chwilę usiądzie i spokojnie wejdzie w tryby poniedziałkowej pracy. Na biurku miała przygotowane szkody do wypłaty. Spodziewała się, że klienci za niespełna dwadzieścia minut zakłóćą błogi spokój pustych jeszcze o tej porze pomieszczeń. W pokoju było chłodno. Całe szczęście, że ostatni wychodzący pomyślał o ustawieniu klimatyzacji na maksimum.

Obladowana torebką i reklamówką z butami Bożenka podążyła ku pomieszczeniu kasowemu. Była to kłitka o wymiarach dwa na dwa i dwa i pół do góry, trochę ciasna, ale ona czuła się w niej bezpiecznie. Otworzyła pomieszczenie, na krześle postawiła torebkę. Pochyliła się, chcąc wygodnie ułożyć reklamówkę z butami pod ogromnym, zajmującym całą szerokość kasy biurkiem. Natrafiwszy na nieoczekiwaną przeszkodę, schyliła się nieco niżej i zamarła zgięta wpół w stanie głębokiego szoku.

Pod jej ukochanym biurkiem pólleżał, pól siedział jakiś na pierwszy rzut oka obcy mężczyzna. Bożenka szerzej otworzyła oczy i natychmiast je zamknęła. Mężczyzna niewątpliwie był martwy. Całkiem sztywny, delikatnie przechylony w prawo, ze zwieszoną głową. W okolicy klatki piersiowej widoczna była czerwona plama krwi. Nie, to na pewno nie było naturalne.

– Pomocy! – krzyknęła Bożenka. – Ludzie, ratunku!

Darła się jak opętana, dość bezsensownie, nie bacząc na nieruchawość osobnika. W końcu zrozumiała, że nikt w tej chwili nie pomoże. W napadzie paniki rzuciła się do szafek na segregatory i dokumenty kasowe. Z łoskotem zaczęła otwierać wszystkie po kolei. Może tam się kryje morderca? Z drżeniem serca szarpnęła drzwiczkami szafy na ubrania. Było to jedyne wystarczająco duże miejsce, które mogło pomieścić człowieka. Szafa była pusta.

Bożenka wróciła do pomieszczenia kasy i powoli, z obrzydzeniem, dotknęła nieboszczyka. Nie był sztywny, raczej miękki i kolebał się na boki.

– Fuj! Ale wstrętny początek dnia! – Bożenka miała dosyć.

Trzeba zadzwonić po pogotowie? Może on jeszcze żyje? Pomyślała i popatrzyła na mężczyznę jeszcze raz. Wiedziała, że na pewno nie żyje, chociaż był pierwszym prawdziwym nieboszczykiem, jakiego widziała i dotykała. Przysiadła na stołku, usiłując opanować uczucie paniki i nagłą potrzebę ucieczki. Za pięć minut wszyscy zaczną się schodzić, trzeba wezwać policję i zapewne dzisiaj biuro będzie zamknięte.

Bożenka potrafiła jednak szybko wziąć się w garść. Do torby schowała przygotowane od piątku akta do wypłaty szkód, przejrzała biurko. Przyciśnięta do blatu zszywaczem leżała na nim mała różowa karteczka, z tych niby przyklejonych. Ktoś na niej napisał tajemnicze cyfry: 1 000 000, przekreślił to i innym charakterem napisał 500 000; zera gięły się, jakby tańczyły.

Teraz dopiero do Bożenki dotarł szczególnie zapach unoszący się w pomieszczeniu kasowym. Przyjemny, wręcz zniewalający, lekko opiumowy, drażnił nozdrza. Dlaczego nie poczułam go wchodząc, zastanowiła się i przypomniała sobie, że przecież zdążyła wyłączyć klimatyzację. Na jej potrzeby było tu zdecydowanie zbyt zimno. Teraz powoli zaczynało robić się coraz cieplej. Była szansa,

że nieboszczyk, zapewne też niezbyt świeży, sądząc po zakrzepłej na kamień krwi i dziwnie wyglądającej twarzy, zacznie zaraz wydzielać jakieś charakterystyczne wonie.

Zmobilizowała się i ponownie włączyła klimatyzację nastawioną na osiemnaście stopni. Po chwili zastanowienia przytknęła drzwi pomieszczenia kasowego i przeszła do księgowości.



– Cześć, Bożenko! – Do księgowości wsadził głowę Krzysiu Zdebski, pracownik likwidacji szkód. – Bożenko, ja ci w piątek podrzuciłem do wypłaty szkodę Adamka. Był czy jeszcze żyży?

– Co? O co ci chodzi? Kto jeszcze żyży? – Bożenka patrzyła na Krzyśka mało przytomnie.

– No, Bożenka! Nie wyglupiaj się, jak jeszcze nie wziął kasy, to zrobię poprawki na arkuszu. Słyszałem, że możemy spodziewać się naglej, niezapowiedzianej kontroli. – Nie zareagowała. – Ty mnie słyszysz?! – Zdenerwował się, w ogóle podminowany od rana. – Bożenka, szybciej!

Zamrugła oczami.

– A ty co tutaj robisz? – zapytała i jednocześnie odpowiedziała mu na pytanie: – Adamek już był w piątek, wziął, tylko coś jójczał, że dogadywaliście się na więcej.

Zdebski, lekko zmieszany, pokręcił głową.

– Wiesz, jakie on ma wymagania, a szkoda goni szkodę. – Westchnął fałszywie.

Słyszac kroki dochodzące z korytarza, odwrócił się od Bożenki i szczęśliwy, że nie musi zagłębiać się w temat, zapiał z zachwytu na widok wchodzącej Oli Jarosz.

– Witam najpiękniejszą część biura! No, ciebie tylko wypuścić na urlop i jakie zmiany! Nie mówię, zawsze była z ciebie atrakcyjna dziewczyna, ale teraz to sam nie wiem, co mam powiedzieć.

– To już ty lepiej nic nie mów – odrzekła – bo jak zaczynasz, to zawsze palniesz coś nie tak.

Ola Jarosz, zadowolona z zachwytu okazanego przez kolegę, była jednocześnie nieco skrępowana. Takie umizgi, i to w obecności Bożenki... Ten Krzysiek nie ma za grosz wycucia. Zerknęła spod oka na koleżankę i stwierdziła, że do Bożenki niewiele z gadania Krzyśka dotarło. To i dobrze, nie będzie dziewczynie przykro. Z jej figurą jest coraz gorzej, znowu ostatnio przytyła, poza tym na Oli Bożenka zawsze robiła wrażenie osoby, która niezbyt przejmuje się makijażem, demakijażem i ogólną kosmetyką. Była po prostu ładna i tyle. Permanentnie zapominała o pudrze, jakże już w tym wieku niezbędnym, i nie używała tuszu do rzęs. Mówiła, że ją oczy bolą. Też wymówka! Ola była zdolna nie do takich poświeceń, byle się podobać.

A Bożenka spojrzała teraz na nich oboje i wykrztusiła z wysiłkiem:

– Musicie o czymś wiedzieć... – Urwała na moment. – Muszę wam powiedzieć, że...

– O czym to, o czym? – W podskokach dobiegł do drzwi Karol Barański, kierownik i kolega Krzysia Zdebskiego. – Zaczyna się piękny dzień... – podśpiewywał sobie pod nosem. – Mogę podpisywać listę...

Bożenkę opanował stupor i nie była w stanie się ruszyć. Miała wrażenie, jakby przed jej oczami rozgrywała się scenka teatralna, mała wprawka dla studentów, a ona była widownią i powinna się zachowywać jak widownia: bić brawo i piszczeć z zachwytu. A wcale nie miała takiego zamiaru.

Jeszcze ta wstrętna Ola Jarosz, najbardziej wredne babsko, z jakim Bożenka musiała pracować. Zmieniona faktycznie nie do poznania. Strzaskana słońcem w tej Tunezji! Przez ostatnie dwa miesiące

o niczym innym nie mówiła, tylko o urlopie. Obciąła włosy na języka, prawie przy skórze, i ufarbowała na platynowy blond. Do pracy przyszła ubrana w opięte dżinsy, ze skórzanym, pomarańczowym plecaczkiem w charakterze torebki. Na prawym przegubie połyskiwało kilkanaście lekko brzęczących bransoletek.

No, chyba kobieta zapomniała, że się jej urlop skończył, pomyślała Bożenka i nabrała powietrza w płuca. Wdech, wydech, wdech, wydech. Jedyny sposób na uspokojenie.

– Muszę wam coś powiedzieć...

– No, mówże, Bożenka! Jesteś w ciąży? – Karol nie czekał na informację.

– W jakiej ciąży? – wyszczała przez zęby. – Karol, chyba ci rozum odebrało!

Karol spieszył się.

– Nie gniewaj się, ale jak słyszę, że kobieta mówi „muszę wam coś powiedzieć”, to od razu mam proste skojarzenie z ciążą. Przy trójce dzieci to raczej normalne – tłumaczył się nieporadnie.

– Dobrze, spróbujmy zachować spokój. – Bożenka starała się mówić wolno i dobitnie. – Otóż przyszedłam do pracy i zastałam... nieboszczyka pod biurkiem! Nie mogę sobie przypomnieć, kto to jest, ale twarz wydaje mi się jakaś znajoma. – W pokoju zaległo milczenie. – Co, nie wierzycie mi?!

Nikt się nie odezwał, cały czas panowała cisza. Pracownicy woleli nie narażać się koleżance, niepewni, dlaczego takie brednie opowiada.

– Czy tutaj zdarzyło się coś, o czym ja nie wiem? – padło zniecka.

Z bukietem kwiatów w jednej ręce i czarną skórzaną teczką w drugiej, marszowym krokiem, wkroczył do księgowości kierownik biura firmy Bezpieczna Przyszłość, Teodor Bryś-Kowalski, największy biurowy snob i pyszałek, wywodzący swoje korzenie z szemranej arystokracji herbowych Brysów.

– A te kwiatki to dla kogo, szefie? – zapytała z przyjaznym uśmiechem Ola Jarosz.

– No, chyba nie dla ciebie – rzucił z cicha Karol. – Co to za zbiegowisko? Podpisać listę i do pracy!

– Kierownik pogonił całe towarzystwo, udając, że nie słyszy pytania. – A tak w ogóle, to gdzie reszta załogi? – zapytał donośnie.

Załoga nagle ogłuchła i nie odpowiadała.

– Godziny pracy tuż, tuż, a oni się objijają – pyskował gderliwie pod nosem Bryś.

– Kierownik, chcę zgłosić, że w kasie jest trup, mamy uchylone drzwi, a on być może za chwilę zacznie chodzić! – wyskandowała Bożenka całe zdanie pełną piersią, bojąc się, że ktoś jej znowu przerwie, i zauważyła lekkie poruszenie wśród kolegów i koleżanek, których zniecka zrobiło się dużo więcej. Nie zastanawiając się wiele, podeszła do drzwi kasy i otworzyła je na oścież. Za nią kłębił się tłumek współpracowników.

– O rany gorzkie! Ludzie!

– To przecież ten nowy!

– Co on tutaj robi? – Posypały się pytania.

– No, sam się chyba jednak nie zarznął i nie wsadził – zauważył z przekąsem Krzysiu Zdebski.

– Ty to akurat Ameryki nie odkryjesz – dogryzła byłemu mężowi Alina Dobrosz-Zdebska.

– Słuchajcie, trzeba zadzwonić pod 997! Ja zadzwonię – zaoferował się Karol Barański.

– Nie... teraz się dzwoni pod 112 – zaoponował kierownik, ale mało kto go usłyszał w rosnącym gwarze.

– Czy ktoś dokładnie wie, kto to jest? – przebiła się przez gwar Bożenka.

– Mnie się kojarzy, ale nie mogę sobie przypomnieć z kim. Może widziałam go w telewizji? – Elżbieta Wójcik, wielbicielka telenowel, zawsze wszystkich kojarzyła z filmem.

– Pani Elu, w jakiej znów telewizji? Chyba kablowej? Popatrz pani, jaki on wymięty, niemiedialny – skomentował ktoś brutalnie.

– To jest nasz nowy agent ubezpieczeniowy – powiedziała słabo Jola Dębicka, od dobrych paru lat kierowniczka akwizycji i bezpośrednia szefowa wszystkich agentów ubezpieczeniowych.

– Nazywa się, to znaczy... nazywał się Anatol Banyś.

– Co? Dlaczego? – Pani Kinga ledwo trzymała się na nogach.

– Pani Kingo, proszę usiąść, nie powinna pani oglądać takich widoków, z pani sercem... – zatroszczył się kierownik.

– Faktycznie to jest Banyś, dopiero co w piątek z nim rozmawiałem. Miał wielkie plany związane z pracą, prawie wizjoner – powiedział z nostalgią kierownik. – Był człowiek i nie ma człowieka – westchnął i oparł się o biurko. Nagle poczuł, że teczka, którą cały czas kurczowo trzymał w ręku, zaczyna mu ciążyć.

– A kto obrobi jego teren? Przecież tam wszystko leży odłogiem – jęknęła Jola. – Znowu szkol następnego! Ja się zajadę.

Jakoś mało żalu po człowieku było słycać w głosie obojga.

– Policja zaraz przyjedzie – zaraportował Karol. – Powiedzieli, żeby niczego nie ruszać, zamknąć miejsce przestępstwa i czekać na nich cierpliwie. Podobno są na miejscu włamania z całym sprzętem od oprysku i trochę potrwa, zanim przyjadą.

W rzeczy samej, nieboszczyk, czyli Anatol Banyś, miał szansę na bycie tylko chwilową sensacją. Nikt go za bardzo nie znał, z nikim nie zdążył się bliżej zaznajomić, no chyba że z którymś z agentów, ale oni przychodzili do pracy gdzieś około dziesiątej, a jak byli w terenie, to nie przychodzili wcale.

Kierownik zdążył poznać Banysia, ale była to znajomość zdecydowanie świeża. Jediną osobą, która mogłaby powiedzieć coś więcej na jego temat, była Jolanta Dębicka, bezpośrednia szefowa agentów, a także osoba odpowiedzialna za ich wyszkolenie i odpowiednie przygotowanie do egzaminów licencyjnych.

Właśnie z Anatolem Jola wiązała wielkie nadzieje. Jego wizje akcji pozyskiwania nowych klientów zwały z nóg. Jola nawet nie dopuszczała do siebie myśli, że niektóre z tych koncepcji niekoniecznie są zgodne z prawem i ochroną danych osobowych. Chciała wierzyć, że trafiła na perłę wśród agentów, i teraz, zamiast żalu za młodym w gruncie rzeczy człowiekiem (bo cóż to jest czterdziestka), przeważał w niej żal za tą niewyłuskaną do końca perłą.

– A w piątek Anatol był taki szczęśliwy. Potwierdzono, że zdał celująco egzaminy, podpisaliśmy umowę i mógł pełną parą zabierać się do pracy. Był taki pełen energii, zapału, sypał pomysłami – wspominała piątkowy dzień Jola, nerwowo wyłamując palce. – Niemożliwe, że to on tam siedzi – denerwowała się. – Bożena! Otwieraj kasę. Muszę go jeszcze raz zobaczyć, muszę być pewna, że to on. – Jola dopadła drzwi kasy i zaczęła energicznie szarpać za klamkę.

– Tyś chyba zwariowała, Jolka, przecież kierownik mówi, że to on, więc potwierdzenie według mnie nie jest potrzebne. Mało apetyczny facet. – Bożenka nie zamierzała ulegać hysterii.

To prawda, Anatol Banyś był mało apetyczny także za życia, ale umiał się znaleźć i podliczać komu trzeba. Jola intensywnie myślała, co może powiedzieć policji, a co pominąć. W końcu postanowiła odpowiadać tylko na pytania i nie wychodzić przed orkiestrę.

Atmosfera wśród współpracowników z minuty na minutę stawała się coraz cięższa. Nie wiadomo dlaczego, Jola przypomniała sobie ostatnią kontrolę z centrali i na moment zamknęła oczy. Otworzyła je szybko, wołała nie widzieć w myślach tego, co jej się przypomniało, i powiedziała do wszystkich:

– Wiecie co, ludzie, wychodzimy stąd. Policja z nagłą przyjedzie i będziemy musieli tłumaczyć się z zdeptanych śladów. Klienci pewnie na dole już czekają, trzeba sobie jakoś dzień ułożyć.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że koleżanki i koledzy rozchodzą się powoli do swoich pokoi, nawet zbyt dużo nie dyskutując, zadowoleni, że ktoś za nich podjął decyzję.

W księgowości została tylko kasjerka Bożenka, Ola Jarosz, informatyczka, oraz Alina Dobrosz-Zdebska, pełniąca obowiązki głównej księgowej. Popatrzyły na siebie ze zrozumieniem i delikatnie pokiywały głowami. Szykowało się niezła akcja, skoro apatyczna Jola postanowiła zareagować.

Reszta pracowników w sposób niezwykle subordynowany porozchodziła się do swoich pokoi. Likwidatorzy, mijając na parterze stanowiska biura obsługi, ujrzeli kłębiący się tłumek klientów. Interes kręcił się jak co dzień.

Właśnie trwała przepychanka przy pierwszym stanowisku obsługi. Klient usiłował wszystkich poinformować, że on tylko na króciutko i zawsze tylko do pani Ani, bo u niej zawsze płaci mniej niż u pani Basi. Zdenerwowana Ania usiłowała wytłumaczyć jemu i jeszcze około dziesięciu osobom, że stawki są dla wszystkich jednakowe i ona w niczym pana Adama nie wyróżnia. Równie dobrze mogła nic nie mówić, bo i tak nikt jej nie słuchał. Jak zawsze w takich sytuacjach podekscytowane towarzystwo rozmawiało na zasadzie wszyscy ze wszystkimi.

Ania przypomniała sobie, że rzeczywiście w zeszłym roku dała panu Adamowi zniżkę, ale to nie było ekstra, tylko to, co mu się w ramach zniżek taryfowych należało. Był sympatycznym, starszym panem, zawsze przychodził z czekoladą albo bombonierką, to dlaczego miała mu nie dać. Jeszcze podkreśliła, że to dla takiego klienta, specjalnie. Teraz sobie pluła w brodę, bo całe to zamieszanie sama spowodowała. Było nie dawać tak jak Basia i miałaby święty spokój.

Wzrokiem ogarnęła pokój. Basia usiłowała obsługiwać klienta, w drzwiach stał Karol i kiwał na nią, żeby podeszła. Podniosła się z fotela i wyszła zza półokrągłego stołu.

– Panie Adamie, niechże pan wreszcie siada, ja zaraz wracam. – Z uśmiechem usiłowała uspokoić kolejkę.

Pan Adam z żalem porzucał dyskusję, ale nie mógł zawieść ulubionej agentki. Ania szybko podeszła do Karola.

– Czego ty ode mnie chcesz i to tak przy ludziach? – Rzuciła to pytanie nieco agresywnie, mając w pamięci zeszłoroczne zerwanie, jak się domyślała, spowodowane przez Manię Jarosz, tę małąletnią córkę Oli.

– Posłuchaj uważnie! Za chwilę powinna być u nas policja, Anatol nie żyje! – wyrzucił z siebie Karol. Ania nie odezwała się ani słowem, tak ją zamurowało. – Rób, co chcesz, ja się, Anka, w twoje interesy nie mieszam, ale wszystko ma być na cacy. I obsłużcie tych ludzi jak najszybciej, żeby się w niczym nie zorientowali. Zamknijcie drzwi i wypuszczajcie po jednej sztuce – instruował ją. – Na drzwiach dajcie kartkę, że dzisiaj zamknięte. Z powodu, na przykład, awarii. Im mniej osób jest zorientowanych, tym lepiej. – Obrócił się na pięcie i, nie patrząc na nią, wyszedł z pokoju.

Ania powróciła do biurka z uśmiechem przyklejonym do ust.

– Baśka! Nie romansuj – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Anatol zamordowany, wypuszczamy po jednym, zamykamy i robimy porządki w papierach, bo policja zaraz będzie.

– No to jak zdrowie, panie Adamie? – Z zawodową wprawą zaczęła wystawiać polisę, nie zwracając uwagi na narzekania klienta.

Karol Barański pewnym krokiem zmierzał do pokoju likwidatorów, których był nie tylko kolegą, współnikiem doli i niedoli (oraz mniej lub bardziej szemranych interesików), ale także kierownikiem. Karierę robił powoli, wychodząc z założenia, że lepiej pozostawać w cieniu i nie zwracać na siebie uwagi przełożonych. Nie zależało mu na zbyt dociekliwym sprawdzaniu przez centralę, czy nadaje się na jeszcze wyższe niż pełnione stanowisko. Wolał sam po cichutku kręcić swoje lody. W firmie pracował od ponad pięciu lat, zarekomendowany przez dawnego znajomego Krzyśka Zdebskiego. Rekomendację przyjęto i postanowiono dać szansę nowemu, młodemu pracownikowi, po odpowiednich studiach.

Karol tę szansę wykorzystał do maksimum. Już po roku był cichym i jedynym współnikiem w zakładzie naprawczym, który z miesiąca na miesiąc zaczął się rozwijać i wykonywał ponad połowę napraw zleczanych przez likwidatorów. Procedura była prosta. Klienci, jak to normalni ludzie, wcale nie mieli zamiaru zawracać sobie głowy jakąś tam naprawą samochodu, wyszukiwaniem warsztatu, blacharza czy lakiernika i przeprowadzaniem śledztwa wśród znajomych, czy wybrany spec jest wiarygodny. Skoro tak sympatyczny, w każdym calu profesjonalny likwidator poleca warsztat Auto dla Każdego, to dlaczego by nie, zwłaszcza że na początku wzbraniał się przed podaniem jakiegokolwiek namiaru. Każdy był zadowolony. A teraz takie nieszczęście, Anatol nie żyje.

Karol po cichu przeszedł do kantorka, w którym przechowywano dokumenty, stare polisy, akta spraw i druki. Wyjął komórkę i puknął w hasło „złom”. Miał tam zapisany numer do współnika.

– Marek – szeptał do telefonu – nie musisz nic mówić, tylko słuchaj: Anatol Banyś nie żyje! Bożenka go znalazła... no nie żyje, no jasne, sprawdziliśmy. On już nawet nie jest zimny trup, tylko to ta następna faza. Nie opowiadam ci pierdół, tylko samą prawdę. Policja prawie u drzwi, i tak całe szczęście, że było gdzie włamanie i nie przyjechali od razu. Spotykamy się wieczorem. Jakby coś, znamy się tylko z widzenia. – Skończył, odetchnął z ulgą, schował komórkę do kieszeni spodni i wyszedł z kantorka.

W pokoju likwidacji, jednym z najładniejszych i najbardziej przestronnych, jako jedynym pomalowanym na słoneczny żółty kolor, wrzała praca. Krzysiek Zdebski przewracał nerwowo papiery, zastanawiając się, które akta to wersja oficjalna dla szefostwa, a które z ich prywatnymi wyliczeniami, nieco odmiennymi od wersji urzędowej. Likwidatorka od szkód osobowych i majątku Elżbieta Wójcik siedziała przy swoim eleganckim białym biureczku pod oknem i z lekka się kiwała. Nadal miała zaciśnięte usta i udawała, że nikogo nie widzi.

– Pani Elu, pani pamięta o policji? – Karol postanowił zapytać w sposób bezpośredni.

– Ja w odróżnieniu od co poniektórych nie mam nic do ukrycia – wycedziła wściekła przez zaciśnięte zęby.

– No, ja bym nie był taki pewny. Nie wiem, czy pani pamięta Nowaka z tą nogą w gipsie. Złamał ją przecież jak na zawołanie, zaraz jak tylko zaczęła działać polisa. A pamięta pani, że był ubezpieczony na dużo więcej niż dziesięć tysięcy. Tam się coś w kartotekach nie zgadzało i po mojemu to dziewczyny zrobiły polisę na niewidzianego, a potem się nie przyznały. Pani tego nawet porządnie nie sprawdziła. To było skomplikowane złamanie z przemieszczeniem, facet kupę kasy zainkasował. – Karol nie chciał bez potrzeby denerwować Wójcikowej, ale akta to akta, jak będzie kontrola, to bekną za wszystko, za Nowaka też.

– Wszystko było w porządku! Każdy ma prawo mieć pecha. Ja nie zrobiłam nic niezgodnego z przepisami, nie to co wy! Za żadne wasze wyliczenie nie można ręczyć! – likwidatorka nie pozostała mu dłużna.

Siedząca przy ścianie, skulona na krześle Kasia Dłuska udawała, że niczego nie słyszy. Była stosunkowo świeżym pracownikiem. Tak długo szukała pracy, że już przestała wierzyć, że ją znajdzie, a już najmniej, że w swoim rodzinnym mieście. Pełna zwątpienia, po licznych, niemiłych doświadczeniach, złożyła papiery w firmie ubezpieczeniowej Bezpieczna Przyszłość.

Na pewno mają dziesiątki kandydatów na to fantastyczne miejsce, myślała smutno. Po administracji, przeciętna, niczym niewyróżniająca się studentka, nie miała prawie żadnego doświadczenia zawodowego oprócz stażu na studiach, który przepracowała w urzędzie gminy, najpierw robiąc zakupy wszystkim sekretarkom, a potem w ramach awansu kserując dokumenty i objijając pieczętkami listy. Myślała, że trafiło się jej jak ślepej kurze ziarno. Mama Kasi zawsze mówiła, że za darmo nic nie dają, i Kasia niestety teraz gotowa była przyznać mamie rację. Po czasie dowiedziała się, że jej stanowisko zwolniło się nagle.

Od początku istnienia firmy zajmował je Aleksander Kącki, znakomity fachowiec starej daty. Podobno pan Aleksander odszedł z pracy niespodziewanie, nie informując o tym nawet bezpośredniego przełożonego, czyli Karola Barańskiego. Krążyły ploty, że Aleksander miał czelność grozić prezesowi Darskiemu sądem i niedwuznacznie sugerować, iż jest w posiadaniu jakichś niewygodnych dla prezesa informacji. W każdym razie wydusiwszy z prezesa jakieś duże pieniądze w charakterze odpłaty, wyjechał do Włoch lecząc skołatanę nerwy i zwiedzać zabytki, tak jak zawsze pragnął.

Z prezesem się nie dyskutowało, więc Karol przyjął do wiadomości, że Aleksander już z nimi nie pracuje, i musiał szybko znaleźć nowego pracownika. Nadarzyła się Kasia, doskonała w takiej sytuacji, i dalej już poszło.

– No to zaraz się zacznie ta cała polka ze śladami, posypywaniem proszkiem i zeznaniami, policjka już przyjechała. – Pani Ela zaczynała mieć dobry humor. Inni mają dużo więcej do ukrycia niż ona, niech oni się martwią.



Była dokładnie dziesiąta minut trzydzieści, gdy Karol otworzył drzwi wejściowe i zobaczył, jak ze służbowego, granatowego lanosa wysiada bardzo wysoki policjant. Wyglądał jak emerytowany koszykarz. Za koszykarzem gramolił się następny, młodszy, grubszy, o fizjonomii dobrego wujka. Ekipę zamykał piękny mężczyzna w typie wczesnego Pawła Deląga i już wiadomo było, że panie polegną z kretesem. Panowie pozamykali drzwi samochodu, piknęli centralnym zamkiem i uformowali regularny szereg.

Karol patrzył i usiłował ocenić stopień zagrożenia prezentowany przez tak dobrane towarzystwo. Wyszło mu, że nie musi się martwić.

– Witam panów i zapraszam do środka.

Panowie dopiero teraz zwrócili uwagę na osobnika stojącego przy wejściu do biura. Stał przed nimi mężczyzna wyglądający jak skrzyżowanie Rumcajsa z wiewiórką. Karol miał włosy naturalnie jasnorude, długie za uszy, lekko pofalowane. Ostatnio zapuścił brodę i wąsy. Miał szare, budzące

zauwanie oczy i usta sybaryty. Widać było, że lubi życie i uciechy z nim związane. Wysoki, ponad metr dziewięćdziesiąt, nadawał się idealnie do przywitania policji, która na miejscu pracy chciała spotkać osobę kompetentną i rzeczową. I taka osoba przed nimi stała.

– Proszę nas zaprowadzić na miejsce zdarzenia. Komisarz Kazimierz Jodła, a to aspirant Tomasz Kulik i nasz patolog doktor Roman Ziębiński. – Przedstawiwszy kolegów, komisarz Jodła, ten bardzo wysoki, wyprzedził za drzwiami Karola i popędził schodami na górę, sadząc wielkie susy. Reszta poruszała się dużo wolniej i z godnością.

Klientów na dole już nie było. Jakimś cudem Ania i Basia uporały się w mig z całą tą zgrają. Teraz z zaangażowaniem porządkowały dokumenty, przerzucając się fachową terminologią.

– Zabezpieczenia w porządku? – rzucił pytaniem w powietrze aspirant Kulik.

– Chyba w porządku. Bożenka, to znaczy nasza kasjerka Bożena Kryspin, nic nie wspominała.

– To ona znalazła zwłoki?

– Tak. Myślę, że panowie zaraz z nią sami porozmawiają, już jesteśmy przed drzwiami księgowości.

– Karol automatycznie otworzył skrzyneczkę kodową i wklepał trzy dziewiątki i trzy szóstki. Zamek w drzwiach ustąpił.

Oczom stróżów prawa ukazały się trzy kobiety siedzące przy biurkach i gorliwie przekładające papiery. Sprawiały wrażenie niezainteresowanych tym, że przebywają w bliskiej odległości od nieboszczyka. Jaki tu spokój, pomyślał komisarz Jodła, wytrawny znawca natury ludzkiej. Czuł, że pod pozornym opanowaniem, temperatura obecnych jest bliska wrzenia.

– Witam, proszę powiedzieć, która z pań znalazła denata i gdzie, bo tutaj go nie widzę. – Rozejrzał się po pokoju i dostrzegł na wykładzinie dwie już mocno zakrzepłe plamy krwi.

Zauważył, że od biurka zawalonego jakimiś wydrukami podniosła się wysoka, rudowłosa, pięknie zbudowana kobieta. Aż przyjemnie na taką popatrzeć. Była zdecydowanie w jego typie.

Bożenka krok po kroku zrelacjonowała im dzisiejszy ranek. Tak, to prawda, przeżyła szok, znalazłszy obce zwłoki pod swoim biurkiem.

– Jak się tu zmieścił? – Usiłował dociec komisarz.

– Ależ bez problemu. Biurko jest długie na dwa metry, zajmuje całą przestrzeń pomieszczenia kasowego. Zresztą, niech pan sam zobaczy. – Bożenka delikatnie przypomniała komisarzowi, z jakiego powodu prowadzi oględziny.

Doskonale skonstruowany mebel, z nadstawkami po bokach i wcięciem na fotel naprzeciw okna kasowego, od lat spełniał swoją funkcję i został przeniesiony na żądanie Bożenki z poprzedniego miejsca pracy. Był jej, ukochany, jedyny i tylko przy nim mogła normalnie pracować.

– Kto wiedział, że jest tu takie biurko?

– Jak to kto? Wszyscy, łącznie z prezesem Darskim, który za nie płacił! – obruszyła się Bożenka.

Pod tym biurkiem w razie konieczności zmieściłoby się nawet dwóch nieboszczyków. Miało tylko jedną półkę boczną na stację dysków. Bożenka wolała mieć wszystko pod ręką, a nie pochyłać się po każdy dokument co pięć minut. Aspirant Kulik wykazał zrozumienie. Tak... on też nie jest zwolennikiem ciągłego pochyłania się.

Nieboszczyk na pierwszy rzut oka wyglądał nieszczęśliwie; zakrwawiona pierś nie dodawała mu uroku. Po wstępnych oględzinach okazało się, że zginął zakłuty ostrym narzędziem. Niestety krew zdążyła już mocno zaschnąć na piersi, czyniąc z koszuli i marynarki sztywny pancierz. Dopiero po sekcji doktor Ziębiński obiecał powiedzieć coś więcej.

– Na razie mogę określić domniemany czas zgonu na wieczór, względnie noc z piątku na sobotę, narzędzie: przypuszczalnie nóż. Ciekawe jakim cudem on jest tak dobrze utrzymany? – zdziwił się najprzystojniejszy z okolicznych patologów doktor Roman Ziębiński. – Jeszcze jedno – zwrócił się do kolegów – przypuszczam, że denat został zamordowany w pokoju księgowości. Spójrzcie na te dwie charakterystyczne plamy. Widzicie, jakby tutaj stał, został niespodziewanie dźgnięty i potem przewleczony pod to biurko? O, tutaj widać na wykładzinie ślady ciągnięcia, które zostawiły obcasy butów. – Palcem wskazującym pokazywał wgniecenia. Policjanci z uwagą oglądali miejsce zdarzenia.

– Słuchaj, Romku, a kto według ciebie mógł to zrobić? – Komisarz uważał, że najskuteczniejsze są proste pytania.

– A co to ja jestem, wróżka? – zdenerwował się medyk.

– Nie, nie o to chodzi – sumitował się komisarz Jodła. – Wiesz, mam na myśli wzrost, siłę, kobietą czy mężczyzną?

– Aha... Raczej mężczyzna lub ktoś wysokiego wzrostu, przynajmniej około metra osiemdziesiąt. Jeżeli cios padł z zaskoczenia, to mogłaby to być także wysoka, silna lub zdesperowana kobieta. Z tego, co widzę, denat nie był taki niski, ale do metra osiemdziesiąt to mu jeszcze sporo brakowało. Zobaczmy po sekcji. Ja go już zabieram do siebie, a wy róbcie, co wam pasuje – zakończył niefrasobliwie, zauważywszy wbite w siebie damskie spojrzenia.

Panie chłonęły każde słowo, które padało z ust przystojniaka, niespecjalnie zwracając uwagę na nadal leżące, już teraz obfotografowane i obmacane przez profesjonalistę zwłoki. Anatol Banyś w charakterze nieboszczyka robił na nich o wiele mniejsze wrażenie niż ten szalenie przystojny, w typie filmowego amanta, patolog. Kto to widział, żeby taki przystojniak był lekarzem od nieboszczyków. Powinien błyszczeć na ekranie, ozdabiać wszelkie pokazywane potem w gazetach przyjęcia, jak co najmniej jakiś celebryta.



– Proszę o uwagę – zwrócił się łagodnie, acz z pewnym naciskiem do siedzących nadal przy biurkach kobiet komisarz Jodła. Widział, co się z nimi działo, i nie była to pierwsza taka reakcja na widok Romka. Należało to inteligentnie wykorzystać. – Ze względu na dobro śledztwa i oględziny, które musimy przeprowadzić, proszę o opuszczenie pokoju i przeniesienie się gdzie indziej. Proszę zabrać tylko osobiste rzeczy, niczego więcej nie ruszać. Za chwilę rozpoczniemy przesłuchania. – Chciał być delikatny. – A na początek proszę mi powiedzieć, gdzie jest dyrektor biura. Chciałbym z nim porozmawiać. – W końcu od czegoś muszę zacząć, pomyślał nieco ponuro.

– Kierownik, u nas jest kierownik, urządza na naszym piętrze. W głębi korytarza, zobaczy pan takie podwójne drzwi. Za nimi jest sekretariat i pokój kierownika.

– A my przenosimy się do akwizycji, obok. – Szczupła, niesamowicie zgrabna blondynka objęła dowództwo. O dziwo, koleżanki bez dyskusji posłuchały.

Być może one sobie już to wszystko wcześniej zaplanowały, pomyślał komisarz. Coś tu jest nienaturalnie spokojnie. Powinny być szloch, nerwy, waleriana i ogólny szok, jak zazwyczaj w przypadku nagłej śmierci, a one zachowują się tak, jakby je to niespecjalnie obeszło. Nietypowe.

Albo taka znieczulica, albo mają na sumieniu inne, w ich mniemaniu większe grzeszki i chcą się nas szybko pozbyć. No cóż, pożyjemy, zobaczymy.

Anatol Banyś został już włożony do czarnego, foliowego worka i delikatnie wyniesiony przez dwóch praktykantów od Ziębińskiego. Miejsce zbrodni zostało oczyszczone i można było zabrać się do pracy, czyli zbierania śladów, pobierania linii papilarnych, sprawdzania zamków, alarmów i tym podobnych postępowań przewidzianych przy tego typu wypadkach.

– Idę poszukać kierownika tego całego towarzystwa, a ty bierz się za wstępne oględziny. – Komisarz wolał konkrety od domysłów, większą część żmudnej pracy zwalając na Tomka Kulika.

Korytarz wcale nie był taki długi, zaraz za księgowością widniały uchylone drzwi do akwizycji. Komisarz Jodła zauważył kłębiący się w głębi pomieszczenia żywo gestykujący tłumek. No proszę, i naszym paniom też nerwy puściły, teraz dyskutowały z ożywieniem, chyba nawet klóciły się z taką szczupłą, bladą brunetką.

Przeszedł jeszcze parę kroków i zobaczył piękne, masywne dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do sekretariatu. W kolorze butelkowej zieleni, ozdobione złotą, bogato grawerowaną w jakieś esy-floresy klamką, prezentowały się ciężko i dostojnie. Nie pukając, otworzył.

Za biurkiem ustawionym naprzeciw drzwi siedziała jakaś miła z wyglądu dziewczyna i pisała na komputerze z szybkością karabinu maszynowego. Komisarz pomyślał z zazdrością, że przydałaby się im w komendzie taka dziewczyna do pisania raportów, sprawozdań i tym podobnych. Zaraz życie wyglądałoby inaczej. Marzenka, posterunkowa pracująca pod okiem komisarza, robiła wszystko, byle tylko wykręcić się od prac biurowych.

Za biurkiem siedziała Agata Jaskólska, stosunkowo świeży nabytek w firmie. Bezpośrednio polecona przez prezesa, na początku pracy wywołała falę komentarzy i przypuszczeń typu: kochanka prezesa, nieślubna córka lub w najlepszym wypadku kuzynka żony.

Nic z tych rzeczy! Agata Jaskólska była wykwalifikowanym detektywem zatrudnionym na stałe przez znaną Agencję Ochrony Osób i Mienia „Janosik i Spółka”.

Nikt w biurze nie zorientował się, że Agatę interesuje coś jeszcze oprócz pisania pism, reprezentowania biura i mozolnego uwodzenia kierownika Brysia-Kowalskiego. Kamuflowała się doskonale. Złotowłosa, ładna, doskonale ubrana, nie odzywała się zbyt często, a jej powierzchowność nie wskazywała na zbyt wysoki iloraz inteligencji. Między innymi dlatego została osobiście wybrana do zadania przez prezesa Darskiego i tylko z nim oraz swoim bezpośrednim szefem była w stałym kontakcie. Prezes wbrew pozorom nie był taki naiwny. W czasie ostatniej kontroli przeprowadzanej przez Lucjana Wysockiego, starej daty kontrolera, który niejedno w życiu widział, nie wykryto nic szczególnego. Drobne, dopuszczalne uchybienia. Obyło się bez drastycznych posunięć, likwidacja nie dostała przez miesiąc premii, nikt nawet nie zaprotestował. Jednak Wysocki nie na darmo był najlepszym kontrolerem w centrali. Nie mógł czarno na białym udowodnić kantów, ale czuł je wręcz całym sobą. Zasugerował prezesowi, że jednak w biurze przydałoby się trochę więcej nadzoru, bo wprawdzie on na razie nie jest w stanie niczego udowodnić, ale to niemożliwe, żeby w ciągu dwóch ostatnich lat tak bardzo wzrosły tam wypłaty odszkodowań. Sam na własne oczy widział te tabuny klientów zawierających umowy w biurze obsługi.

Klientów całkiem przeciętnych, średniozamożnych, a co szkoda, to samochód za pięćdziesiąt, sto, a nawet raz się zdarzył za trzysta tysięcy. Rozumiałby, gdyby to było przy ruskiej granicy, ale przy czeskiej... coś w tym wszystkim nie grało. Tym sposobem Agata Jaskólska objęła miejsce zwolnione

w trybie natychmiastowym przez poprzedniczkę, która dostała świetną, nie do odrzucenia propozycję pracy i zwolniła się z dnia na dzień.

Agata Jaskólska rządziła biurem, drukami i kalendarzem kierownika. Teraz spokojnie podniosła oczy znad klawiatury i zobaczyła przed sobą wysokiego, sympatycznie wyglądającego mężczyznę. Ubrany w cywilne ciuchy, wydawał się trochę nieporadny.

– Słucham, o co chodzi? – zapytała uprzejmie, udając, że o niczym nie wie.

– Witam panią, komisarz Kazimierz Jodła – przedstawił się. – Chciałbym rozmawiać z kierownikiem.

– Proszę chwileczkę poczekać, szef jest u siebie. Zaraz pana wprowadzę. – Podniosła się zgrabnie zza biurka i przeszła w stronę solidnie wyglądających, obitych czarną skórą drzwi. Otworzyła je, wsadziła głowę do środka i zastygła. Pokój był pusty. Delikatny wietrzyk poruszał szyfonową firanką w fioletowe bratki, za którą widać było lekko uchylone pojedyncze drzwi balkonowe.

– To niemożliwe! Jakim cudem on stąd wyparował?! – wykrzyknęła z niedowierzaniem.

Za nią do pokoju wszedł komisarz. Rozejrzał się mało dyskretnie. Gabinet urządzony był z mieszczańskim przepychem. Bardziej przypominał pokój w drogim hotelu niż gabinet kierownika w poważanej firmie ubezpieczeniowej. Sekretarka wyglądała na doprowadzoną do granicy wytrzymałości nerwowej.

– No, niech pan patrzy, przy nich wszystkich to on może z czystym sumieniem uchodzić za niewiniątko, a zwiął – poskarżyła się jakoś tak żałośnie.

– No dobrze, ale w jaki sposób, skoro pani była cały czas w sekretariacie? Przecież chyba nie oknem, tu jest jednak wysoko. – Policjant wyjrzał na zewnątrz.

– Właśnie że oknem, niech pan patrzy, wystarczyło dobrze wymierzyć, pod spodem jest drabinka przeciwpożarowa. Okno jest antywłamaniowe, więc nie dali krat. Nawet nie ryzykował za bardzo... Tylko dlaczego? Tego nie mogę zrozumieć! – Kobięcie trzęsły się ręce. Nie mogła się pogodzić ze swoją pomyłką w ocenie kierownika.

Komisarz Jodła podszedł do biurka i zobaczył rozłożoną na nim nie do końca przeglądniętą korespondencję.

– Czy to jest z dzisiaj? – Gmerał palcami pomiędzy papierami, nie wiedząc, o co mógłby jeszcze zapytać sekretarkę.

– Tak, to dzisiejsze pisma, podzieliłam i dałam kierownikowi do zaopiniowania. Część rzeczy była gotowa do podpisu. Aha, i jeszcze były dwa listy zaadresowane bezpośrednio do kierownika, korespondencja prywatna. Takiej nie otwieram, nie moja sprawa.

Komisarz podniósł w dwóch palcach kartkę papieru, na biurku została koperta bez nadawcy.

– Czy to także z dzisiaj?

– Tak, doskonale pamiętam, zwłaszcza, że jeden z listów mocno pachniał, przez moment myślałam, że to od kobiety, ale jednak zapach był bardziej męski, z nutką opium. Nie wiem, jaka to woda, ale pachniała dużymi pieniędzmi.

Na kartce drukowanymi literami ktoś pięknie napisał: „UWAŻAJ! TY BĘDZIESZ NASTĘPNY”.

– I mamy powód ucieczki pana kierownika. Jakby tego wszystkiego było mało, jeszcze musimy go znaleźć. – Komisarz usiłował poukładać kolejne czynności. – No nic, na razie poprowadzimy przesłuchania. Skoro gabinet kierownika jest czasowo pusty, to w nim urządzimy sobie pokój przesłuchań – zadysponował.



Pozostawione samym sobie pracownice z akwizycji i księgowości nie zasypiały gruszek w popiele, tylko bardzo dokładnie, godzina po godzinie analizowały piątkowy dzień. Bożenka jak zawsze przyszła do pracy pierwsza i nic nie zwróciło jej szczególnej uwagi, tak jak zresztą dzisiaj. Piątek był ciężki, co drugi klient miał pretensje. Na koniec dniówki, przy robieniu wpłaty do banku, kasa się Bożence nie chciała zgodzić. Straszna nerwówka, ale cały czas myślała, że to tylko piątek i że przez sobotę i niedzielę w końcu odpocznie.

A, jeszcze jedno, odbierał pieniądze niejaki Adamek, ich stały klient. Bożenka już ostatnio miała wrażenie, że Adamek traktuje ich prawie jak bank. Co miesiąc inna szkoda, cały wachlarz szkód. Wprawdzie ona jest tylko od wypłacania pieniędzy, ale ma prawo do swojego zdania i jej zdanie jest takie, że szkodowcy likwidują lipne szkody. Dawała sygnały prezesowi, że coś nie gra, ale nie zareagował. Aż zamilkła, wystraszona, słysząc samą siebie. W końcu powiedziała to, co gnębiło ją od dawna. Jej zdaniem był to najwyższy czas, by zawiadomić oficjalnie centralę. Koleżanki patrzyły na nią dziwnie z mieszaniną politowania i podziwu.

Nie zdążyły skomentować jej rewelacji, bo w drzwiach stanął aspirant Kulik i poprosił Bożenkę bardzo uprzejmie o przejście do gabinetu kierownika i złożenie zeznań. Kasjerka spokojnie podała wszystkie podstawowe dane. Imię: Bożena, tak, to bardzo piękne imię, ona akurat odziedziczyła je po babci ze strony ojca. Tata zawsze mówił, że była to wyjątkowego hartu ducha kobieta. Owidniała, dziadek Jan zmarł w czasie wojny zastrzelony przez hitlerowców, potrafiła sama wychować pięciu chłopaków. Nazwisko Bożenki to Kryspin. Adres zamieszkania: osiedle Pod Bukami jedenaście, mieszkanie numer trzy. No tak, naprawdę miała blisko do pracy. Doskonała lokalizacja, nie to co on, piętnaście kilometrów w jedną i piętnaście w drugą stronę, a i tak w porównaniu do niektórych miał blisko. O datę urodzenia nawet nie pytał, jakoś nie wypadło, wyglądała tak między trzydzieści pięć a czterdzieści lat.

Komisarz Jodła zamiast prowadzić nudne przesłuchanie, miał ochotę umówić się z Bożenką na kawę. Była zdecydowanie w jego typie, ale cóż, obowiązki wzywały.

– Proszę opisać, w jaki sposób znalazła pani denata.

Rzeczowa, konkretna, nie snuje domysłów, mówi, jak było. Podobał mu się jej sposób bycia, pozbawiony zbędnej minoderii. Kobieta potrafi jasno przekazać, o co w tym wszystkim chodzi, pomyślał miło zaskoczony. Ostatnio wszystkie panie, z którymi miał do czynienia, wydawały mu się takie nie do końca dorosłe.

– I, panie komisarzu, jak powstałam chwilę w kasie, to doszedł do mnie taki ciekawy zapach, coś jakby męska woda toaletowa, bardzo dobrej jakości – przypomniała sobie Bożenka. Komisarz ożywił się, list też pachniał.

– A jaki to był konkretnie zapach?

– Takie perfumy, w których używa się opium, one są częściej dla kobiet, ale to była zdecydowanie męska odmiana. Jeszcze jedno, może to nieistotne, ale czy panowie zwróciliście uwagę na samoprzylepną, różową karteczkę leżącą na moim biurku z napisem: milion, przekreślony i napisane pięćset tysięcy. Wszystko cyframi. To nie moja kartka, nie moje pismo i żadnego znajomego pisma też mi nie przypomina.

– Coś podobnego, nic takiego nie znaleźliśmy, ale jeszcze sprawdzimy. – Komisarz robił dokładne notatki. Czuł, że po czterdziestce zaczyna mieć kłopoty z pamięcią. – Mam do pani jeszcze małą prośbę. Czy mogłaby pani sporządzić dla nas listę pracowników i zaznaczyć, kto był w piątek w pracy, a kto był nieobecny, kto wcześniej wyszedł? I jeszcze jedno. Ile macie kompletów kluczy, bo jak rozumiem, gdy pani przyszła, wszystko działało bez zarzutu?

– Tak, dlatego to jest dla mnie takie zaskakujące, bo na rozum to morderstwo nie powinno się było zdarzyć, chyba że został zamordowany i upchnięty w kasie, zanim poszliśmy do domu. Ale to z kolei też jest niemożliwe, ponieważ wychodziłam ostatnia. Nikogo już nie było, uruchomiłam alarm, zamknęłam drzwi. A ja go nie zamordowałam, nawet go nie znałam! Nie, to musi być jakiś inny sposób, ale ja na razie nie wiem jaki. Nic mi się nie kojarzy. – Bożenka prawie miała wyrzuty sumienia, że nie potrafi pomóc temu sympatycznemu komisarzowi. I cały czas wydawało się jej, że coś w tym wszystkim nie gra. – Mamy cztery komplety kluczy – podjęła. – Jeden mam stale przy sobie, drugi jest złożony w centrali, w sejfie. Trzeci ma pan Józio, nasz dozorca, palacz i złota rączka w jednej osobie, ale to nadzwyczajny człowiek, doskonały fachowiec, godny zaufania. Znamy się od lat. A... jeszcze czwarty ma kierownik Bryś-Kowalski, w sumie nie wiadomo po co, chyba tylko dla tych zajęć po godzinach. – Prychnęła z pogardą. Komisarz słuchał zaciekawiony.

– Jakie zajęcia po godzinach? – zapytał.

– A, takie prywatne ćwiczenia fizyczne, podobno z narzeczoną, nie wiem dokładnie. – Bożenka speszyła się. Nie przepadała za plotkami. Nic jej nie było do kierownika, jego kluczy i jego narzeczonej, ale mówi się trudno. – Wracając do kluczy... Takie zwyczaje dawno temu wprowadził prezes Darski i tego się trzymamy, zawsze do podstawowych kompletów kluczy dorabiamy dodatkowe, żeby były cztery.

– Proszę pokazać swoje klucze – poprosił komisarz.

Sięgnęła w odmetę swojej pięknej, zielonej, wielofunkcyjnej torby i wyłuskała cały brzęczący pak kluczy. Ten jeden tutaj to od drzwi wejściowych, długi, gerdy, następnie dwa takie bardziej toporne, krótkie, od kłódek zamykających kratę dzielącą parter od poddasza, no i te drobne od pokoi.

– Księgowość ma zamek kodowy, prawda?

– Tak wywalczyliśmy takie zabezpieczenie w ramach remontu, ale zmiany idą u nas bardzo wolno. Prezesowi żal pieniędzy, ale teraz chyba zrealizuje całą naszą listę, bo wcześniej to tylko mówił, że nic się nie dzieje i szkoda wydawać – poskarżyła się niedyskretnie.

– No tak, ale wydaje mi się, że te wasze zabezpieczenia nie są wcale takie złe – zaprzeczył energicznie komisarz, wzruszając ramionami.

– Ale to nie chodzi tylko o zabezpieczenia. Miałam na myśli także usprawnienie funkcjonowania kasy. Wolałabym wypłacać szkody przelewem, a nie gotówką. Klienci są wygodni i wolą pieniądze do ręki, bo co bank obchodzi, ile oni zgarnęli ze szkody, a firma na razie idzie im na rękę kosztem naszego stresu i nerwów. Kto widział takie funkcjonowanie firmy ubezpieczeniowej w dwudziestym pierwszym wieku? Ciągle się boję, że mnie ktoś okradnie.

– Ma pani rację, to jakieś kuriozum. – Komisarz uśmiechnął się półgębkiem.

– To niech pan to powie prezesowi – zasugerowała nieco ironicznie kasjerka.

– A powiem, żeby pani wiedziała, że powiem, o ile to ja będę z nim rozmawiał, a teraz poproszę o listę koleżanek i kolegów.

Według listy następną w kolejności do przesłuchania osobą był niejaki Krzysztof Zdebski. Komisarz Jodła był doświadczonym pracownikiem pionu kryminalnego komendy miejskiej. Skoro kobieta, która

budziła jego zaufanie, podała taką, a nie inną kolejność, to on się będzie tego trzymał, wszak zaraz za swoim nazwiskiem mogła podać nazwiska koleżanek z pokoju, a tego nie zrobiła.

– Niech pani poprosi do mnie pana Zdebskiego. – Uśmiechnął się do niej nieśmiało. – Czy mógłbym prosić dla mnie i dla kolegi po kawie?

– Żaden problem, za chwilę panom przyniosę. – Bożenka wyszła z pokoju z uczuciem ulgi. Teraz mogła dopiero spokojnie sięść i pomyśleć o tym, co się zdarzyło.



Krzysztof Zdebski na pierwszy rzut oka wyglądał jak uosobienie pewności siebie, na drugi rzut już niekoniecznie. Facet drży w środku jak osika, te mrugające oczka, zaciskające się raz po raz palce, zapach potu unoszący się wokół niego. Przecież, do licha, on się boi! – pomyślał komisarz Jodła.

– Dzień dobry, niech pan siada – poprosił grzecznie policjant, pamiętając ze szkoleń, że uprzejmością najłatwiej rozbroić człowieka. – Chciałbym, aby pomógł nam pan zrekonstruować ostatnie wydarzenia.

– Ale ja nic nie wiem. Czy mogę iść? – Już, już podrywał się ze stołka, zanim jeszcze zdążył na nim tak naprawdę usiąść.

– No, proszę pana... nie tak szybko, najpierw formalności. Niech się pan trochę uspokoi, wyluzuje. Pana imię poproszę.

– Krzysztof Aleksander, ale Aleksandra nie używam – zaznaczył burkliwie Zdebski i dodał: – Nazywam się Zdebski.

– Dobrze... zapiszmy. – Komisarz pochylił się nad papierami służbowymi. – A więc nazwisko Zdebski... A adres?

– To znaczy adres zameldowania mam Malinowa pięć, ale od marca mieszkam u tatusia. Na razie szukam czegoś dla siebie, ale wie pan, mnie się nie spieszy, nie zamierzam kupować byle czego – tłumaczył się speszony Zdebski.

– Czyli poproszę adres tatusia, do kontaktu.

– Teraz mieszkam na osiedlu Pod Bukami dziesięć przez dwa.

– Ach tak! Czyli tak samo jak pani Bożena ma pan blisko do pracy – zauważył komisarz Jodła. Zdebski zmieszał się odrobinę.

– Wie pan, Bożenka jest nadgorliwa, taka pedantyczna stara panna. – Zamilkł, widząc wyraz twarzy policjanta.

No, dam ja ci jeszcze chłopie popalić!

– Czyli jak rozumiem, rozszedł się pan z żoną, korzysta pan z mieszkania ojca, a przepraszam, o której przyszedł pan do pracy w piątek?

– W piątek wstąpiłem do pracy zaraz o ósmej, zabrałem zlecenia likwidacji i pojechałem na oględziny, miałem kupić roboty, wróciłem dopiero około siedemnastej.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– No... mój powrót to tata, czekał na mnie z obiadem, nie lubi jeść sam, a resztę to chyba klienci z oględzin.

– Dobrze, to proszę spisać po kolei i w miarę możliwości dokładnie, gdzie pan był i w jakich godzinach, ile czasu zabrała panu wizyta u każdego klienta, najlepiej od razu z numerami telefonów – polecił komisarz i zadał następne pytanie: – Jeszcze jedno... czy znał pan denata, to jest Anatola Banysia?

– Cóż, nie chwaliłem się tym, ale chodziliśmy lata temu do jednej szkoły, rok czy dwa, już wtedy Anatol nie był zbyt lubiany, objął się, nie uczył. Wie pan, takie tam, jak to w młodości. – Zdebski chciał być usłużny.

– Czy sugeruje pan, że charakter pana Banysia od czasów szkolnych nie uległ zmianie?

– Jakby mi pan w myślach czytał, panie komisarzu – podliznął się Zdebski.

– To dlaczego, jak pan uważa, Anatol Banyś zdecydował się na pracę w ubezpieczeniach?

– Panie komisarzu, widocznie wyczuł dobry interes albo miał do zrobienia jakiś dobry interes i przechytrył.

– Myśli pan o szantażu? – Jodła popatrzył dobitnie na Zdebskiego. – Przecież wy pracujecie w firmie ubezpieczeniowej i jak myślę, reprezentujecie samą uczciwość, chyba że się mylę? – Zdebski nie wiedział, gdzie oczy podziąć.

– Ależ oczywiście, że uczciwość, ale sam pan rozumie, że...

– A jakoś nie rozumiem, czyżbym o czymś nie wiedział?

– Niech się pan przyjrzy agentom i niektórym klientom, może tam tkwi tajemnica, ja nic więcej nie wiem! – padła nieco agresywna odpowiedź.

Wiesz, bratku, i to niemało, pomyślał komisarz. Teraz udamy, że ci tak ładnie wierzymy i podziękujemy grzecznie. Po chłodnym pożegnaniu Zdebski, niepewny, co ma myśleć, wyszedł. Następny do przesłuchania podchodził Karol Barański.

Rozległo się delikatne szuranie i przez uchylone drzwi zajrzała Bożenka razem z aspirantem Kulikiem, a z nimi wdarł się do pomieszczenia aromat świeżo parzonej kawy z ekspresu.

– Tutaj cukier, śmietanka, jeżeli panowie lubią, i odrobina ciasteczek. – Bożenka postawiła tacę z upojnie pachnącą zawartością na biurku kierownika.

– A przepraszam, nie orientują się panowie, kiedy wróci kierownik? Potrzebne są jego podpisy na wypłatach szkód. Agata nie chce mi nic powiedzieć oprócz tego, że to nie jej sprawa.

– Kierownik został pilnie wezwany do centrali – wytłumaczył pośpiesznie komisarz, widząc, że Kulik już otwiera usta, aby podzielić się z Bożenką swoją wiedzą.

– Jak to do centrali? A śledztwo? Chyba nie mogli go tak teraz wezwać. – Była bardzo zdziwiona.

– No cóż, na pewno szybko wróci – tłumaczył pośpiesznie aspirant Kulik. – Bardzo pani dziękujemy za kawę.

– O! Karol! Teraz ty? – zdziwiła się fałszywie Bożenka i wyszła z pokoju, zostawiając panów samych.

Karol Barański, człowiek, który witał ich w drzwiach, posturą pasował do zabójcy pewnie najlepiej z tego całego towarzystwa, chociaż może był odrobinę zbyt wysoki na potrzeby patologa. Budzący zaufanie, opiekuńczy, profesjonalny w każdym calu, tylko dlaczego drugi na liście kasjerki?

– Panowie, ja naprawdę jestem czysty. – Zabrzmiało to zgola dramatycznie. – Ja nawet nie znałem tego Banysia, no, może widziałem go ze dwa razy, jak przechodził korytarzem, i tyle tego.

Komisarz postanowił być bardziej papieski niż sam papież.

– Proszę, niech pan siada, proszę podać nazwisko.

– Barański – rzucił przesłuchiwany, wytrącony nieco z równowagi spokojem pytającego.

– Imię poproszę.

– Karol.

– Miejsce zamieszkania, adres...

– Mieszkam w małym domku, ulica Pod Dębami dwa.

– Co mi pan tu opowiada o małym domku, przecież to najbogatsza dzielnica w mieście – zachnął się komisarz, którego szczyt marzeń stanowiło zamieszkanie właśnie w takiej ekskluzywnej dzielnicy.

– No tak, ale domek, jak na tamte standardy, jest naprawdę mały, tylko jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów, a i to nie wszystko wykończone – tłumaczył się Karol.

– No dobrze, to wróćmy w takim razie do piątku. Jak przebiegał dzień? Czy nie wydarzyło się nic niezwykłego?

– Wszystko szło normalnie. Ja byłem w biurze rano, do dziewiątej. Potem pojechałem na oględziny, wróciłem koło drugiej. Dzień jak co dzień, trochę niemiłych klientów, spicie dziewczyn w akwizycji, potem jeszcze ta nieprzyjemna scena z panią Kingą. Dzisiaj też zasłabła, jak popatrzyła na zwłoki. Moim zdaniem jeżeli ktoś ma tak słabe serce jak ona, to powinien iść na rentę, a nie pracować i przyprowadzać o stresi innych. Znowu w piątek dostała ataku. Potem mówiła, że przyszedł jeden klient wyjątkowo nieprzyjemny, który twierdził, że zapłacił już ciężkie pieniądze za ubezpieczenie, a ona go wzywa bezczelnie, nie wiadomo po co, skoro on ma papier. Wymachiwał tym papierem dookoła. Pani Kinga mówiła, że faktycznie zapłacił i ona musi to teraz sprawdzić. Potem było w miarę normalnie, tylko gdzieś około drugiej widziałem Banysia, stał na półpiętrze przy oknie i rozmawiał z kimś przez telefon. Umawiali się na obłewanie, bo jak pan już zapewne wie, w piątek Banyś podpisał umowę, od pierwszego miał zacząć pracę. Nie, nie wiem, z kim się umawiał. Zwróciłem uwagę, bo robił to tak jakoś półgębkiem, jakby w tajemnicy, a ja akurat wróciłem ze szkód.

– A dzisiaj, jak to wyglądało dzisiaj? – zapytał komisarz, notując w notesie, że musi znaleźć kolegów Banysia.

– Dzisiaj od rana oprócz tego, że Banyś nie żyje, wszystko toczy się normalnie i w związku z tym chciałem zapytać, czy mogę jechać na szkody. Mamy dużo zgłoszeń. – Barański rwał się na wolność.

– O której pan wyszedł w piątek z pracy i co pan robił wieczorem?

– Wyszedłem z pracy około godziny szesnastej, tak jak reszta. Potem robiłem zakupy. Żona jest chora, miałem listę rzeczy do kupienia i spraw do załatwienia. Do domu wróciłem około dziesiętnastej.

– Trzy godziny na zakupy, a chora żona sama w domu! – oburzył się komisarz.

– Panie komisarzu, miałem długą listę zakupów, ze szczegółowym wskazaniem, gdzie i co kupić. Czy pan myśli, że gdybym nie musiał, to bym tyle czasu marnował w sklepie i to w piątek? Ale moja żona to chce z Kauflandu, tamto z Biedronki, zwarować można, pan to mi może tylko współczuć.

– Rozumiem, że żona potwierdzi pańskie zeznanie.

– Myślę, że potwierdzi, bo nawet kupiłem jej francuskie ciasto, dokładnie takie, jak chciała... Żona robi świetne parówki w ubranku. – Karol rozmarzył się.

– I taka chora żona będzie panu piekła te cymeszy?

– Pewnie tak... z tym nie ma dużo pracy, a wszyscy lubimy. W ostateczności sam upiekę – zadeklarował się Karol, budząc zainteresowanie komisarza, który sam lubił zjeść smacznie i ciekawie, a parówek w ubranku jeszcze nie kosztował. Zanotował na boku, żeby potem zapytać Barańskiego, jak te parówki przyrządza, zawsze to jakaś nowość, i wrócił do obowiązków.

– Czyli nic więcej nie jest pan sobie w stanie przypomnieć?

– No, na teraz nie. Czy mogę jechać? – Barański już drobił nogami do wyjścia.

– Tak, myślę, że dzisiaj nie będzie nam pan potrzebny.

Karol z wyrazem ulgi na twarzy wyszedł z gabinetu.

– No i co ty o tym myślisz? – zwrócił się do Kulika Jodła.

– Świetna kawa, panie komisarzu, też musimy sobie taki ekspresik na komendę kupić.

– Kulik, ty mnie nie rozśmieszaj! Za co kupić, ja się ciebie pytam.

– No tak, panie komisarzu, to do rzeczy. Ja to tak na dziś myślę, że oni wszyscy po trochu kłamią, jedni mniej, drudzy więcej, ale wszyscy. Tutaj musiały odchodzić niezłe kanty i z tego, co usłyszałem, to myślę, że im wcale nie jest żal denata. Oni go niezbyt dobrze znali. Nie zdążyli się do niego przyzwyczaić. Są wściekli, ponieważ to morderstwo zwraca na nich uwagę tej ich centrali, a oni tego się dużo bardziej boją niż nas. Tutaj każdy ma jakieś mniejsze lub większe grzeszki na sumieniu.

– Kulik, ty dobrze kombinujesz – pochwalił zastępcę Jodła. – No to teraz kończymy kawę i bierzemy następnego. Popatrz, Tomek, kogo tam mamy.

– To będzie chyba ta była żona Zdebskiego, Alina Dobrosz-Zdebska.

– No to idź i ładnie zaprosz panią.

Korzystając z chwili wytchnienia, komisarz Jodła wstał zza biurka i przeciągnął się. Zaczynał mieć dosyć tego jakże niewinnego towarzystwa.

Sprawa była bardzo rozwojowa, chyba bardziej gospodarcza niż kryminalna. Oczywiście to też, ale sprawa morderstwa Anatola Banysia zaczynała schodzić na drugi plan. A może właśnie komuś o to chodziło i Banyś był o wiele ważniejszy niż to tło, które pchało się na pierwszy plan?

Do pokoju weszła miła z wyglądu kobieta. Za nią, przewracając oczami, wsunął się aspirant. Zapewne miał ciężką przeprawę.

– Nic nie wiem, nic nie widziałam, nic nie słyszałam. Coś jeszcze? – Oświadczenie padło jak smagnięcie biczem; jeszcze moment, a Jodła by się skulił.

– Tak... Na początek proszę usiąść i podać mi swoje imię i nazwisko oraz adres zamieszkania.

– Cóż, nazywam się jeszcze Alina Dobrosz-Zdebska, ale zaraz po uprawomocnieniu się rozwodu likwiduję Zdebska. Ten facet to w moim życiu nieporozumienie. Adres: Malinowa pięć.

Siedziała teraz w miarę spokojnie, tylko oczy biegały po pomieszczeniu. Czego ona tak wypatruje? Przecież musiała tutaj często bywać. Naprawdę współczuję temu Zdebskiemu, miał facet pecha, pomyślał Jodła. Chyba coś w wyrazie twarzy komisarza zwróciło uwagę pani Aliny.

– Pan sobie nawet nie wyobraża, jaki to człowiek. Ostatnia gnida, nie człowiek. Żadnej pomocy, żadnego oparcia! Plotkuje gorzej niż baba. Dla pieniędzy zrobi wszystko.

– Co pani sugeruje? – Komisarz się ożywił.

– Nic nie sugeruję oprócz tego, że jeżeli ktokolwiek coś wie na temat Banysia, to na pewno jest to mój były mąż. Przecież przynajmniej dwa razy w tygodniu spędzali razem wieczór w Dzikim Młynie, kiwając się nad piwem. Tak przynajmniej było za czasów tego naszego, pozał się boże, małżeństwa.

– Czy to oznacza, że pani mąż znał Banysia aż tak dobrze? – Komisarz był nieco zaskoczony. Zdebski nawet nie zająknął się na temat ściślejszej znajomości z denatem.

– Tak, doskonale mnie pan zrozumiał, znali się od dawna, tego jestem pewna. Jeszcze jedno mogę panu powiedzieć. – Ładną twarz pani Aliny zniekształcił grymas złośliwego uśmiechu. – Banyś na pewno robił interesy z moim, całe szczęście już byłym, mężem. Nieczyste interesy. Myślę, że wystawiał

lewe polisy. O szczegóły niech pan pyta Zdebskiego. On wie! Mojemu byłemu mężowi Banyś był potrzebny, ale żywy, nie martwy! Taką kasę razem robili, że głowa boli, tylko nikt ich za rękę nie złapał.

Matko! Jaka mściwa hadra! Nie ma nic gorszego niż była żona! Ona nawet nie myśli, że podkłada świnie samej sobie. Komisarz tłumił w sobie podziw pomieszany z lękiem i pogardą.

– Pani Alino, a informowała pani o tych swoich podejrzeniach kogokolwiek? – zapytał łagodnym tonem.

– A pan myśli, że ja głupia jestem. Jeszcze by mnie gdzie sztywną znaleźli, tak jak tego Banyś. Nic z tych rzeczy, ja lubię wiedzieć, niekoniecznie mówić, tyle że mi na odcisk nadepnął, to niech ma – dodała buńczucznie.

– Dziękujemy pani za pomoc. Na pewno nie przyszło pani łatwo oskarżać w końcu byłego, ale męża. – Aspirant starał się być miły i uprzejmy, tak jak go uczyła mamusia.

– Łatwo czy niełatwo, to nie ma nic do rzeczy! – Pani Alina zlekceważyła delikatność. – Ja wiem, co znaczy obywatelski obowiązek. Czy mogę już wrócić do pracy?

– Oczywiście, bardzo nam pani pomogła. – Komisarz aż podniósł się zza biurka. Wiedział, że ta oznaka szacunku zostanie przez panią Alinę zauważona i zapamiętana, a jemu to nie zaszkodzi, może tylko pomóc.



Gdy za Aliną Dobrosz-Zdebską zamknęły się obite skórą drzwi, ekipa śledcza postanowiła zrobić sobie przerwę i podsumować, czego się dowiedzieli. Zeznanie pani Aliny potwierdziło, że w firmie dochodziło do niezłych kantów i w niektórych na pewno maczał palce nieboszczyk. Pewnie mało kto był nieświadomy tego, co tu się wyprawia. Takie wygodne posady. Dyrekcja, ta prawdziwa, daleko. Natomiast bardzo blisko duże pieniądze w różnoraki sposób dostępne, aż żal nie skorzystać. Tak podsumowali ten etap dochodzenia policjanci.

– Popatrz, Tomku, kto tam jest następnym na tej liście. Przesłuchamy jeszcze z dwóch ważniejszych, a reszta towarzystwa na komendę. Tam sobie spokojnie na swoim terenie porozmawiamy.

Kulik przewracał papierami, mieli już od rana dosyć. Od szóstej na włamanie do alkoholowego, mało przyjemna robota, człowiek zaczyna automatycznie myśleć, że napiłby się tego czy owego. Złodzieje ogołocili półki prawie do zera z gorszych i lepszych alkoholi, nawet likierów nie zostawili, tacy bardziej ekskluzywnie trunkowi byli. Przepiłowane fachowo kraty, na szczupłego człowieka, porozbijane szyby, tyle że nie zdemolowali za bardzo, bo monopolowy był dosyć skromny w wyposażeniu, nic fikuśnego. Lada do podawania i regały, na których stały butelki. Na zapleczu kontenery z napojami podlegszego gatunku. Właściciel był zdenerwowany, załamywał ręce, ale potem przypomniał sobie, że przecież całkiem niedawno wykupił ubezpieczenie u tego nowego agenta z Bezpiecznej Przyszłości i zdenerwowanie minęło mu jak ręką odjął. Tomek Kulik był zdolnym aspirantem i dwa do dwóch potrafił dodać.

– Szeffie, proponowałbym porozmawiać jeszcze raz ze Strzępskim. Niech nam pokaże tę swoją polisę. Ci tutaj powinni sprawdzić, czy pieniądze za nią wpłynęły, czy krążą gdzieś po świecie. Tę polisę to on wykupił ponoć ze dwa miesiące temu, a ci tutaj mówią, że uprawnienia to Banyś miał dopiero od piątku. Coś jest nie tak i potwierdza to, co mówi pani Alina.

– Zanotuj do sprawdzenia, dobrze myślisz, chłopie.

Pochwała od Jodły liczona była podwójnie z racji jego niechęci do zauważania czyichkolwiek zasług.

– A teraz weźmiemy sobie jeszcze na miłą rozmowę panią Dębicką, w końcu to jej podwładny zginął. Proś, Tomku.

Komisarz podczas nieobecności aspiranta chciał skorzystać z łazienki. Wszedł i go zamurowało. Ileż to pieniędzy musiał kosztować ten szpanerski wystrój? Na co to komu? Jodła był zwolennikiem prostoty, wręcz minimalizmu, a w tych pomieszczeniach raz za razem dusza mu się buntowała. Wszędzie sztuczny przepych. Tak się zapatrzył na złożone krany nad umywalką, że byłby zapomniał, po co tu przyszedł. Ależ ci ludzie gustu nie mają! Ciekawe, kto to urządził i dla kogo? Przecież kierownik Bryś-Kowalski nie robi chyba za burdelmamę? Za drzwiami usłyszał ruch. To w gabinecie usadzali się już aspirant Kulik i pani Jola.

– No, jak się panom u nas podoba? – Jolanta Dębicka usiłowała przesłuchanie zamienić w lekką pogawędkę o wszystkim i o niczym. Komisarz postanowił to wykorzystać. Skoro ładnie pytają, to on ładnie odpowie.

– Pani Jolu, kto tak naprawdę korzystał z tej luksusowej łazienki?

– Podoba się panu? – Dębicka się rozpromieniła. – Dyrektor, młodszy Darski, sam osobiście projektował, wszystkiego doglądał, nawet płytki sam wybrał. Ta ciemna zieleń to też jego pomysł, specjalnie na zamówienie wypalane. Pan kierownik wprawdzie kręcił nosem, on lubi jasne kolory, takie beże, piaski, ale nie on płacił, to nie miał nic do gadania.

– Czyli, jak rozumiem, dyrektor Darski lubi zaglądać do waszego biura?

Co tu jeszcze robi jakiś dyrektor? Na plaster mi to potrzebne? Komisarz wołał proste śledztwa. Trup, poszlaki, dowody, finał – sprawca w areszcie! Tutaj nic nie było proste.

– Ależ uwielbia! Teren to żywioł naszego dyrektora, kierowanie agentami, plany szkoleniowe, spotkania, wyjazdy, doping pracowników. Poza tym nasz dyrektor to sam urok, szyk i elegancja. Fantastycznie się ubiera, agenci go wręcz uwielbiają! – Pani Jola rozplątywała się z podziwu nad dyrektorem Darskim. – Prezes ma do dyrektora absolutne zaufanie, w końcu to jego syn, jednak – wyjaśniała układy personalne. – Kiedyś dyrektor Darski odziedziczy firmę i zostanie naszym prezesem. – Dębicka zapewne w snach widziała się u boku przystojnego następcy prezesowskiego tronu. Komisarz postanowił sprowadzić ją na ziemię. Głos miał przesycony słodyczą, a jego chude oblicze było łagodnie uśmiechnięte.

– Jeżeli dobrze zdołałem się zorientować, to pani prowadzi akwizycję, zatrudnia i szkoli agentów, narzuca plany do wykonania oraz przeprowadza wrywkowe kontrole pracy agentów w terenie. Również pani pośredniczy w kontaktach pomiędzy agentami a centralą. Pani także zatrudniła Anatola Banysia?

Pani Jola pod kunsztownym makijażem nieco zbłądła i machinalnie pomasaowała sobie prawe kolano.

– Tak... to się zgadza panie komisarzu, to prawda, tyle że w zasadzie Anatol został mi polecony przez naszego dyrektora. A zatrudniły go kadry, nie ja. Ja tylko tutaj... bezpośrednio... Miał od dyrektora Darskiego znakomite referencje... Ja mam pełne zaufanie do pana dyrektora. – Szeffowa akwizycji zaczynała się jąkać i z tego wszystkiego już miała łzy w oczach.

– Myślę, proszę pani, że wasz dyrektor bardzo ładnie zrobił, polecając takiego zdolnego pracownika. Musiał go dobrze znać, prawda?

Jolanta Dębicka nie była głupia i umiała także od czasu do czasu pomyśleć. Banyś niepokoił ją od samego początku. Taki jakiś oślizgłe przylepny, z tymi włosami zaczesanymi do tyłu i wiecznie jakby niedomyty, nie pasował do znajomych dyrektora czy też do jej wyobrażeń o znajomych dyrektora. Zastanawiała się, co mogłaby odpowiedzieć komisarzowi.

– Czy mogłaby nam pani przynieść akta Banysia?

– Jakie akta ? U nas chyba nic nie ma.

Na oczy nie widziała podania Banysia, a już życiorysu w ogóle nie знаła. Wszystko było załatwiane z dyrektorem na gębę. Nawet uprawnienia Banyś zrobił tak jakoś bez szumu, szybko przyszło zawiadomienie, że już może pracować, podpisali umowę i tyle. A potem umarł! Tak nie robi żaden porządny człowiek! Tyle czasu mu ostatnio poświęciła na wprowadzenie w teren, tyle pracy. Miały być efekty natychmiastowe, Banyś podobno miał bardzo bogatych przyjaciół, którzy chcieli się u niego ubezpieczać. Przynajmniej sam tak twierdził, ale nazwisk ani adresów nie podał. Co to, to nie! Była wściekła, że tak dała się zrobić.

– Czyli gdzie są umowy o pracę i wszystkie inne dokumenty związane z agentami i pracownikami? – drążył temat komisarz.

– Jak to gdzie? W kadrach! – wyrzuciła z siebie zdenerwowana Jolanta. – Oni wszystko zabierają od nas i trzymają przy sobie. Musicie jechać do centrali.

– No tak, to i u was też centralizacja – stwierdził z ubolewaniem aspirant.

– A żeby pan wiedział, wszystko z dolnych szczebli idzie na górę, ale jak tłumaczył mi dyrektor, to sprawi, że będziemy mieli mniejszą odpowiedzialność za pracowników. Centrala ma trzymać rękę na pulsie... Tak mówi dyrektor – powtórzyła słabo.

– No cóż, dziękujemy za poświęcony czas i gdyby pani coś sobie przypomniła, to prosimy o kontakt.

– Pani Agato! – Komisarz wyjrzał za drzwi, odprowadziwszy najpierw zatroskaną Jolę. – Czy kierownik już wrócił ze swojej wycieczki?

– No właśnie nie i prawdę mówiąc, martwię się o niego, czy z głupoty nie zrobi czegoś nieodwracalnego. On jest taki trochę słaby psychicznie. Jeszcze dzisiaj te oświadczyń, tłumaczyłam mu, żeby zaczekał chwilę, przyjrzał się kobiecie, to powiedział mi, że zakochał się od pierwszego wejrzenia, że to kobieta jego życia, a ja jestem zazdrosna i nic nie rozumiem. Zakochał się jak młokos! Dzisiaj przytargał snop czerwonych róż. Dla niej! Miał umówione spotkanie w parku około południa, a tu ani jego, ani kwiatów, a ja nawet nie znam numeru telefonu do tej kobiety.

– Niech pani dzwoni do niego na komórkę, może odbierze – zasugerował Tomek Kulik.

– No właśnie dzwonię, ale jest poza zasięgiem. Co ten mój kierownik wyprawia! – biadała z uczuciem, ale ani jedna łza nie zakręciła się jej w oku.



Akwizycja i księgowość czuły się przesłuchane i uwolnione od podejrzeń. W końcu czekało jeszcze tyle roboty do zrobienia, zaczynało dochodzić południe. Anatol już zapewne spoczywał na stole sekcyjnym u doktora Ziębińskiego, czekając na swoją kolej. Po korytarzach firmy zaczynały krążyć sprzątaczk.

– Matko jedyna! A któż tu tak napaskudził? Popatrz, Janka, środki to nam ciągle wydzielają, ale sami nie z tych, co myślą o pracy innych. Tylko wyrzuty, jak się człowiek trochę spóźni, a tutaj jak wygląda! Posypane, znowu ktoś przy ksero majstrował. Papiery na podłodze. Jakieś tornado tu przeszło? Bierzymy się do roboty, potem przyjdą i będą narzekać. Odkurzanie im przeszkadza, że niby buczy!

– Co ma nie buczeć? Niech kupią nowoczesny odkurzacz, to będziemy cicho sprzątać! – pyskowały na zmianę.

– Daj no ten nowy proszek do dywanów, on jest dość dobry, chociaż niby ekologiczny, machniemy raz dwa. Nie ma się co kierownika pytać, bo znowu będzie biadolił, że to dużo pieniędzy, a on ma ograniczenia.

– Co racja, to racja. Popatrz no, przecież to chyba krew! – wykrzyknęła młodsza ze sprzątaczek, Ilona.

– Ja to jestem taka bardziej obrzydliwa i krwi się nie ruszę, zaraz mnie mdli. – Pani Janka przewróciła oczami.

– Pewnie znowu się komuś omsknął na palce ten nożyk do papieru. Też nie mają czym, tylko nożykiem do papieru chleb smarować.

– Ale sama pani Ola mówiła, że on jest jedyny do takich rzeczy, ostry jak żyleta, a jeszcze lepszy do obierania warzyw i owoców.

– Bierzmy się do roboty, te plamy to ze dwa razy musimy przelecieć, inaczej zostanie ślad. – Obie wzięły się do szorowania, pomstując gromko i nie zwracając uwagi na to, że księgowość jest nietypowo pusta o tej porze dnia.



„Robota sama się nie zrobi” – ta maksyma towarzyszyła panu Józkowi całe życie. Swoje przeszedł. Teraz, na emeryturze, cenił sobie święty spokój, chociaż wiedział dobrze, że ten święty spokój skończył się w piątek z chwilą, gdy został dziadkiem. I to jakim dziadkiem! Najprawdziwszym w świecie – córka urodziła mu wnuka. Mały ważył trzy sześćdziesiąt, miał granatowe oczy i małą łysinkę po dziadku. Był śliczny, upragniony i wyteśkniony. Przyszedł na świat odrobinę wcześniej i sprawił, że przyszły dziadek na moment zapomniał o swych służbowych obowiązkach.

W zasadzie pan Józio nie był na sto procent pewien, czy włączył w piątek alarm po obchodzie czy nie. Swoją niepewność zrzucił na pewien automatyzm, jaki wyrabia się w każdym człowieku, który stale robi to samo. Poza tym zostawił Różę na posterunku, a ona dobrze wiedziała, co ma robić w razie czego. Róża była uroczą brunetką, podpalaną lekko, mieszkanką wilczura z jakimś miłym kundelkiem, bardzo inteligentną i godną zaufania.

Teraz, wysłuchawszy najnowszych plotek, pan Józio rozgrzeszał się w myśli, przysięgając sobie, że nie będzie wspominał o alarmie policji. W końcu jeżeli nie zapytają, to nic nie powiem, układał sobie w myślach. Nawet nie zamierzał się wychylać, za dobrze mu było tutaj, a teraz pieniądze jeszcze bardziej będą rodzinie potrzebne. Klucze miał zawsze przy sobie, tego był pewny. Dopilnował wszystkiego, jedynie nie zaglądnął na poddasze, ale tam te sytuacje takie krepujące. Nawet sprzątaczkę już się skarżyły, że nauczone doświadczeniem pukały w drzwi gabinetu kierownika, szurgotały

odkurzaczem, rozmawiały głośno, ale niejedną raz wchodziły do gabinetu i zastawały kierownika w intymnej sytuacji z taką zdziwowaną panią. Gdzie taka do kierownika? Mówił, że się zakochał na amen, i pewnie to prawda.

Iłona kiedyś w sekrecie powiedziała mu, że nie wierzy w tę jej miłość. Kiedyś przez przypadek weszła do gabinetu. Była pewna na sto procent, że kierownika akurat nie ma, rano dzwonił do Agaty, że jedzie prosto do centrali, no to poszła spokojnie sprzątać. Sekretarka akurat wyszła na pocztę, sekretariat był pusty. Otwiera drzwi z rozmachem, a tego, co zobaczyła, to nie jest w stanie opowiedzieć, bo takie rzeczy to się w filmach widuje, a nie w normalnym życiu... przynajmniej ona sobie nie wyobraża! Ale wie kogo widziała, chociaż od tyłu. Pan Józef niczego więcej się nie dowiedział, bo Agata wróciła do sekretariatu i musieli urwać miłe pogaduszki.

Cóż... gdyby był młodszy, to z chęcią pokręciliby się koło Iłonki, ale kto zechce takiego starego dziada? Westchnął ciężko i poszedł do kantorka zrobić sobie kawy. To już nie te lata, gdy mógł więcej wypić i po dwóch godzinach snu jak nowy iść do pracy.

A narodziny wnuka trzeba było oblać, zięć by mu odmowy nigdy nie darował. Teraz suszyło go niemiłosiernie, wypił już litr wody mineralnej, od klina musiał się powstrzymać, w końcu był w pracy. Nawet zamierzał się zwolnić. Kiedy dochodził do budynku, mignęła mu sylwetka kierownika, zawołał za nim, ale ten nawet się nie odwrócił. Widać było, że się spieszył, wymachując ogromnym bukietem czerwonych kwiatów. Panu Józefowi zdawało się, że to róże były, przepiękne. Pomyślał, że taki bukiet to wypadałoby kupić córce za tego wnuka. Wiktor go nazwali, po pradziadku, tak jak teraz modnie. Pożałował grosza i pomyślał, że córka wolałaby coś praktycznego, a przecież kwiaty do praktycznych rzeczy nie należą.

Tak mu się wszystko roziło po głowie i kłębiło, najchętniej by się zdrzemnął, a tu jeszcze musiał przepaloną żarówkę wymienić, dokręcić śrubki w klamkach okiennych, dać Róży jeść. Masa spraw i nic się samo nie zrobi.



Kierownik biura w firmie ubezpieczeniowej Bezpieczna Przyszłość, Teodor Bryś-Kowalski, był nie byle jakim snobem. W czasie wolnym od pracy wysiadywał przy komputerze, szukając w internecie swoich rodowych, jaśnie pańskich przodków – niejaki Brysiów, herbu Nie Do Końca Wiadomo Jakiego. Kierownik oprócz swojego stanowiska kierowniczego nie osiągnął w życiu zbyt wiele. Oczywiście ukończył liceum ogólnokształcące, potem bez większego zapału socjologię. Ze względu na układ godzin wykładów mógł od drugiego roku studiów także pracować. A pracować musiał. Ojca właściwie nie pamiętał. Niejaki Edwin Bryś-Kowalski, uroczy obibok, wieczny student, przedmiot marzeń koleżanek studentek w czasie upojonej, bigbitowej prywatki spłodził jedyne dziecko. Wybranka, jak się rano okazało, nie była ani zbyt piękna, ani zbyt bogata, miała natomiast dwóch dobrze zbudowanych braci. To przesądziło sprawę.

Ślub w pięknej oprawie odbył się jesienią 1970 roku, po czym szybko na wiosnę 1971 roku przyszedł na świat pierworodny Teodor Jan. Matka Natalia była szczęśliwa do tego stopnia, że nawet nie zwróciła uwagi, iż Edwin – mąż od niedawna, wyszedłszy po zakupy, już trzeci dzień nie wracał. Najpierw autentycznie nie zauważyła, zajęta maleńkim synkiem, potem zaczęła się niepokoić, na końcu

zadzwońiła do rodziny. Myślała, że szczęśliwy tata czci urodziny dziecka. Nic z tego, nie było go nigdzie, tak więc po trzech dniach zawiadomiono milicję.

Młody tata zniknął. Krążyły plotki, że uciekł do Ameryki albo zgoła do Brazylii. Nigdy nie dał znaku życia i najpierw żona, a potem również syn pogodzili się z myślą, że Edwin nie wróci. A życie toczyło się dalej. Matka Teodora jakoś skromnie, bo skromnie, ale dawała sobie radę. Do piętnastej pracowała w księgowości pobliskiego PGR-u. Po godzinach dorabiała szyciem i jakoś wiązała koniec z końcem. Potem wymagania i potrzeby Teodora wzrosły. Zawsze uważał, że jest do większych i wznioślejszych celów stworzony niż normalna praca od siódmej do piętnastej. Na studiach, bo coś ukończyć trzeba było, wziął się Teodor za zarabianie na swojej pasji i w czasie wolnym zajmował się genealogią. Zawsze udawało się znaleźć jakiegoś szlacheckiego przodka w rodzinie, choćby dziesiątą wodę po siódmym kisielu. Praca była miła, ale wystarczająca tylko na potrzeby studenta, potem gdy matka zaczęła niedomagać, Teodor potrzebował coraz więcej pieniędzy na leki, lekarzy i opiekę nad nią. Gdy zmarła, poczuł się samotny i wolny. Ale jak miał korzystać z wolności, skoro nie miał pieniędzy?

Mimo iż zawsze brakowało mu uzdolnień matematycznych, skierował się w stronę finansów. Popracował w jednej, drugiej i następnej firmie ubezpieczeniowej, a kilka lat temu, korzystając ze znajomości z synem prezesa Darskiego, osiadł w Bezpiecznej Przyszłości.

Było mu tu jak u pana Boga za piecem. Miło, cicho i spokojnie. Co księgowa dała do podpisu, to podpisywał, podpisywał też protokoły likwidatorom i „kasa wyda” kasjerce. Co kto chciał. Wychodził z założenia, że są to ludzie, którzy znają się na swojej pracy – w odróżnieniu od niego.

Raczej bezkonfliktowy, odbębniał swoje osiem godzin za horrendalne pieniądze, po czym wracał do domu i oddawał się swojej historyczno-genealogicznej pasji. Na co dzień starał się nosić elegancko. Niedościągłym ideałem był dla niego dyrektor Darski. Nie każdego jednak stać na ubrania od Armaniego i buty robione na zamówienie.

Natomiast stać go było na eleganckie koszule, zawsze ze spinkami do mankietów – guziki wydawały mu się takie plebejskie. Miał także kolekcję szpilek do krawatów i odpowiednio dobranych garniturów. Nie był brzydki, tylko ten wzrost metr sześćdziesiąt w kapeluszu. Podwyższone obcasy były w stanie dodać mu pięć centymetrów, kapelusz drugie tyle. Zawsze pocieszał się myślą, że Napoleon też był niski, a ile osiągnął. On też miał wszystko przed sobą, do momentu, gdy poznał Manuelę.

Myślał, że o takiej miłości piszą tylko w książkach, bo przecież jak można zakochać się od pierwszego wejrzenia w osobie, o której nie wie się nic? Poznał ją, jak to zazwyczaj w życiu bywa, przez przypadek. Siedział samotny w gabinecie. Agata akurat musiała jechać ze służbowymi dokumentami do centrali, nikt do niego nie zaglądał, a on nudził się niemiłosiernie.

Nagle drzwi otworzyły się, przysięgłby, że owiał go ciepły wiatr. W drzwiach stała Rusałka. Oczy zielone intensywnie (teraz wiedział, że to szkła kontaktowe), włosy długie, jasny blond, przetykane złocistymi pasmami, smukła, wiotka. Jak z filmu. Ubrana była w śliczną czarną kurteczkę z futerkiem, spódniczkę mini w białą czarną pepitkę i czarne kozaki na wysokiej szpilce. Chociaż był to marzec, wiosna jeszcze nie zawitała. Raził go grom z jasnego nieba, jeszcze zanim się odezwała. Głos psuł trochę pierwsze wrażenie, odrobinę zbyt gruby, prawie męski. Dla niego było już po sprawie. Przepadł. Przyszła ze skargą, twierdziła, że agentki na dole potraktowały ją niegrzecznie, nie chciały jeszcze raz wyliczyć składki, wyszło tak dużo... myślała, że się pomyliły... Za chwilę już siedziała przy jego biurku ułagodzona, piła kawę przygotowaną osobiście przez niego i z uroczym uśmiechem słuchała rozwlekłych opowieści o rodzice Brysiów.

Randki wcale nie były tak częste, jakby sobie Teodor życzył. Manuela wiecznie była w rozjazdach. Podobno reprezentowała jakiś wielki koncern farmaceutyczny i ciągle jeździła w delegacje. Teodor odnowił mieszkanie, kupił pierścionek zaręczynowy z prawdziwym brylantem. Biżuteria po mamie nie nadawała się do oświadczeń. Szarpnął się na bukiet róż i postanowił, że oświadczy się w poniedziałek. Poniedziałek był jedynym dniem, w którym Manuela była w stanie poświęcić mu odrobinę więcej czasu. Miał nadzieję, że wszystko zmieni się po ślubie, przecież on dobrze zarabiał, starczyłoby im spokojnie na wszystko, pojawiłyby się dzieci. Niezgody wybranki na swoje mrzonki nie brał pod uwagę.

Po przyjeździe do biura przeżył ciężki szok. Anatol Banyś w charakterze nieboszczyka, policja w firmie, zakaz wychodzenia, zeznania do protokołu. To przechodziło wszelkie pojęcie i krzyżowało jego misternie utkany plan. Wchodził do gabinetu z bijącym sercem, Agata od swojego biurka spoglądała na niego podejrzliwie, czujna jak zawsze. Kombinował, w jaki sposób wyjść z firmy i wrócić, najlepiej niezauważonym.

W międzyczasie Agata przyniosła pocztę, kawę i obdarzyła go cierpką uwagą na temat prowadzenia się wybranki. Nie zareagował na docinki, Agata po prostu, jak to kobieta, była zazdrosna i nieobiektywna. Żeby odwrócić jej uwagę, zajął się pocztą i zaczął przeglądać posegregowane dokumenty.

– Pani Agato! – wykrzyknął z naganą. – Czym pani złała te papiery?

Dokumenty faktycznie pachniały coraz mocniej.

– Od zapachu opium pęka mi głowa, nigdy pani nie używała tego świństwa!

– Nie przyszloby mi do głowy zlewać się perfumami! – Sekretarka była coraz bardziej wkurzona. – Proszę bez takich zarzutów! Czym ta pańska Manuela pachnie, to pan wie, bo sam pan jej kupuje, a na moje zapachy nie zwrócił pan do tej pory uwagi. A dlaczego? Bo są wyjątkowo delikatne! – Agata nie omieszkała mu przyciąć. Zaczęli oboje wachać każdą kartkę papieru rozłożoną w segregatorze.

– Jest!

– To na pewno ten list! – Agata mięła w rękę niebieską kopertę.

– A cóż to takiego? – Kierownik pochylił się nad kopertą.

– To! To właśnie stąd wydobywa się ten odurzający zapach! – Drżącymi z podniecenia rękami Agata sięgnęła po list i cofnęła je natychmiast speszona.

– Proszę zostawić! To do mnie! – krzyknął ostro kierownik.

W tej samej chwili zauważyła adresata i przypomniała sobie, że nie rozcięła listu właśnie ze względu na jego prywatny charakter. Kierownik już trzymał w rękę wyciągniętą z listu kartkę.

– Dziękuję, może pani wracać do swoich spraw. – Odprawił sekretarkę jednym ruchem ręki.

Na złożonej na pół kartce papieru widniał napisany drukowanymi literami tekst: „TY BĘDZIESZ NASTĘPNY”.

– O, nie ma! Jeszcze czego! – mruknął pod nosem.

Szybko pomyślał, pokojarzył i już obarczony wypchaną teczką i różami schodził, cały się trzęsąc, po drabince przeciwpożarowej. Manuela nie mogła czekać.



Komenda Miejska Policji robiła obskurne wrażenie, zwłaszcza po przepychu panującym w firmie ubezpieczeniowej Bezpieczna Przyszłość. Na zasadzie porównania komisarzowi zaraz od wejścia rzuciły się w oczy odrapane i obkopane przez pokolenia doprowadzanych na przesłuchanie drzwi. Miejskami złaźła z nich farba, a klamka robiła wrażenie prowizorki. Gdzie jej tam było do złocień i ornamentów obowiązujących w firmie ubezpieczeniowej. Korytarze raziły burością farby olejnej i napisami w stylu „walcie się”, dzierganymi przez młodocianych chuliganów.

Pokój komisarz Jodła dzielił z młodszym aspirantem Tomkiem Kulikiem i posterunkową Marzenką. Pracowało im się dobrze. Marzenka dopasowała się dosyć szybko do atmosfery niewymuszonej dyscypliny narzuconej przez Jodłę i dzięki temu została zaakceptowana przez chłopaków. Była typem wysportowanej chłopczycy i nic sobie nie robiła z rozmarzonych spojrzeń, jakimi obrzucali ją co poniektórzy funkcjonariusze, nie wyłączając młodszego aspiranta Kulika, który dla niej potrafił nawet rzucić palenie. Usłyszał tylko jedno zdanie wypowiedziane niby mimochodem: „Prawdziwy mężczyzna nie pali” i poczuł, że on też jest prawdziwym mężczyzną. Droga do zdobycia przychylności Marzenki była długa i kręta, ale piękna dziewczyna tak mu zapadła w serce, że gotów był do największych poświęceń i wzmózonych błysków intelektu.

Po powrocie z firmy ubezpieczeniowej podzielił się z Marzenką wątpliwościami na temat uczciwości całej tej pozał się Boże załogi.

– Ty się popatrz, Marzenka, przecież oni wszyscy, żeby pracować w tym fachu, muszą być niekarani, muszą mieć nieposzlakowaną opinię, a tutaj z tego, co do nas doszło, to kant kantem pogania. A tacy mądrzy też nie są, zawiść nimi miota, zwłaszcza była żoną Zdebskiego. Ależ to musiała być zołza w prywatnym życiu, no, ten Zdebski też nie lepszy, kompletny brak charakteru – komentował zachowania pracowników firmy aspirant Kulik. – Wiesz, zastanawia mnie, dlaczego zabito tego Banysia. Tam jest tak jakoś dziwnie, jakby nieboszczyk leżący pod biurkiem nie był żadną sensacją. Nadspodziewanie szybko wszyscy doszli do siebie. Żadnych krzyków, zemdleń, jedynym tropem w tej chwili jest jego wcześniejsza znajomość ze Zdebskim i donos byłej żony Zdebskiego. – Marzenka na chwilę podniosła oczy znad czytanego właśnie protokołu z przesłuchania.

– A ci koledzy zamordowanego? Z tego tutaj – postukała palcem w kartkę leżącą na biurku – wynika, że nieboszczyk w dniu śmierci był z kimś umówiony. Ja bym zaczęła od ustalenia, kim byli znajomi Banysia. Czy rzeczywiście się z nimi spotkał, no i trzeba by było sprawdzić alibi pracowników. – Marzenka odłożyła przeczytany protokół i zaczęła bazgrać po służbowej gazetce. Rozmyślała przy tym intensywnie. – Kiedyś czytałam o takim śledztwie, które szło właśnie tylko w kierunku spraw służbowych, ponieważ morderstwo zostało popełnione w pracy, a potem okazało się, że był całkiem inny motyw, prywatny, którego nikt nie brał pod uwagę... Poza tym – dodała – czy Banyś miał jakąś rodzinę?

– Z tego, co mówią pracownicy i ta cała Jola, rysuje się obraz osobnika samotnego, bez żony i dzieci, a my nie wiemy, czy to prawda. Oni właściwie nic na temat zamordowanego nie wiedzą. Jest im kompletnie obojętny.

– Czyli przede wszystkim rutynowe postępowanie. Zresztą zobaczymy, co szef zdecyduje – skończyła temat i zajęła się porządkowaniem biuletynów informacyjnych zalegających biurko.

Komisarz po dotarciu do komendy poczuł się głodny. Wprawdzie od dzieciństwa wpojone przez rodziców poczucie obowiązku gnało go do pracy, to jednak głód przeważał.

– Może zamówilibyśmy jakąś pizzę albo kurczaczka na spółkę? – Jodła nie zamierzał sam płacić za obiad.

– Ale ty fundujesz. – Aspirant postawił na asertywność, chociaż też go ssało.

– No dobrze, panowie, dzisiaj ja stawiam. – Marzenka miała własny interes w zażegnaniu sporu. – Ja stawiam obiad, ale jeżeli okaże się, że morderstwo Banysia nie miało nic wspólnego z jego pracą, to wy stawiacie obiad w Mikado.

– Na taki układ możemy pójść, pewnie obejdiesz się smakiem, a my teraz skorzystamy. – Zadowolony komisarz łąpał za telefon i już zamawiał kurczę pieczone, trzy sałatki i trzy porcje frytek. Marzenka słuchała, licząc w pamięci kasę, jaka jej została w portfelu po ostatnich zakupach.

– Panie komisarzu, bo pan będzie dopłacał do tego obiadku – zwróciła mu delikatnie uwagę.

– Ty się nie martw, Marzenka, ja wiem, że w razie czego to ten twój obiad będzie się składał z pięciu dań i trzech rodzajów wina, a my z Tomkiem będziemy głodować przez przynajmniej tydzień. – Lubił się troszkę podroczyć z Marzenką, teraz też zauważył lekkie rumieńce na policzkach i maleńką łezkę w oku. Tu taka mocna z niej baba, a wrażliwa, że aż dziw. Pomyślał. – Nie łam się, Marzenka, może wyjdzie na twoje. A swoją drogą, ja bym się jeszcze chętnie przyjrzał temu włamaniu do monopolowego. Myśmy to tak troszkę zlekceważyli, bo w końcu co nieboszczyk to nieboszczyk, ale to włamanie też może mieć coś wspólnego z morderstwem, poza tym musimy poprawić wykrywalność. Tomku, ślady na miejscu mamy zabezpieczone, zeznania zebrane, teraz tylko musimy analizę dowodów zrobić. Sprawdzić wszystkich znajomych Banysia i zorientować się, czy miał jakąś rodzinę, bo na razie jesteśmy w lesie i to ciemnym.



Jola odchodziła od zmysłów. O jej biurko ciężko opierał się Strzępski i robił regularną awanturę. Teraz trochę zasapany zrobił sobie przerwę, co pozwoliło jej dojść do słowa.

– Panie Strzępski! Przecież na pewno wyjaśnimy tę sprawę. Skoro ma pan polisę w rękę, opłacił pan całość gotówką, to ja to wszystko sprawdzę i na pewno wypłacimy panu odszkodowanie. Proszę się nie martwić.

– Pani to się tak mówi! Nie martwić! Ja się dowiaduję od pani, że nie ma u was mojego ubezpieczenia... to, to dla mnie szok! – Strzępski był zbulwersowany. – Ja jeszcze dzisiaj idę na policję i wszystko im powiem, bo to coś mi się widzi nie tak! Ja jestem prosty handlarz od wódki, ale nikt mnie w bambuko nie będzie robił! – pieklił się ostatkiem sił.

– Panie Strzępski, na co jeszcze mieszać do tego policję? Mało ma pan kłopotów?

– A cóż to?! Pani mi grozi? – zdziwił się Strzępski.

– Nie, nie tak... Martwię się o pana – Jola uspokajała klienta, marząc, żeby jak najszybciej sobie poszedł. – Niech pan mi da tę polisę. – Wyciągnęła rękę.

– W żadnym wypadku, przecież to mój jedyny dowód, że jestem ubezpieczony. – Ze Strzępskim nie było łatwo.

– Ale ja tylko chcę ją sobie skserować, przecież panu jej nie zniszczę! – zdenerwowała się.

– Niech mi pani pokaże gdzie, to sam ją skseruję. – Strzępski nie zamierzał nikomu dawać do ręki jedynej gwarancji wypłaty odszkodowania od firmy. Oddał Joli kserokopię i na wyjściu, z ręką na kłance przypomniał: – A jakby pani coś nie pasowało, to oddam sprawę do sądu, mnie już na niczym nie zależy. Obrobili mnie do ostatniej butelki wódki, muszę mieć pieniądze, żeby zacząć z powrotem

handlować. Słyszałem, że ten, co mi pisał polisę, nie żyje. Na mieście mówią, że zamordowany, pewnie jaka mafia. Co to się wyrabia – westchnął i w końcu wyszedł.

Jak tylko drzwi się za nim zamknęły, Jola rzuciła się do komputera. Niewiarygodne, ale nigdzie nie mogła znaleźć śladu po polisie wystawionej przez Banysia. Mało tego, doskonale zdawała sobie sprawę, że jeszcze dwa miesiące temu Banysiowi nie wolno było wystawić żadnej polisy. Po prostu nie miał jeszcze uprawnień. A skąd miał druki?

Trzymała w rękę ksero normalnej polisy ubezpieczeniowej od ognia, kradzieży, wybicia szyb i odpowiedzialności cywilnej. Logo firmy, numer druku, wszystko na pozór było w porządku, oprócz tego, że Banyś nie dostał jeszcze żadnych polis.

– No to mamy niezły paszтет! Alina, popatrz na tę polisę. – Jola podsunęła pod nos księgowej kawałek papieru. – Czy ty widzisz to samo co ja? – Było to pytanie retoryczne, bo Jola do tej pory nie miała żadnych problemów ze wzrokiem.

Alina Dobrosz-Zdebska poobraćała papier w rękach.

– Wydaje się wszystko w porządku oprócz tego, że rzeczywiście takiej polisy w ogóle nie powinno być. Skąd on miał druki, pieczątki, bo taryfy to normalnie, w końcu uczył się na nich. – Chwilę się zastanawiała. – Poza tym prawda jest taka, że teraz my musimy być przygotowani na wszystko. Skoro wyszła na jaw jedna polisa, to może ich być dużo, nawet bardzo dużo, a Banysia przecież już nie spytasz, wygodnie pożegnał się ze światem – zauważyła z przekąsem i jednocześnie boleśnie prawdziwie.

Jola zdawała sobie sprawę, że teraz mogą zacząć się prawdziwe problemy. To, że Banyś zszedł z tego świata w pokoju księgowości, było niemiłe, niewygodne i zastanawiające. Niespecjalnie lubiła tego łysawego blondyna z zaczeską, mimo że bardzo się starał. Cały czas przynosił jej do pokoju to kawkę, to ciasteczka, starał się być miły i potrzebny, ale dla nikogo taki nie był. Teraz zdała sobie sprawę, że Banyś stał się nagle dla kogoś mocno niewygodny. Niewiele o nim wiedziała, tyle ile powiedział jej dyrektor Darski.

Była to swego rodzaju rekomendacja: że uczciwy, że znają się od lat, potrzebuje pracy, a ma odpowiednie znajomości i załatwi, co trzeba. Tak ją omamił, że przyjęła Banysia poza procedurami. Zresztą przywiózł świadectwo niekaralności, przedstawił dyplom ukończenia wyższej uczelni, wprawdzie takiej mniej znanej, ale dyplom był. Jola usiłowała sobie wszystko poukładać w głowie, potem pomyślała, że głowa to za mało i wszystko trzeba będzie spisać. Nagle dotarło do niej, że Bożenka coś mówi.

– Zaczekaj, szczerze mówiąc, nie słuchołam, zamyśliłam się. Co mówiłaś?

– Nic takiego. – Bożenka zawsze była skromna. – Pamiętacie, jak dwa lata temu przeprowadzaliśmy się na Łopianową, okazało się, że zginęła partia druków. O ile pamiętam, były to między innymi polisy dla małych i średnich podmiotów gospodarczych, trochę komunikacji i polisy uniwersalne. Spisaliśmy to wtedy na straty, ale zawiadomienie o zagubieniu druków do prasy nie poszło. Trzeba sprawdzić numery serii, przynajmniej mając tę jedną polisę, mamy jakiś punkt zaczepienia. Jeżeli okaże się, że mam rację, to musimy być przygotowani na wypłatę odszkodowania z polis, za które składka do tej pory nie wpłynęła. To już dwa lata! Albo ktoś miał do tej pory szczęście, bo nie było szkód do wypłaty i proceder trwa już długo, albo to dopiero Banyś zaczął działalność. W obu przypadkach mamy pytanie, skąd wziął czy też wzięli polisy. Wtedy jeszcze nie mieliśmy pojęcia o Banysiu – zakończyła i westchnęła. Miała serdecznie dosyć wszystkiego. Koleżanki popatrzyły po sobie porozumiewawczo.

– Ty wiesz... ty możesz mieć rację.

– Ona ma rację. – Opierając się o odrzwia, całej rozmowie przysłuchiwała się Agata z sekretariatu.

Jeszcze trochę na uboczu, pomimo że za chwilę miało pół roku odkąd zajęła miejsce powszechnie lubianej poprzedniej sekretarki kierownika. Postrzegana jako miła, bezkonfliktowa osoba, Agata Jaskólska z miesiąca na miesiąc coraz bardziej integrowała się z pracownikami biurowymi.

– Gdy robiłam porządki w sekretariacie, kilka miesięcy temu, odkryłam w jednej z szuflad stertę druków. Powiedziałam o tym kierownikowi. To były takie polisy bez przydziału. Kazał mi je zostawić na swoim miejscu i o nic się nie martwić, bo to jakieś rezerwowe druki. Na wszelki wypadek spisałam numery tych druków, bo o ile wiem, to nie ma czegoś takiego jak rezerwowe druki. Druki są na stanie magazynu, gdy agent czy pracownik uprawniony potrzebuje, to ja mu te druki przydzielam i wtedy schodzą mi z magazynu, a wiszą na danej osobie. Jak oddaje produkcję, to ja te druki ściągam z niego jako wykorzystane. Prawidłowo? – zwróciła się do pań stojących przy biurku Joli.

– Prawidłowo, jak najbardziej prawidłowo – odpowiedziały przytłoczone siłą argumentacji.

– Ale nie wiecie najważniejszego! – Agata jeszcze nie skończyła. – Te druki zniknęły, a ja nawet nie wiem kiedy!

– Niemożliwe!

– Jak to?! Tak pod pani nosem? Jak pani mogła?! Przecież to dowód... kierownik... policja. – Panie przerzucały się argumentami.

– Nic na to nie poradzę, z policją radziłabym się wstrzymać, natomiast prezesa już osobiście zawiadomiłam. To są wewnętrzne sprawy firmy.

– Kierownik, jak wróci, to będzie się tłumaczył – podsumowała z zaciekleścią Jola.

– To nie była moja wina, to on powinien mieć wszystko pod kontrolą – wyrwała się pani Alina, ściągając na siebie spojrzenia koleżanek.

– Alinko, o czym ty mówisz? – zapytała Ola Jarosz.

– A tak, sama nie wiem o czym, ta atmosfera tak na mnie działa – wykręciła się księgowa, żalując w duchu, że powiedziała cokolwiek.

– W takim razie muszę wam powiedzieć, że w każdej chwili możemy spodziewać się kontroli z centrali. Prezes zapewnił mnie, że tak tego nie zostawi i będzie dążył do wyjaśnienia wszystkich czynników sprawy. Powiedział mi, że bardzo mu się to wszystko nie podoba, że dochodziły do niego już wcześniej sygnały o nieprawidłowościach w naszym biurze, ale kontrola, ta, co to, pamiętacie, była w okolicach lutego, nie stwierdziła żadnych poważnych uchybień. Teraz kontrola będzie siedziała u nas tak długo, aż coś znajdzie i „wtedy głowy polecą i to z hukiem”, cytuję prezesa – postraszyła Agata.

Z przyjemnością zobaczyła, jak niektóre pracownice zbladły, a niektóre poczerwieniały, tak jakby miały za chwilę eksplodować. Dobrze wiedziała, że wśród pracowników nie ma ani jednej osoby o zupełnie czystych rękach i gdyby trochę poszukać, to na każdego coś się znajdzie. Nie były to może wielkie grzechy, tylko małe grzeszki, ale jednak każdy coś kombinował. No to dałam im do myślenia! Była zadowolona z ich reakcji. Niespecjalnie mściwa, chciała odegrać się na nich za to obgadywanie za plecami i różne bezsensowne, psujące krew posądzenia.

– No to pracujcie dalej, zaraz przyniosę wam te numery druków. U mnie nie zszedł żaden, tego jestem pewna. – Z tymi słowami oderwała się od odrzwi i poszła do sekretariatu szukać kartki ze spisem feralnych druków.

– Jak my teraz znajdziemy te trefne polisy? – zastanawiała się na głos Jola. – Przecież nie damy ogłoszenia w prasie typu: „Wszystkich, którzy posiadają polisy firmy Bezpieczna Przyszłość

wystawione w ciągu co najmniej ostatnich dwóch miesięcy i podpisane przez świętej pamięci Anatola Banyaśa, prosimy o zgłoszenie się do firmy celem weryfikacji”.

– Narobimy sobie tylko koło pióra. Trzeba po cichu przeprowadzić śledztwo i złapać tego, kto to wszystko tak sprytnie wykombinował – doradziła Ola Jarosz.

– Faktycznie, mnie się też nie chce wierzyć, że to sam Banyś wymyślił i wprowadził w życie taki przekręt. To musiał być ktoś od nas, ktoś, kto pracował z nami w momencie przeprowadzki i miał dostęp do druków. – Bożenka nie miała wątpliwości, coś trzeba było zrobić! Pytanie tylko: co?

Tylko Alina Dobrosz-Zdebska siedziała nadal milcząca, obecna tylko ciałem. Myślała, czy uda się jej utrzymać w tajemnicy to, co tajemnicą powinno pozostać. Wiedziała, że na razie powinna dla siebie zostawić posiadane informacje. W końcu chodziło o ich wspólny interes.

Południe już dawno minęło, a kierownik nadal nie wracał. Agata zaczynała się trochę niepokoić. Wprawdzie kierownik od dawna był już dorosły i odpowiedzialny według prawa za swoje czyny, ale Agacie czasami wydawało się, że spoza twarzy dorosłego człowieka wyziera oblicze znękanego dziecka. Zawsze taki pewny siebie, bufon i snob przeraźliwie obojętny na to, co się dzieje wokół niego, kierownik budził w Agacie matczyne uczucia. Teraz też zastanawiała się, co też takiego musiało się stać, że nie dość, iż uciekł w taki nietypowy sposób, to jeszcze nie dał znaku życia. Myślała, że ją chociaż odrobinę lubi, a przynajmniej szanuje. Miała dobre wyczucie ludzi i nie chciała, by wplątał się w jakąś aferę, z której nie byłoby wyjścia.



Ławeczka w parku była zajęta. Leżał na niej jakiś osobnik, widocznie znużony dniem. Twarz miał przysłoniętą bukietem kwiatów. Janek zwrócił na niego uwagę, bo szukał jakiegoś ustronnego miejsca, a właśnie ta ławeczka stała tak na uboczu. Dziwił się, jak można spać z różami na twarzy. Przecież niektóre mają kolce, chyba że się kupi odmianę niekłującą, jednak wszystkie mają takie sztywne listki. Nawet podszedł na chwilę i chciał je dotknąć, ale właśnie ten pan jakby drgnął i ręka mu opadła, więc wolał nie narażać się na ochrzan. Jak wracał ze spotkania z kumplami, facet dalej leżał, tylko brakowało bukietu kwiatów.

Że też dał sobie tak ukraść, nie złapał za ręce. Podszedł do niego zdziwiony i zauważył, że lewa ręka dalej zwisa mu bezwładnie. Chwycił go za tę rękę, spojrzał i momentalnie zrozumiał, że temu facetowi jest już wszystko obojętne. Na wieki wieków, amen.

Potem to już tylko było zamieszanie, policja, pogotowie i rosnący z minuty na minutę tłumek gapiów.

Jasiek świadkiem był bezcennym, tyle tylko, że nie wiedział czego dokładnie. Podobno zabity był jakąś ważną figurą, a poza tym ten z policji mówił, że szukali go od rana.

Niestety, na powrót do pracy Teodora Bryś-Kowalskiego nie było już szans. Leżał sobie niebożę na ławce i ostatnim widokiem, jaki zabrał ze sobą do grobu, był widok mordercy. Kogoś, kogo Bryś-Kowalski nawet nie podejrzewał o tak niecne zamiary, kogoś, komu ufał. Jak się okazało, ufał zbyt mocno.

Dookoła leżących nadal na ławeczce zwłok krzatali się znowu doktor Ziębiński z pomocnikami. Czekali na przyjazd ekipy śledczej, czyli komisarza Jodły i aspiranta Kulika, którzy po otrzymaniu

wiadomości zakleli szpetnie i powiedzieli, że postarają się jak najszybciej przyjechać.

Słowa dotrzyмали. W pośpiechu przelykając ostatnie kęsy kurczaka i sałatki, popijanych świetną, parzoną przez Marzenkę, herbatą, wybierając ostatnie frytki z tacki, pozbiali dokumenty i wladowali się do samochodu. Razem z nimi zapakowała się Marzenka, ciekawa dalszego rozwoju sytuacji.

– Nazywasz się Jan Banyś? – Młodszy aspirant Kulik rutynowo sprawdzał dokumenty.

– Tak... zgadza się – potwierdził Jasiek, zdziwiony, dlaczego ten policjant pyta, skoro ma wszystko w legitymacji szkolnej napisane.

– Opowiedz, w jaki sposób znalazłeś denata – poprosił go policjant.

– Najpierw widziałem go z daleka, jak leżał, to było tak z dwie godziny temu. – Jasiek zastanowił się. – Był taki dziwny, twarz miał zakrytą bukietem kwiatów, więc pomyślałem, że dzisiaj tak gorąco, potrzebował trochę cienia, to sobie gościu kwiatki na twarz położył. Nie zajmowałem się nim więcej. Ta moja komórka taka byle jaka, nie mogę złapać zasięgu, dzwonię i nic. – Cały rozżalony popatrzył na aspiranta. – Pan rozumie, kasy mi brakło, umówiłem się na wieczór z dziewczyną do kina i myślałem, że ojciec podrzuci mi parę groszy i tak dzwonię, i dzwonię, i nic.

– Czy twój ojciec to Anatol Banyś? – zapytała dociekliwie Marzenka.

– Skąd pani wie? – Jasiek był naprawdę zdziwiony.

– Kiedy ostatnio widziałeś ojca? – dopytywała się dalej Marzenka.

– No właśnie, dawno go nie widziałem. Ojciec się za bardzo nie chwalił, że ma tak dużego syna. Ja mieszkam z mamą, a on sam, taki niby kawaler. Nie jest źle. Kiedyś było gorzej, mama go ciągle o alimenty ściagała, ale przez ostatnie parę miesięcy to tata wobec mnie nadrobił zaległości finansowe, aż byłem zdziwiony, dlatego zadzwoniłem do niego w piątek i umówiliśmy się na dzisiaj w parku. Z kasą to tata się poprawił, ale dalej się mną nie chwali. A teraz to widzę, że ten na ławce to szef ojca. Tata mi go kiedyś z daleka pokazywał, przez te kwiaty wcześniej nie poznałem. – Jasiek zeznawał Marzence wszystko dokładnie, nawet nie zastanawiając się, dlaczego ją to interesuje.

– Słuchaj, mam dla ciebie smutną wiadomość. – Marzenka ściszyła głos. – Twój ojciec został zamordowany w piątek.

Marzenka zawsze uważała, że nieprzyjemne i przygnębiające rzeczy powinno się mówić wprost, bez owijania w bawełnę. Teraz z przykrością patrzyła, jak z oczu tego młodego chłopaka płyną łzy.

– Co?! Niemożliwe! To nie jest sprawiedliwe, przecież on się zmienił... – Jasiek walczył z napływającymi ciężką falą łzami. – Mój tata może nie był ideałem, ale dlaczego ktoś mu to zrobił? Znowu się przyzwyczajałem, że mam ojca, nie zdążyliśmy pogadać... teraz też, w piątek, był już umówiony z kumplami, mówił, że nie da rady odwołać... Obiecał, że w końcu siądziemy i pogadamy, opowie mi, jak poznał mamę i co się wtedy stało...

– A wiesz, z kim miał się ojciec spotkać? – zapytała Marzenka.

– No z kim ty tak Marzenka konferujesz? – Z boku doszedł do nich komisarz Jodła, wkurzony jak nigdy.

Jodła czuł się przejezdzony, rozleniwiony i miał lekkie wyrzuty sumienia z powodu rachunku, jaki Marzenka zapłaciła. Poza tym chciał wrócić do domu przed dwudziestą pierwszą na ulubione *Kryminalne zagadki CSI* – Nowy Jork, Las Vegas czy Miami to było mu obojętne, byle akcja toczyła się sprawnie i profesjonalnie wśród wyśnionych przez niego pomieszczeń laboratoryjnych, odczynników chemicznych i tym podobnych wymysłów, nieosiągalnych u nich w komendzie. Dla komisarza Jodły samo połączenie z internetem bywało nieosiągalne, a co dopiero cała reszta.

– Panie komisarzu, przedstawiam panu syna Anatola Banysia. Mamy niezwykle cenne zeznania dotyczące popołudniowego spotkania ojca. Tutaj spisałam namiary do tych kolegów. Mamy potwierdzenie, że po południu Anatol Banyś z kolegami oblewali otrzymanie przez niego licencji.

Jasiek już się trochę opanował.

– Muszę zawiadomić mamę, wprawdzie rozwiedziona, ale ona i ja byliśmy jego jedyną rodziną, bo dziadkowie od dawna nie żyją, a nie słyszałam, żeby miał teraz kogoś... – Czuję, że musi wziąć się w garść. – Trzeba załatwić sprawę pogrzebu, to pewnie też my?

– No, pogrzeb to nie tak szybko, tam jeszcze musi być sekcja i to bardzo dokładna, damy ci znać. Teraz opowiedz, co jeszcze przy panu Brysiu-Kowalskim rzuciło ci się w oczy. – Marzenka nie zamierzała zostawić sprawy luzem i drążyła dalej.

– Właściwie to nic takiego, tyle że wydaje mi się, że przy ławce stała, tak oparta o bok, teczka. Taka wypchana, czarna. Przy kierowniku, znaczy chyba była jego? Ja teraz wiem, że to kierownik, bo wcześniej to myślałam, że to jakiś pijak, tylko za porządnie ubrany. Oni są tacy więcej niechlujni, wie pani, o co mi chodzi – zwrócił się do Marzenki.

Pokiwała ze zrozumieniem głową. Zgadzało się. Kierownik Bryś-Kowalski nijak na menela nie pasował. Niezwykle elegancko i drogo ubrany, gładko wygolony, wymasowany rękami kosmetyczek, nawet po śmierci prezentował się doskonale.

Doktor Ziębiński dawno już skończył oględziny i po wstępnych uzgodnieniach zabierał zwłoki do siebie. Ślady po zadzierzgnięciu nie pozostawiały, pozornie, wątpliwości co do przyczyny śmierci. Czuję się niezwykle podniecony perspektywą krajania dwóch ciał, jednego po drugim. Nieboszczyka pierwszego, jak słyszałam, ojca tego miłego chłopaka, który odkrył nieboszczyka drugiego, musiał zamknąć czasowo do lodówki, nie zrobiwszy ani jednego nacięcia. Nieczęsto zdarzały mu się takie fantastyczne dni z dwoma nieboszczykami z rzędu. Będzie powód, by sięgnąć po ulubioną whisky. Aż cieszył się na tę perspektywę. A teraz, raz, raz i do pracy – sam siebie pogonił.

– To ja zabieram ciało i jedziemy do pracy – poinformował z uśmiechem komisarza.

– A ty coś taki zadowolony? – sarknął wściekle ten.

– No już, uspokój się, nie zabieram ci ich na zawsze, możesz przyjść do mnie i popatrzeć, może wyjdzie coś niespodziewanego, a teraz pozwól, że jednak się pożegnaj. – Z tymi słowami wsiadł do samochodu i z rozmachem zatrzaskał drzwi.

– Panie komisarzu, czegoś mi tu brakuje. – Marzenka nie zamierzała odpuścić śledztwa.

– Czego tu może brakować, dziecko? Denat w całości, nawet ubrania nikt nie ruszył, tyle że kwiatki przepadły, ale to podobno wyjątkowo piękny bukiet był, więc pewnie ktoś zabrał – podsumował komisarz.

– Zgadza się, tylko gdzie jest torba? Z zeznań wynikało, że przyszedł do pracy z bukietem róż i torbą. Potem uciekł też z różami i torbą, a w każdym razie nigdzie tam żeście torby nie znaleźli. Ciekawe, co się z nią stało i u kogo teraz jest? – dociekała Marzenka. – Może ukradł ją ktoś przypadkowy, a może została zabrana specjalnie. Nie wiemy, jakie papiery kierownik miał przy sobie. Może było to coś, na czym komuś bardzo zależało – zakończyła swój wywód. Była bardzo z siebie zadowolona.

– Marzenka, ty to wszystko zapisz, bo musimy zastanowić się nad tym, co wiemy.

– Co przypuszczamy?

– Co zdarzyło się naprawdę i kto maczał w tym palce.

– Musimy jeszcze sprawdzić tych kolegów Banysia. Jeżeli spotkali się na oblewaniu, to tam musiały odchodzić niezła pijatyka. Muszę zapytać Ziemińskiego, ile nieboszczyk miał alkoholu we krwi.

– Zabieramy się na komendę i nie życzyć sobie żadnych więcej nieboszczyków – zarządził komisarz Jodła.



Karolowi Barańskiemu szkody wychodziły już nosem. Tak to jest w życiu, jak się uprawia zawód na rozum, czyli tylko dla pieniędzy. Tak było w przypadku Karola. Wybrał zawód likwidatora szkód ubezpieczeniowych, bo było to jedno z lepiej płatnych stanowisk w okolicy. Miał umowę o pracę i solidnego pracodawcę. Pierwsze lata były całkiem niezłe. Szybko przyswoił sobie obowiązujące procedury i zorganizował pracę. Potem zaczęła działać siła przyzwyczajenia i gdyby nie nieboszczyk Anatol Banyś i spółka, Karol zapewne w jednej firmie pracowałby do emerytury. Karol podejrzewał, kto stanowił spółkę, wolał więc jak najszybciej poszukać sobie następnego zajęcia i tak zabezpieczyć odejść z pracy. Miał poczucie odpowiedzialności i wiedział, że po pierwsze musi zabezpieczyć odpowiedni poziom życia żonie i dzieciom. Chciał także uniknąć zarzutów związanych z dodatkowymi dochodami z warsztatu mechanicznego. Wiedział, że już nigdy nie zarobi takiej drugiej pensji, ale mówi się trudno. Dobre imię było dla niego ważniejsze. Teść nigdy by mu nie darował, gdyby naraził żonę i dzieci na nieprzyjemności i wytykanie palcami przez sąsiadów. Z kim, jak z kim, ale z teściem Karol się liczył. Teraz dodatkowo musiał opiekować się żoną. Obolała po operacji, dopiero powoli wstawała z łóżka i jakieś większe wysiłki były dla niej niewskazane. Musiał zająć się sprzątaniem, zakupami i kupnem podręczników dla dzieci.

No, niemożliwe, żeby dwa tygodnie po operacji nie mogła wstać i normalnego obiadu ugotować.

To mało powiedziane, że był zły. Był wściekły na własną, jeszcze dosyć kochaną żonę. W żonie zakochał się z rozmysłem. Była jedyną córką szklarni i sadów. Chociaż na początku teść kręcił nosem na zięcia, że taki niezbyt zamożny, mieszkanko małe i samochód też nie volvo, to z czasem, gdy przyszły na świat dzieci, przekonał się do niego i pomógł w budowie domu. Wprawdzie twierdził, że ostatnio interesy idą coraz gorzej, a on musi mieć coś odłożone na czarną godzinę, to i tak był jednym z bogatszych ludzi w mieście. Był także bardzo szanowany.

Córce, co uważał, to dawał, wnuki pozabezpieczał, tylko zięciowi skąpił, twierdząc, że on też zaczynał od zera.

Dlatego Karol Barański nauczył się kombinować. Praca w ubezpieczeniach nie była najgorsza. Wprawdzie bezpośrednio nie miał do czynienia z pieniędzmi, bo wszystko, co wyliczał, to były tylko cyferki na papierze, ale jak się jest pomysłowym, to można wiele... A on był.

Pozornie mogło się wydawać, że to właśnie on, Karol, ciągnie największe profity z pracy w firmie ubezpieczeniowej. Nic bardziej mylnego! Karol zaczynał się na serio bać. Za dużo widział i za dużo wiedział, a ostatnie wydarzenia tylko utwierdziły go w postanowieniu. Albo zniknąć z horyzontu, albo wykorzystać sytuację. Nie wiedział, jak postąpił kierownik, najbardziej niewinny osobnik, jaki pracował w firmie. Tutaj każdy robił dla siebie i ciągnął do siebie. Karol właśnie dokonał wyboru tego, co jest dla niego naprawdę najważniejsze.

Likwidacja szkód ciągnęła się niesamowicie, widać było, że ten przeuroczy człowiek, pan Karolek, stracił serce do pracy przytłoczony ostatnimi wydarzeniami. Bo któż to widział dwóch pracowników jednej firmy zabitych naraz. Wprawdzie mówią, że jest między nimi odstęp dwóch dni, ale mimo wszystko. Poszkodowani kiwali głowami, żądni najświeższych informacji, nawet nie wykłócali się jak zawsze o pieniądze, zaaferowani sytuacją.

Do domu włókł się noga za nogą. Służbowy samochód zostawił przy biurze. Chciał się przejść i pomyśleć. Nie miał zbyt wiele zakupów, w końcu był dopiero poniedziałek i jakieś resztki z niedzieli zostały do zjedzenia.

Zmęczenie ogarniało go całego, mimo że tego dnia zrobił bardzo mało. Żal mu było kierownika, który, miał wrażenie, zginął trochę przez przypadek. Nie byli bardzo życzliwi, ale w końcu od dobrych paru lat pracowali razem i Karol nie miał się do czego przyczepić. Chyba tylko do naiwności kierownika, ale to akurat nie był grzech. Nie wadził nikomu i fruun – już go nie ma! Może właśnie przez swoją naiwność zginął.

Karol postanowił porozmawiać z żoną. Poszukać perspektyw. Z policją? To się zobaczy. Na pewno teraz centrala przyśle kontrolę i trzeba się będzie ewakuować. Nie miał złudzeń i dobrze wiedział, że każda gruntowna kontrola wykryje jego kręactwa i powiązania. Może mu nie udowodnią na stówę, ale będzie musiał odejść. Teraz wypadało się uzbroić w cierpliwość i szukać nowej pracy. Z takim postanowieniem wszedł do domu. Od progu przywitał go jęklivy głos żony:

– Karol... prędko, masz gościa... Karol! Co ty się tak guzdrasz?! – Żona nigdy nie była uosobieniem cierpliwości.

– Już przychodzę, za chwileczkę, kochanie! Momencik – uspokajał Karol. Wszedł do salonu sprzężystym krokiem. Żona na razie nie mogła podejrzewać, że ma jakiegokolwiek kłopoty.

Wszedł i zamarł, wprawdzie nie w progu, ale blisko. Rozwalony w najlepszym, telewizyjnym, fotelu Karola siedział dyrektor Darski. Karol od razu wiedział, że czekają go kłopoty.

– Cóż to, panie Karolu, nie jest pan zadowolony z moich odwiedzin? – Dyrektor Darski nie silił się na zbędne uprzejmości. – W sumie się nie dziwię, człowiek w domu chce mieć odrobinę spokoju, wypoczynku od pracy, ale jak sam pan się domyśla, przygnały mnie niecierpiące zwłoki sprawy.

Karol patrzył na niego bezmyślnie i myślał tylko o jednym: jak odseparować go od żony.

– Panie dyrektorze, może odprowadzę pana do biura, zapewne zechce się pan rozejrzeć. – Była to jedyna propozycja, jaka w tym momencie przychodziła mu do głowy.

Dyrektor wyczuł, że nieposkromiona ciekawość pani Barańskiej niekoniecznie musi być dla niego wygodna i żwawo podniósł się z fotela, w tym swoim podniesieniu zawierając cały swój urok osobisty i wdzięk, tak działający na kobiety. Teraz też podziałało. Żona Karola uroczo się zaróżowiła, gdy dyrektor Darski pochylił się nad jej dłonią.

– Pani wybacz, madame, ale obowiązki wzywają. Mąż niestety ma rację, ogrom pracy przed nami, nie możemy zwlekać. – Uroczo uśmiechnięty, kłaniając się, wycofywał się za próg domu. – No cóż, panie Karolu, to idziemy.

– Kochanie... – Karol starał się mówić naturalnie. – Kochanie, nie czekaj na mnie z obiadem, to może trochę potrać. Gdybym nie wrócił do północy, to dzwoń na policję i wołaj komisarza Jodłę, bo może mnie pan dyrektor uprowadzić. – Kątem oka zerknął na dyrektora Darskiego, który w tym momencie miał ciśnienie bliskie trzystu.

– Panie Karolu! Co pan wygaduje, przecież pan wie, że jest mi pan potrzebny na dwie, góra trzy godziny. – Dyrektor opanował rosnące ciśnienie i był teraz normalnie, standardowo wściekły.

Szli krokiem marszowym, ramię w ramię. Rezerwę i brak zaufania wyczuwało się na odległość.

Ponieważ od domu Karola do biura droga nie była zbyt długa, po piętnastu minutach okazało się, że już są na miejscu.

– Proszę, proszę bardzo. – Dyrektor chciał przepuścić Karola przed siebie.

– O, nie ze mną takie numery. – Karol całe życie wolał dmuchać na zimne. – Panie dyrektorze! – wrzasnął. – Panie dyrektorze! Jakżeż mi przykro! – Dyrektor przystanął w miejscu zdziwiony zachowaniem Karola. A Karol ratował swoją skórę, ile sił, a w zasadzie tchu w piersiach. – Panie dyrektorze! Przecież nie wejdziemy do środka! Ja nie mam kluczy, policja opieczętowała w końcu księgowość, a Bożenka zmieniła kod do alarmu i nikt nie wie na jaki. Nie ma cudów, nie wejdziemy!

– Panie Karolu, proszę nie panikować, w zasadzie wcale nie musimy wchodzić. – Dyrektor przestępował z nogi na nogę, miał już dość tego całego Barańskiego. Najchętniej zwolniłby go w trybie natychmiastowym, ale niestety musiał się jeszcze wstrzymać. Karol był mu potrzebny. – Widzi pan... jest pan człowiekiem inteligentnym, zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji tego, co się u was dzisiaj wydarzyło.

Karol słabo skinął głową, coraz mniej mu się podobała ta cała sytuacja. Doskonale wiedział, jakie będą konsekwencje, i zamierzał po prostu w miarę szybko zwinąć żagle i uciec. Dyrektor jakby czytał w jego myślach.

– Mam do pana taką małą, przyjacielską po prostu prośbę. Chciałbym, aby pan od jutra zwracał szczególną uwagę na to, co się dzieje w biurze. Wie pan... plotki, donosy, przypuszczenia, może czyjeś nietypowe zachowanie. Teraz musimy zachować czujność. Poza tym chyba nie muszę panu przypominać, że kontroler już pakuje walizkę.

– Ależ panie dyrektorze, ja nie mogę... Nie jestem kapusiem!

– Tak się panu tylko wydaje. – Dyrektor nadal był uprzedzająco grzeczny. – Pan wie i ja wiem, jakie sprawy w pana przypadku mogą wyjść na jaw i nawet nie będzie potrzebne powiedzenie, że jak jest człowiek, to paragraf się znajdzie. – Roześmiał się cicho, ironicznie.

Karol zrozumiał, że dyrektor ma rację i każdy jego protest zostanie puszczonej mimo uszu. Co ten skubany dyrektor tu robi? To, że jest synem prezesa, jeszcze nic nie znaczy. Panoszy się tak, jakby firma już należała do niego.

– No cóż... – Karol uśmiechnął się krzywo. – Skoro pan dyrektor tak mnie docenia, to nie mam wyjścia. – Pomyślał, że najważniejsze to pozbyć się faceta, a potem coś się wykombinuje.

– To co? Jesteśmy jutro umówieni na małeńki telefonik po południu. Niech pan się nie krępuje, niech pan dzwoni, będę czekał! – Dyrektor uważał sprawę za przyklepaną.

Karol nie protestował, tyle jeszcze rozumu miał. Najważniejsze to wrócić do domu, otworzyć butelkę piwa i się napić. Karol nie tolerował puszek piwa, uznawał tylko i wyłącznie butelki, twierdził, że piwo inaczej smakuje, i pewnie miał rację.

Patrzył, jak dyrektor wyprowadza zza budynku firmy piękne, jedyne w swoim rodzaju porsche koloru wrzos metalik i delikatnie wprawia silnik w ruch. Usłyszał jeszcze ciche mruczenie maszyny, podobne do dźwięku wydawanego przez kota, który się objadł śmietany i dołożył żywego mięsa, i za chwilę po wizycie dyrektora pozostało tylko wspomnienie. Karol usiadł ciężko na schodach prowadzących do biura i westchnął.

Lubił żyć wygodnie, w swoim mniemaniu krzywdy nikomu nie robił, brał to, co mu się, jak uważał, należało, i nie miał wyrzutów sumienia. Ale dwa morderstwa! To już jest grubsza afera! Nie zamierzał być w nią wplątany. Zastanawiał się, jakie jest dla niego najlepsze wyjście z sytuacji. Dyrektor go

szantażował, bo że to był taki nie wprost szantaż, to Karol zdawał sobie z tego sprawę. Zastanawiał się, do czego były potrzebne dyrektorowi jakieś babskie ploty i w ogóle co dyrektor właśnie dzisiaj robił u nich w mieście, skoro nawet nie pofatygował się do firmy.

– Dzisiaj to ja już nic mądrego nie wymyślę – mruknął do siebie i zaczął się podnosić ze schodów.

– Karol! Od kiedy ty mówisz do siebie? – Usłyszał dobiegające z boku pytanie. To Bożenka stała przy schodach.

– A ty co tutaj robisz, spacerujesz o tej porze? – zapytał zdumiony.

Bożenka uśmiechnęła się smutno.

– Trafiałeś w sedno. Wysłałam na spacer, nie mogłam usiedzieć w domu. Wzorem wszystkich znanych mi książkowych detektywów usiłowałam spisać ciąg wydarzeń i wyłowić jednego podejrzanego, ale to nie takie proste, tylko mi głowa pęka i już nie mogę myśleć – poskarżyła się Karolowi.

Karol ogólnie był lubiany. Oczywiście wszyscy wiedzieli o jego mniejszych i większych grzeszkach i słabości do pieniędzy, ale „kto bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem”, więc nikt nie rzucał, a Karol cieszył się powszechną sympatią współpracowników i wręcz uwielbieniem poszkodowanych klientów. Tak zawsze potrafił przedstawić sprawę, że klient czuł się wygrany, a Karol i tak stawał na swoim. Na pewno potężna postura, opiekuńczość bijąca z jego sylwetki i dobrotny wyraz twarzy zjednywały mu ludzi.

Wbrew przypuszczeniom dyrektora Karol nie był dobrym materiałem na szantażowanego. Umiał liczyć i dobrze wiedział, że dyrektor musi mieć coś dużo większego do ukrycia niż on. On się prędzej czy później wygrzebie, ale dyrektor musi być umoczony w niezłym świństwie.

– Wiesz, Bożenka, mam propozycję, jeżeli ci to oczywiście odpowiada – zaczął ostrożnie.

– Co masz na myśli?

– Myślę, że dobrze byłoby zjednoczyć siły. Jutro w pracy siedlibyśmy na chwilę i zrekonstruowaliśmy ciąg zdarzeń. Ja też sobie z tym nieszczególnie radzę.

Zareagowała pozytywnie.

– Wiesz, my od rana usiłowałyśmy to wszystko poskładać do kupy i nijak nam nie wychodzi. Wiemy to, co wiemy, każda coś. Myślę, że policja wie więcej albo to, o czym my nie mamy pojęcia. Trzeba to wszystko spisać, bo Banyś to jeszcze... nie znałam człowieka, ale kierownik... Jaki był, taki był, ale był nasz własny i o ile wiem, nie miał nic takiego na sumieniu, co mogłoby skutkować morderstwem. Poza tym przecież wyszła sprawa druków, ciebie potem nie było... – Bożenka od razu podzieliła się sensacją z Karolem.

– Tak, poszedłem na szkody – potwierdził zaintrygowany Karol.

– No właśnie, a przyszedł Strzępski, ten z tego okradzionego alkoholowego, i się burzył. Miał polisę wystawioną przez Banysia prawie dwa miesiące temu, co nie było możliwe, bo Banyś nie miał jeszcze żadnych przydzielonych druków. Szukamy i tych polis nigdzie nie ma! Przekopaliśmy wszystkie pomieszczenia od piwnicy po poddasze i nic!

– No to dałaś mi do myślenia. – Karol był zadowolony, że zdecydował się porozmawiać z Bożenką. Jej dystans do rzeczywistości i zdrowy rozsądek kolejny raz pomogły mu złapać równowagę.



Pierwsze wyniki sekcji zwłok Anatola Banysia tylko potwierdziły wstępne orzeczenie – zginął on od ciosów zadanych nożem, bardziej nawet nożykiem. Nie był to bowiem nóż o długim i szerokim ostrzu, tylko raczej wąski, cienki nożyk. Coś w rodzaju scyzoryka lub nożyka do papieru. Okazało się, że zabójca, stojąc twarzą w kierunku zamordowanego, zadał cios prawą ręką. Być może przytrzymał lewą ręką już slaniającego się Banysia i zadał dla pewności jeszcze dwa ciosy, po czym dalej podtrzymując denata, przeniósł go do pomieszczenia kasowego i tam ułożył pod biurkiem kasjerki Bożenki. Nic nie wskazywało, że Anatol Banyś został wcześniej uderzony, ogłuszony czy w jakikolwiek inny sposób obezwładniony przez sprawcę. Nie zażył żadnego ze znajdujących się w obiegu i możliwych do wykrycia narkotyków, a zawartość alkoholu we krwi miał znikomą, czyli nie był to dla niego wyjątkowo imprezowy wieczór. Dzięki włączonej (ewidentnie przez sprawcę) klimatyzacji nieboszczyk zachował się w zadziwiająco dobrym jak na te upały stanie. Czyli, myśląc logicznie, mordercą był ktoś umiejący zachować zimną krew w każdej sytuacji.

Komisarz wyobraził sobie, jak to mogło być. Anatol Banyś na prywatnej imprezie oblewał otrzymanie licencji, cieszy się. Teraz już może pracować w pełni legalnie, bo w to, że Banyś był umoczony po uszy w proceder wystawiania fałszywych polis niestety trzeba uwierzyć. Impreza powolutku się rozkręca. Wszyscy uczestnicy to znajomi Banysia spoza firmy ubezpieczeniowej – jakiś kumpel z zawodówki, jakiś z poprzedniej pracy i jeden kolega, który niedawno wrócił ze Stanów i właśnie otwierał nowy interes, klub nocny. To właśnie w niewykończonych podwojach klubu nocnego Zakazane Piwnice panowie imprezowali, tyle że dla Banysia ta impreza skończyła się dość szybko. Czyli trzeba jak najszybciej przesłuchać uczestników zabawy. Jednak nie wiadomo, czy to pewny skład, bo w końcu syn Banysia nie musiał znać wszystkich kolegów tatusia.

– Marzenka! – rozdarł się komisarz. Posterunkowa jak mu zniknęła z oczu pół godziny temu, tak dalej nie wróciła. – Marzena! Do pracy! Nie objaj się! – Zastanawiająca cisza panowała dookoła, tylko upalne słońce nadal grało ściany pokoju. – Gdzie tę dziewczynę znowu poniosło?! – Denerwował się komisarz, czując, jak skacze mu ciśnienie. Po paru minutach drzwi otworzyły się i jakby nigdy nie weszła Marzenka.

– Co ja ci zawsze mówiłem?! Jak chcesz wyjść, załatwić coś na mieście, to mi powiedz, to cię puszcze, a nie tak bez uprzedzenia... A jakbyśmy musieli gdzieś jechać, to gdzie bym cię szukał? – Komisarz wylewał z siebie wszystkie żale. Marzenka patrzyła na niego zdumiona.

– Ależ – zająknęła się – ja nigdzie nie wychodziłam. Zrobiłam tylko dla siebie kserokopię akt z włamania do Strzępskiego i wypłam kawę z Tomkiem, ale nie zrobiłam nic poza regulaminem. Bo przy kawie też omawialiśmy sprawę – zakończyła z ulgą.

– No dobrze, ja nie mam pretensji, wszystko gra. – Komisarz za skarby świata nie przyznałby się, że martwił się o Marzenkę. Polubił dziewczynę i życzył jej dobrze. Skoro przyłgnęli do siebie z Tomkiem, też dobrze, dużo szczęścia na drogę, tylko niech się nie kryją po kątach, bo w komendzie i tak wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą, w końcu to policja. – Marzenka, nie wiem, jakie ty masz plany na jutro, ale ja mam propozycję. – Był teraz uprzedzająco grzeczny. I zdziwiony zobaczył, jak oczy dziewczyny znowu podchodzą łzami. – Marzenka! Co ci się stało? – Nigdy nie radził sobie z kobiecym płaczem.

– Bo dlaczego... dlaczego... – Marzenka już łkała – dlaczego pan mnie tak traktuje?

– Ale jak?

– Jak jakąś obcą, tak zimno! – załkała znowu.

– Jakie zimno? Co ty, Marzenka, wygadujesz? Uprzejmy jestem i tyle!

– No właśnie! Za uprzejmy, przedtem to mnie pan lepiej traktował, ale te śledztwa, wszystkie naraz, chyba tak na pana podziały! – wydusiła z siebie.

– Marzenka, ty się uspokój i nie rób cyrków, robotę mamy i nie ma czasu tak się mazgaić! Dzisiaj kończymy. Jutro od rana szukamy tych kolegów, z którymi imprezował Anatol Banyś. Doktor Ziębiński obiecał protokół z sekcji Brysia-Kowalskiego, więc będziemy mieli co czytać. – Odsapnął i zobaczył, że twarz Marzenki zdążyła się rozpozgodzić, osiągnęła swoje i już teraz wiedziała, jak manipulowała komisarzem, żeby dał jej robić to, co ona chce, czyli wszystko trudne, ciekawe i skomplikowane.

– Jest pan kochany! – Uśmiechnęła się uroczo. – To ja się na dzisiaj pożegnám, do zobaczenia.

I tyle ją widział, a wcale nie powiedział, że to ona będzie to wszystko robiła. Tak naprawdę to nic takiego nie powiedział. Czas najwyższy był już pojechać do domu. Komisarz Jodła pozamykał okna, posprawdzał, czy wszystkie szafy zamknięte, zamknął drzwi i wolno zszedł na dół do samochodu. Był potwornie zmęczony. Co za piekielne nalożenie się zdarzeń. Wiedział, że musi sobie wszystko poukładać od początku, spisać, ponumerować, posegregować. Nie cierpiał papierów, ale z drugiej strony nic mu tak nie rozjaśniało umysłu, jak dokładne, punkt po punkcie, spisanie wydarzeń. To, oprócz przesłuchania kolegów Banysia, zaplanował na następny, jakże już bliski dzień.



Każdy, kto chociaż przez chwilę pracował w jakimkolwiek biurze, wie, że poniedziałki to dni zmamowane, bo po niedzieli nikomu nie chce się pracować. Wtorek to dzień na rozkręcenie się i rozpoczęcie jakiejś konkretnej pracy. W środy się pracuje, w czwartki natomiast pracownicy ciężko przepracowani mówią, że tylko czwartek dzieli ich od piątku, bo w piątek już tak po dwunastej wielu rozpoczyna weekend.

Agenci ubezpieczeniowi w firmie Bezpieczna Przyszłość pracowali, praktycznie rzecz biorąc, przez całe siedem dni w tygodniu i to ich zasadniczo odróżniało od pracowników biurowych. Musieli zarobić na swoje utrzymanie, na opłaty, na pracowników biurowych, prezesa i syna prezesa. Byli przekonani, że nie mogą sobie pozwolić na najmniejszy odpoczynek, bo nie będą mieli z czego żyć, nie mówiąc już o jakości życia syna prezesa.

Firma wprawdzie dawała im kawałki terenu do spenetrowania, starała się też o klientów poprzez kontakty telefoniczne i na zasadzie „znajomy znajomego”, ale wszystkiego było mało. Musieli być dyspozycyjni na okrągło, bo inaczej nie byłoby w stanie wyżyć z pieniędzy, które im firma płaćła. Rezultat był taki, że zawierali całe mnóstwo ubezpieczeń, non stop polując na kolejnych klientów i kierując się zasadą Franka Bettgera, że największe korzyści przynosi zawieranie umowy przy pierwszej wizycie, bo to sprawia, że traci się mało czasu na jednego klienta i czas, który się zyskuje, można poświęcić na zdobycie następnego klienta i następnego klienta, i tak dalej.

Mało kto z nich miał czas na odwiedziny w firmie w poniedziałki, bardziej realny był wtorek. We wtorek słońce smażyło asfalt od rana i nikt przy zdrowych zmysłach nie pałał chęcią do pracy. Nie inaczej czuli się agenci ubezpieczeniowi firmy Bezpieczna Przyszłość, ale byli bardzo obowiązkowymi pracownikami i wiedzieli, że wtorek to święty dzień rozliczeń, wpłat, oddawania tak zwanej produkcji i w ogóle zmamowane godziny.

Gdy bladym świtem, czyli około dziewiątej, zawitali w firmie, dopadła ich nieprzyjemna wiadomość o śmierci kolegi i zaraz druga, o śmierci kierownika. Wprawdzie niektórzy coś tam słyszeli piąte przez dziewiąte, ale nie chcieli wierzyć w te, jak to określali, wierutne bzdury. Śmiercią Anatola Banysia mało kto się przejął, nie był ani zbyt lubiany, ani zbyt nielubiany. Dla większości po prostu obcy, obojętny człowiek. Fakt, że niektórzy z agentów płci męskiej nieraz z nim obalili pół litra niczego nie zmieniał. Po prostu odreagowywali stresy i lubienie bądź nielubienie Banysia nie miało z tym nic wspólnego. Co innego kierownik. Ten, jako raczej ugodowy człowiek, nie zachodził im zbyt mocno za skórę. Wprawdzie miewał czasami jakieś oderwane od ziemi pomysły, typu szkolenie wyjazdowe, dwudniowe, za które sami musieliby zapłacić, ale większość agentów podejrzewała, że za tymi akurat pomysłami stoi syn prezesa, czyli dyrektor. Żałowali trochę bezkrwawych rządów kierownika i zastanawiali się, kto teraz obejmie stery.

Atmosferę pełnej wspomnień żałoby przerwał przyjazd komisarza Jodły w towarzystwie atrakcyjnej, smukłej brunetki o brązowych oczach. Marzenka od rana tryskała energią i tłumaczenie komisarza: „Marzenka, daj spokój, pojedę z Kulikiem, pogadamy, wrócimy, ty za ten czas podzwonisz, poszukasz kolegów Banysia, przeanalizujesz dane”, otóż takie tłumaczenie zostało uznane przez Marzenkę za chęć złamania wczorajszej obietnicy. Kulik powiedział, że on wcale nie musi jechać, a Jodła nie miał zdrowia dalej dziewczynie tłumaczyć. Stwierdził tylko, że jak już jedzie, to może się czegoś nauczyć, i milczał przez całą drogę.

Piękna kobieta zawsze pozostanie piękną kobietą niezależnie od zawodu, jaki wykonuje. Męska część pracowników biura nie była wyjątkiem i nie pozostała obojętna na wdzięki dziewczyny. Dla nich liczyły się przede wszystkim długie nogi Marzenki i olśniewający uśmiech, a nie świadomość, że przyjechała policjantka. Marzenka szybko dostrzegła, że może to zainteresowanie wykorzystać dla dobra śledztwa.

Ani się komisarz Jodła zorientował, a już zadawała pytania i czarowała uśmiechem okalających ją wianuszkami mężczyzn. Na razie oprócz wytworzenia szampańskiej atmosfery wzajemnej adoracji Marzenka nie osiągnęła nic. Miłe słowa i uśmiechy nie spowodowały przyznania się do winy któregośkolwiek z panów. Czarowali ją, prawili komplementy i... nie wiedzieli nic.

Komisarz obserwował z boku całą scenę i zastanawiał się: interweniować czy czekać, co z tej wzajemnej adoracji wyjdzie. Marzenka poczuła na plecach spojrzenie szefa i postanowiła zadziałać.

– No, panowie! Było bardzo miło, ale teraz przystępujemy do pracy.

– Nie, no, pani Marzenko... taka kobieta i praca, panią to na rękach nosić, kwiaty przynosić, ale praca... – Rozległy się zgodne protesty.

– W takim razie to my teraz idziemy z panem komisarzem do gabinetu kierownika, a panowie i oczywiście panie – uśmiechnęła się ujmująco – przygotowują się do przesłuchania.

Jak do dzieci w szkole, pomyślał z irytacją komisarz, nie bez przyjemności obserwując wysmukłą sylwetkę Marzenki podążającej przed nim.

– No to koniec tego cyrku! – Marzenka zmieniła ton, gdy tylko zamknęły drzwi gabinetu. – Oni wszyscy kręcą, uprzejmi jak nie wiem co, ale fałszem zalatuje. – Poirytowanie aż od niej biło.

– Marzenka, ty się tak nie denerwuj, może i dobrze się stało, uspiłaś trochę ich czujność, będzie łatwiej jakąś nowość wyciągnąć. – Komisarz za wszelką cenę pragnął spokoju. – Jak myślisz, od kogo zaczniemy...? – Nie dokończył, bo do drzwi gabinetu ktoś zapukał, ściślej mówiąc zaskrobał w skórę. Marzenka otworzyła drzwi i zobaczyła jednego z emablujących ją panów.

Był to Karolek Barański, który nie zamierzał być kozłem ofiarnym. Po rozmowie z dyrektorem, a potem z Bożenką wrócił prosto do domu. Żona była zdziwiona, co tak szybko, wszak to sam dyrektor Darski go potrzebował, a przecież dyrektorowi, i to tak przystojnemu, się nie odmawia. Bił od niej smutek, że ona sama nie mogła w niczym dyrektorowi pomóc. Karol nie tłumaczył, co i dlaczego. Nie miał cierpliwości do wysłuchiwania teraz żoninych rad, przestróg, nakazów i zakazów, łącznie z tradycyjnym „a nie mówiłam”. Potrzebował po prostu odrobiny spokoju. Propozycją puszczenia prania w pralce („Popatrz kochanie, jakie mam zaległości, ty przecież nie możesz się przemęczać, ty sobie poleż, poczytaj, pooglądaj, ja się zajmę”) wprawił żonę w osłupienie i uzyskał upragniony spokój. Siedząc w łazience i oddzielając białe od kolorów, wpatrywał się intensywnie w płytki położone na ścianie przez najlepszego glazurnika w mieście i liczył: przyznać się policji? – pierwsza płytka, nie przyznać się policji – druga płytka, przyznać się policji – trzecia płytka i tak do końca rzędu. Na końcu wychodziło „przyznać się policji”, ale miał dylemat, bo akurat na końcówce glazurnik położył trzy czwarte płytki, nie całą. Uznał, że od pięćdziesiąt pięć procent liczymy w górę, a to było całe siedemdziesiąt pięć procent, więc uspokojony zaokrąglił i wyszedł z łazienki z mocnym postanowieniem wybronienia swojej skóry, choćby tylko w oczach stróżów prawa. Spał spokojnie, w końcu przez noc liczba kafelek w łazience się nie zmieniła. Miał iść na policję i jak miło – to policja przyszła do nich. Głęboko oddychając, przestąpił próg gabinetu. Stróże prawa popatrzyli na niego wyczekująco. Odetchnął jeszcze raz i powiedział na głos:

– Przyszedłem się przyznać.

– To pan ich zabił? – Zdziwienie komisarza brzmiało szczerze.

– Ależ skądże! Jakie zabił? Ja nawet karpia w życiu nie zabiłem, a co dopiero człowieka! – Karolek był oburzony.

– No jak to? Przed chwilą pan powiedział, że chce się pan przyznać.

– No tak, ale mnie chodzi o te kombinacje. Tak rozmawialiśmy wczoraj wieczorem z Bożenką i wyszło nam, że nie chcemy być wrobieni w morderstwo. Lewe rachunki to co innego, udziały po cichu w warsztacie samochodowym to przestępstwo bardziej wobec urzędu skarbowego, ale to jest nic w porównaniu z zabójstwem. Poza tym lubiliśmy kierownika i chcemy, żeby pan złapał mordercę. Wstyd powiedzieć, ten Banyś w sumie niewiele mnie obchodził, ale wiem mniej więcej, w czym siedział, a to może mieć znaczenie.

– Siadaj pan, może wody? – Komisarz zmienił się w przyjaznego glinę.

– Tak... ach... poproszę... gorąco jak diabli i to od rana. – Karolek powoli pił wodę, chcąc zyskać na czasie. Skończywszy, odstawił szklankę i westchnął rozdzierająco: – Ja jestem średnio uczciwy człowiek. W tej firmie wszyscy w jakiś sposób kombinują, bo inaczej by nie przeżyli, płace mamy na poziomie sprzątarek, za wszystko odpowiadamy. Ostatnio dyrektor Darski znowu straszyl wekslami, no ile można? Ja już pracuję tutaj pięć lat, pracę załatwił mi Krzysiek Zdebski, a potem tak się porobiło, że awansowałem na szefa likwidacji i jednocześnie szefa Krzyska. Nie popsulo to zbytnio naszych stosunków, bo on i tak od początku był wtyczką dyrektora Darskiego i mógł sobie na wiele pozwolić. Jak się rozejrzałem w układach, znalazłem dobry, mały warsztat samochodowy. Zdolni ludzie, ale rozpaczliwie potrzebowali przyływu gotówki. Najpierw pojedynczo, potem już prawie hurtowo zacząłem do nich kierować samochody do naprawy. Wyposażyli warsztat, zaczęli spełniać wszelkie normy i klienci byli więcej niż zadowoleni, no to czego więcej trzeba? Ja z tego miałem procent, na początku to były małe pieniądze, potem coraz większe i większe. Krzysiek się zorientował w całym procederze i miał mnie w ręku. Wiem na pewno, że likwidował fikcyjne szkody, bo sam je

podpisywałem tam, gdzie potrzebny był podpis kierownika likwidacji. Bożenka zorientowała się, że coś nie gra w momencie, gdy dostała do wypłaty drugą identyczną szkodę. Zawiadomiła na wszelki wypadek prezesa, ten nie podejrzewając niczego, przysłał do nas dyrektora Darskiego, czyli syna. – Karol nachylił się do komisarza konfidencyjnie i dokończył szeptem: – Nie mam na to niezbitych dowodów, ale wiem na pewno, że dyrektor siedzi w tym wszystkim głęboko po uszy.

– No tak... panie Barański, przemyślał pan sprawę i doszedł do wniosku, że lepiej będzie zrobić dyrektora, niż żeby dyrektor zrobił pana. – Komisarz nachylił się i mrugnął porozumiewawczo do Barańskiego.

– On mnie szantażował, proszę pani! – Karol zwrócił się do Marzenki, która drgnęła nerwowo, wyrwana z zamyślenia. – Proszę pani, ja jestem z tych, co jedzą małą łyżeczką, tylko stale, na to samo wychodzi, a straty mniejsze. W życiu bym nikomu krzywdy nie zrobił, a to zrobił ktoś zdesperowany, dwa trupy w ciągu jednego tygodnia. – Pokiwał głową zdegustowany.

– No dobrze, a jakie światło może pan rzucić na te dwa morderstwa?

– Wiem, że Anatol Banyś był chyba dawnym znajomym dyrektora, ponoć chodził do szkoły z Krzyskiem Zdebskim. U nas nie był lubiany, pomimo tego że cały czas się podlizywał. Przynosił dziewczynom kwiatki, stawiał kawę, ciasteczka, prawił komplementy, ale to nie było szczere. One to wyczuwały i nie spoufalaly się z nim zbyt. Słyszałem też taką plotkę, że Banysia nasłała konkurencja od Kowalika, ale nie wiem, ile w tym prawdy. On miał swoich znajomych, swoje układy. Praktycznie nie powinien jeszcze wystawiać polis, ale wystawiał i to przynajmniej od dwóch miesięcy, tylko nie wiadomo, skąd miał szemrane polisy i gdzie się forsa podziała. Był bardzo obrotnym agentem, klienci dawali się przekonać do kupowania polis, a jak była szkoda, to całą sprawę od początku zajmował się Krzysiek Zdebski. Być może Anatol nastąpił komuś na odcisk lub nie był już potrzebny i dlatego go załatwili.

– Dlaczego załatwili? Podejrzewa pan, że to jakaś większa grupa? – zdziwił się Jodła.

– Ja niczego nie podejrzewam, ja po prostu się niczemu już nie dziwię. Wiecie państwo, nasz kierownik należał do ludzi zbyt ufnych. Jakby mu powiedzieć, że czarne jest białe, to dla świętego spokoju na pewno by przytaknął. Dla niego to ważna była jego genealogia i wypłata co miesiąc. No, może teraz jeszcze Manuela, ale jak można zakochać się w kimś o takim imieniu? – Parsknął oburzony.

Marzenka przyglądała się Karolkowi z uwagą. Zaperzony, nieco zaczerwieniony wyglądał na wcielenie uczciwości.

– Chciałem jeszcze dodać, że gotów jestem ponieść konsekwencje mojego niezbyt uczciwego postępowania oraz że podjąłem decyzję o zmianie pracy, tylko jeszcze muszę złożyć wypowiedzenie przesowi – wyrzucił z siebie jednym tchem.

– A mógłby pan jeszcze nie składać wypowiedzenia? – zapytał komisarz.

– Mógłbym, ale wtedy ten cholerny Darski ma mnie w garści! – wykrzyknął wzburzony Karolek. – Ja nie pozwolę się szantażować!

– Spokojnie... spokojnie... Jeżeli dyrektor zacznie pana znowu zmuszać do współpracy, to proszę nas zawiadomić, podejmiemy kroki – wymruczał uspokajająco komisarz Jodła. – Teraz proszę normalnie wrócić do pracy i raczej nie wtajemniczać nikogo w treść naszej rozmowy – poprosił.

– Ale Bożenka wie... sama mnie namawiała, żeby mnie potem nie odłowili – jęczał Karolek.

– To panią Bożenkę też poprosimy o dyskrecję i tyle. Proszę wracać do pracy i obserwować, co się będzie działo.

Anatol Banyś był człowiekiem prowadzącym mętne interesy. Co do tego nikt nie miał wątpliwości. Że tacy ludzie też mają rację bytu wiadomo nie od dzisiaj, w końcu opinia z pracy niekoniecznie musi być opinią wiążącą. Mógł mu ktoś czegoś zazdrościć, mógł go ktoś nienawidzić lub aż tak kochać. Ktoś mógł nawet chcieć go zabić. Marzenka doskonale wiedziała, że aby znaleźć mordercę, trzeba znaleźć motyw, więc szukała. Banyś był tak uwikłany w różne sprawy i układy, że każdy mógł mu śmiertelnie zaszkodzić.

Nagle komórka w jej torebce zaczęła pisać, oznaczało to telefon od Tomka Kulika. Sięgnęła ręką i zaczęła szukać telefonu, manewrując dłonią między kieszeniami i udając, że nie widzi zgorzonego spojrzenia szefa.

– No, słucham cię, Tomku, tak... no, świetnie, szef się ucieszy. Już przekazuję. Masz całusy... nie, ode mnie, od szefa. – Uśmiechnęła się łobuzersko. – Chłopaki już wiozą do komendy kolegów Banysia, tych, co to z nimi niby pił.

– No to zabieramy się stąd i zostawiamy to rozplotkowane towarzystwo – zarządził komisarz i podniósł się żwawo ze skórzanego, przepastnego fotela dyrektorskiego.



Środa oraz czwartek upłynęły wszystkim na pracy, nawet niezbyt wytężonej. Agenci nadal szukali klientów, zastanawiając się, kto teraz odziedziczy, jak się okazywało, dosyć licznych bezprawnych klientów Banysia. Trwała weryfikacja polis i porównywanie numerów spisanych przez Agatę z tymi, które były w komputerze, i przede wszystkim z tymi, które widniały na aktach szkód. Jola też zaczynała się czuć jak detektyw amator, dzielnie wspomagana przez Agatę Jaskólską i panią Kingę, która już zdążyła dojść do siebie. Świadomość, że Banyś nie wystawi już żadnej polisy, była pocieszająca. Anatol zawrzcć ich musiał całkiem sporo, miał tak zwany bajer, niesłychanie ważny w zawodzie agenta ubezpieczeniowego. Gdyby tak szybko nie umarł, to zrobiłby zapewne karierę w zawodzie i wygrywał przeróżne konkursy i wycieczki.

Elżbieta Wójcik prowadziła rozliczenie ze Strzępskim, który prawie od razu przyszedł ze zrobionym remanentem i dopominał się o kasę. Zresztą, jaki to był remanent, skoro ogolili go prawie do skóry. Wszystko się zgadzało, bo nie mogło być inaczej. Dla dobra firmy należało załatwić sprawę po cichu, wypłacić kasę, ile się należało, i zachować twarz, dlatego pani Ela weryfikowała połowicznie, chcąc rozliczyć się z klientem jak najszybciej i mieć to z głowy.

Nieświadomy sytuacji, w jakiej się znalazł, Strzępski chodził po mieście i każdemu opowiadał, że w Bezpiecznej Przyszłości to wystarczy tylko mocniej huknąć i zaraz wypłacają. Robił tym samym firmie całkiem dobrą reklamę.

Klienci nadal napływali strumieniem, zwabieni także przez sensacyjną, podwójną śmierć. Morderstwa, jakich w mieście dawno nie było. Wszyscy byli zadowoleni, a kierownik Bryś-Kowalski oraz agent ubezpieczeniowy Anatol Banyś powoli odchodzili w niepamięć.



Krzysztof Zdebski myślał, że mu się upiekło. Po pierwszym przesłuchaniu zainteresowanie policji jego skromną osobą zmalało do zera. Wprawdzie ta mała niemyta, jego była żona Alina, nagadała głupot... Nic by nie wiedział, gdyby sama się nie wygadała, ale co powiedziała, to jej, mówi się trudno. Zdebski siedział nad piwem przy swoim ulubionym stoliku w Dzikim Młynie. Uważał Dzikiego Młyna za swoje miejsce nawet bardziej niż mieszkanie ojca, nie mówiąc o domu należącym do byłej małżonki. Krzysiu nie miał skłonności refleksyjnych, brał życie takie, jakim jest, i starał się nadmiernie nie przejmować. Aż do wczoraj był pewien w stu procentach swojej niezagrażonej pozycji w firmie. Dostatecznie dużo wiedział o grzeszkach młodego Darskiego, by myśleć, że w razie czego ma go w rękę. Teraz okazywało się, że to dyrektor ma go w rękę. Wszystko to na umysł Krzysia Zdebskiego było zbyt skomplikowane, zawikłane i nie do przyjęcia, dlatego zamawiał następne duże tyskie i zbliżał się wielkimi krokami do stanu upojenia alkoholowego. Na razie kelnerka Madzia, osoba obdarzona niebagatelną tuszą i ciętym językiem, stała nad Krzysiem i namawiała na zakupienie jakiegokolwiek zagrychy.

– Krzysiek! Człowieku! Ty się popatrz na siebie, jak ty wyglądasz! Suchy jak wiór, doły pod oczami, ja rozumiem, jest zgryzota, trzeba się napić, ale zakąska musi być! Wiesz dobrze, że szef by ci piwa bez chociaż paluszków nie sprzedał, przekąsić musisz i już! – Madzia nie ustępowała.

– Jakie przekąsić, gdzie przekąsić... Daj paluszki, to zagryzę. – Krzysiek już wyciągał trzęsącą się rękę w kierunku wypielęgowanej dłoni Magdaleny i nachylał głowę w celu odgryzienia chociaż jednego z wypielęgowanych paluszków kelnerki.

– Precz od moich rąk! – Kelnerka wyszarpnęła rękę z dłoni Krzyska i zaczęła masować nieco obolały palec. Widać było zęby odcisnięte w okolicy prawego kciuka.

Wszystko się temu chłopu przez te nieszczęścia pomieszało, najpierw ślub z wielką pompą, potem po roku rozwód z jeszcze większym hukiem, teraz te dwie śmierci w pracy, przecież człowiek chcąc nie chcąc przeżywa. W końcu z jednym z tych nieboszczyków od lat spotykali się u nich na piwie. Tak sobie myślała pani Magda, której kiedyś, przez moment, Zdebski bardzo się podobał. Uczucie zgasło, ale sentyment pozostał.

– No, panie Krzysku, na dzisiaj pan kończy i do domku – pogoniła go łagodnie.

Nie docierało, dopiero Władek, ochroniarz, pomógł mu wstać, ustawił do pionu i lekko pchnął go do wyjścia. Na dworze już szarzało, po niedawnym deszczu ziemia jeszcze parowała. Mimo zbliżającej się szybkimi krokami nocy, było bardzo parno, a temperatura nie spadała. Zdebski szedł powoli, nie myśląc nic. Ulice miasta były prawie puste. Ludzie siedzieli w domach przed telewizorami, oglądając kolejne odcinki *Zabójczych umysłów* i tym podobnych seriali, lub kończyli robić zakupy w okolicznych centrach handlowych. Właśnie mijali budynek biura, gdy zauważył światło zapalające się na poddaszu. Szedł jeszcze kilka kroków, aż dotarło do niego, że coś musi być nie w porządku. Dochodziła dwudziesta pierwsza, a ani on, ani żaden ze współpracowników nie należał do nadgorliwców siedzących po godzinach w pracy. Stał taki osłupiały, mało przytomny i nie mógł zrozumieć, co widział. A może mu się coś z oczami porobiło? Miała rację Magda, żeby tyle nie pić. Zanim zdążył się zorientować w sytuacji, światło zgasło i budynek zamarł. Nie zrobił nic, bo też nie wiedział, co mógłby zrobić. Nadal stał w tym samym miejscu, gdy drzwi biura się otworzyły, miał wrażenie, że tak cichcem. W drzwiach zobaczył Bożenkę i Karola Barańskiego. Przez moment nie wierzył własnym oczom. Karol i Bożenka! Ta stara panna, niedotykaliska, i Karol. Żadnego innego wyjaśnienia tego wspólnego wyjścia z pracy Krzysztof nie widział. Jedynym motywem był dla niego motyw męsko-damskich kontaktów, o które akurat tej pary nie podejrzewał. Zanim doszedł do siebie, zdążyli mu zniknąć z oczu, sam nie wiedział gdzie. Nagle otrzeźwiony, wolnym krokiem podążył do domu, chociaż trochę pomieszać.

Karol kątem oka, niestety po niewczasie, zauważył stojącego na chodniku Krzyśka. Nie zdążył zareagować, więc tylko szepem popędził Bożenkę zajętą zamykaniem drzwi i nie oglądając się za siebie, pobiegli lekkim truchtem w kierunku odwrotnym od gapiącego się na nich kolegi. Nie mieli zamiaru tłumaczyć się przed nikim ze swojej obecności w biurze o tak nietypowej porze. Wiedzieli, że Krzysiek nie utrzyma tej sensacyjnej wiadomości przy sobie, i już od razu nastawiali się na te porozumiewawcze uśmiešky, które będą im towarzyszyć od rana. A powód odwiedzin biura w porze tak nietypowej był jeden i to zgola inny, niż sobie Krzysiek Zdebski wyobrażał. Przez prawie cały dzień oprócz w miarę normalnej pracy trwała burza mózgów. Akwizycja i księgowość z udziałem właśnie Karola, uzbrojone w kartki papieru (gładki papier ksero A4 – nikt nie miał zeszytu w kratkę, na którym na pewno dużo lepiej by się im pisało), usiłowały spisać po kolei wydarzenia towarzyszące śmierci Anatola Banysia oraz śmierci kierownika Teodora Brysia-Kowalskiego. Na wstępie, zanim jeszcze zaczęli się kłócić i wyciągać wszystkie asy z rękawa, zdążyli ustalić, że obie śmierci niewątpliwie się łączą.

– Według mnie to wszystko zaczęło się dużo wcześniej, niż podejrzewamy. – Bożenka usiłowała sobie przypomnieć różne fakty z życia biura i wychodziło jej, że te wszystkie matactwa zaczęły się wcześniej, jeszcze zanim Anatol Banyś przekroczył progi firmy Bezpieczna Przyszłość. Przypomniała sobie, jak już dwa lata temu zaczęła mieć wątpliwości przy jednej z wypłacanych szkód. Było wszystko zgodnie z wymogami, stłuczka, kasacja samochodu, kierowca cały, miał szczęście. Nieduża była ta szkoda, coś ponad dwadzieścia tysięcy. Problem tkwił w tym, że Bożenka tak na dziewięćdziesiąt dziewięć procent była pewna, że widziała ten sam samochód parkujący przy Biedronce i to nie dwa tygodnie temu, jak wynikało z ekspresowo przygotowanych akt, ale przedwczoraj. Miała doskonałą pamięć do cyfr, a to był bardzo charakterystyczny numer rejestracyjny z trzema siódmkami. Pamiętała, jak pomyślała, że będzie miała szczęście, bo znalazła oczko. Karol nie przyznawał się do tej wypłaty, twierdził, że on tylko nagania klientów do swojego mechanika i ta kasa spokojnie mu wystarczy. Bożenka była skłonna mu uwierzyć, natomiast księgowa Alina Dobrosz-Zdebska stanęła okoniem i stwierdziła, że skoro nagania, to i kantuje, i równie dobrze może mieć inne grzechy na sumieniu.

– Skoro tak twierdzisz, to trudno. Ja potrafiłem się przyznać do moich, delikatnie mówiąc, słabości, kolej na was. – Karol postanowił, że nie ustąpi. Dobrze wiedział, co kto ma na sumieniu. – Jeżeli każdy z nas przed resztą przyzna się do swoich błędów, to łatwiej odrzucimy to, co nieważne i nie ma wpływu na wydarzenie – tłumaczył spokojnie. Najchętniej wstałby i wyszedł. Miał serdecznie dość roztrząsania swoich grzechów i grzeszków. Ale mówi się trudno. Obiecał pomóc znaleźć mordercę kierownika i słowa dotrzyma. – Możemy uzgodnić, że to, czego się dowiemy, nie wyjdzie poza ściany tego pokoju, chyba że miało wpływ na tok wydarzeń, to wtedy jednak musimy zawiadomić policję.

– Ty nas, Karol, nie strasz policją – zapiszczała Alina, cała czerwona. – Ty sam masz tyle na sumieniu, że ja też mogę iść na policję i im poopowiadać.

– Możesz, Alinka, możesz – Karol pokiwał dobrotnie głową i uśmiechnął się – ale w tym sęk, że policja już to wszystko czy prawie wszystko wie! Oni nie są głupcy, więc nie traćmy czasu i zaczynajmy. Kartki na biurka, długopisy do ręki i piszemy. Piątek. Kogo nie było w pracy w piątek? Pamiętacie? – Rozejrzył się po obecnych. Zauważył, że jeszcze doszła pani Kinga z Agatą. Za Agatą stała Ania z biura obsługi i coś gadała jej do ucha, szarpiąc za rękę.

– W piątek pan Józef zwolnił się wcześniej, wnuk mu się urodził, więc pojechał do córki do szpitala, ale zostawił na dole Różę. Kierownik pojechał na nasiadówkę do centrali, wrócił dopiero po pierwszej – powiedziała Agata.

– Czyli zapisujemy: w piątek do południa nie było kierownika. Nie było też pana Józefa. Kogo jeszcze? – Karol rozejrzył się. – Kto się przyznaje? – Zapadła cisza, wszyscy notowali zawzięcie. – Czyli reszta była w pracy, ja na oględzinach, Krzysiek też na oględzinach. Miał całą masę szkód, nie rozdziwiłby się. Pani Kingo, a co się takiego działo do południa? Podobno miała pani bardzo stresującego klienta. – Karol spojrzał na kobietę siedzącą przy kserokopiarce.

Podniosła głowę i spojrzała na niego z uwagą.

– To, co się w piątek działo, już zostało wyjaśnione, zwykła pomyłka, a z moim sercem wszystko w porządku i nie musi pan robić przykrych uwag, że chore osoby nie powinny pracować... i tym podobne – dodała cierpko. – No co się tak na mnie patrzycie? Myślicie, że jak jestem od was trochę starsza, to już głucha, ślepa i do niczego się nie nadaje! Ten klient z piątku już wyjaśniony, tam była pomyłka w nazwisku, ale są tacy... niewyjaśnieni – zawiesiła głos i uśmiechnęła się krzywo.

– Wygląda na to, że sprawę klienta pani Kingi możemy uznać za wyjaśnioną i niemającą nic wspólnego z morderstwem. Zapisujemy to jako punkt drugi. – Karol spojrzał wyczekująco na współpracowników. – Kto następny do zwierzeń? Czyli co? W piątek już się nic nie działo? Martwy dzień był? Klienci nie przychodzili? Mnie nie było do drugiej, wy wiecie lepiej i chodzi właśnie o tę rekonstrukcję. Jola, jak wyglądało to podpisywanie umowy z Banysiem?

Wyrwana do odpowiedzi Jola skurczyła się w sobie i zaczęła miętosić brzeg spódnicy.

– Wiesz... jak teraz tak myślę, to było dziwnie, ale był piątek, chciałam się wcześniej urwać z pracy, telewizor mi padł i musiałam kupić nowy. Brat miał tylko między pierwszą a drugą czas, spieszyłam się. Miałam wcześniej przygotowane wszystkie papiery. Dyrektor przywiózł przy okazji z kadr, żeby Banyś nie musiał jechać do centrali, wszystko było gotowe. Podpisał, niby się cieszył, że tak szybko papiery przyszły, umawiał się z kolegami na obławanie, ale jak tak teraz o tym myślę, to... to było trochę na pokaz. Skoro on cały czas wystawiał polisy, to ta licencja to była tylko formalność, wymóg, nic więcej. Pewnie myślał, ile będzie mógł zrobić polis na lewo, żeby nie podpaść. Podpisał wszystko, jeszcze mam przy sobie te jego umowy. Miałam w poniedziałek odesłać, do centrali, ale przez te historie zapomniałam. – Jola miałaby jeszcze dużo do powiedzenia, ale postanowiła resztę wiedzy zachować dla siebie. Chciała jeszcze trochę popracować, a to wymuszało dobre układy, tak z kolegami z pracy, jak i z dyrektorem.

– Czyli w końcu do której byłaś w pracy? – zapytał zniecierpliwiony jęklwym tłumaczeniem się Joli, Karol.

– Wyszłam trochę po pierwszej. Jak brat podjechał, nawet się nie zwalniałam, nie wpisałam się do książki wyjść. No... szkoda mi było tych paru godzin. Potem godzina do godziny, Agata wszystko liczy i cały dzień z urlopu zabiera – dorzuciła z goryczą. Agata się skrzywiła.

– Przecież wiesz, jakie są zasady, kierownik dużo nie wymagał, ale tego to akurat przestrzegał. A jakbyś tak miała wypadek poza pracą, wszyscy by myśleli, że jesteś w pracy, a ty w sklepie albo jakimś innym lokalu. Kto by się wtedy tłumaczył? – zapytała Agata cierpko. – Potem to tylko kłopoty, lepiej przestrzegać takich reguł. Nie wiem, kto teraz będzie kierował biurem, ale ja tego będę nadal przestrzegała, oczywiście dopóki będę tutaj pracować.

– Czyli to też mamy wyjaśnione, chyba że ktoś sobie jeszcze przypomina o swojej nieobecności, to teraz jest jego czas. – Karol powiódł wzrokiem po współpracownikach.

Wszyscy milczeli jak zakłęci, słychać było tylko lekki szum radia i rozmowy pod oknami. Dochodziło południe, słońce znowu prażyło niemiłosiernie, w akwizycji z minuty na minutę robiło się coraz bardziej duszno, kurz krążył w powietrzu.

– Czy ktoś z was może wie coś, co może mieć znaczenie dla zidentyfikowania zabójcy albo chociaż znalezienia powodu śmierci? Dotyczy to zarówno Anatola Banysia, jak i naszego kierownika. Może słyszeliście coś, co wam się z niczym nie kojarzyło, a teraz wręcz przeciwnie? No, wysilcie w końcu swoje mózgowice, bo jeżeli nic nie wymyślimy, to policja w ramach prewencji pozamyka nas za nasze przekręty, tak tylko, żeby mieć wykrywalność, a morderca dalej będzie chodził czy też, co bardziej prawdopodobne, jeździł na wolności.

– Ja pamiętam Banysia, jak mieszkał w tym samym bloku co ja, tylko w ostatniej klatce – odezwała się pani Kinga. – To nie był ciekawy człowiek. Teraz jestem tego pewna, że widywałam go wiele razy, ale wydaje mi się, że pod całkiem innym nazwiskiem. Było to tyle lat temu... na pewno więcej niż dziesięć, może nawet piętnaście. On mi się cały czas źle kojarzył, tylko nie chciałam rzucać podejrzeń, ale to to akurat przekazałabym policji, oni mają możliwości, niech szukają – dodała. Karol nie wierzył własnym uszom.

– Ale jeżeli on zmienił nazwisko, to Krzysiek Zdebski też powinien to wiedzieć, oni podobno znają się jeszcze ze szkoły.

– Zdebski to wszystko dobrze wiedział. Kiedyś mi zasugerował, że on wie takie rzeczy, że do końca życia mógłby żyć z szantażu, ale go wyśmiałam. Trudno, żeby go traktowała poważnie. Krzysiek zawsze mówi więcej niż powinien i potem tego żałuje. Nieraz mu powtarzałam, że milczenie jest złotem, a mowa srebrem, ale on uparcie powtarza, że całe życie wolał srebro. Najlepiej będzie Krzyśka bezpośrednio zapytać. – Pani Kinga westchnęła ciężko, a wokół zapanowało milczenie. Nikt nie chciał się wyrwać z podejrzeniami, bo a nuż jakaś głupota obróci się przeciwko niemu. Siedzieli niepewni, co mają dalej robić. Najchętniej każdy poszedłby już do domu, ale do końca pracy pozostały jeszcze ponad trzy godziny.

W tej ciszy jak salwa z karabinu zabrzmiał dzwonek komórki Karolka. Po wysłuchaniu kilku zdań Karolek zbladł i zgaszonym wzrokiem powiódł dookoła.

– Dostałem wiadomość, Lucjan zaraz będzie u wrót, wyjechał godzinę temu z centrali. Musimy się przygotować na ciężkie chwile, on teraz nie popuści. – Karolek westchnął ciężko, wiedział, że jego losy są już przesądzone. Tylko gdzie szukać pracy, co dalej? Wiedział dobrze, że jak się człowiekowi powodzi, to ma mnóstwo przyjaciół, znajomych i tak zwane układy. Jeden telefon i lekarz bez kolejki, lekarstwo bez wymaganej recepty, sympatyczna obsługa w urzędach. To akurat Karolek zawdzięczał swojej specyficznej urodzie i posturze, ale jednak.

Wszyscy jak dziabnięci szpikulcem zerwali się ze swoich miejsc, nawet pani Kinga nagle zmieniła się w energiczną starszą panią. Ona im jeszcze pokaże, kto tak naprawdę rządzi w tej firmie.

Tak to wyglądało do południa. Potem przyjechał Lucjan i wszyscy zaczęli prześcigać się w uprzejmościach. Prawie proponowali nocleg, ale Lucjan nie dał się zwieść. Pokręcił się po firmie, kazał księgowości przygotować dokumenty likwidacji wybranych szkód. Jak Karol usłyszał które, to mu się gorąco zrobiło. Lucjan wiedział, czego szuka. Potem porozmawiał miło z dziewczynami z biura obsługi. Po tej rozmowie Baśka zamknęła się w ubikacji i nie chciała wyjść! Nie żegnając się z nikim, zapowiedział, że od rana zaczyna pracę i znajdzie to, co mu potrzebne. Nikt w to nie wątpił. Właśnie dlatego wieczorem Bożenka wraz z Karolem cichcem wybrali się do biura. Lucjan, czy przez przypadek, czy przez przeoczenie, nie odebrał im kluczy, a oni mieli mnóstwo spraw do załatwienia.



Koledzy, znajomi, a kto wie, może nawet przyjaciele nieboszczyka Anatola Banysia reprezentowali różne zawody i różne poziomy zamożności. Podobno najlepiej powodziło się najbliższemu przyjacielowi nieboszczyka, właścicielowi remontowanego od jakiegoś czasu klubu nocnego Jacentemu Borowikowi. Ten na pierwszy rzut oka prezentował duże pieniądze. Rolex połyskujący złotem na przegubie ręki, ubranie szyte na miarę i terenowe bmw podkreślały zamożność Jacentego. O jego zarobkach w Ameryce krążyły miejskie legendy. Wszyscy tylko dziwili się, dlaczego mając tak duże pieniądze w rękę, Jacenty już czwarty miesiąc remontuje klub nocny Zakazane Piwnice.

Na drugim biegunie solidności materialnej stał Marian Zaremba, drobny urzędnik, wstyd powiedzieć – referent w kuratorium oświaty, wiecznie wyglądający na głodnego, prawie całkiem łysy. Następny, jak zaznaczył „tylko znajomy”, był urzędnik z urzędu miejskiego, taki zajmujący się zezwoleniami na działalność gospodarczą i tym podobnymi rzeczami, bezpretensjonalny i miły w ramach pracy. Podobno na oblewaniu był jeszcze jeden kumpel nieboszczyka z lat szkolnych, ale wyjechał w ramach delegacji i niestety komisarz Jodła musiał poczekać na jego powrót.

Panowie byli bardzo sympatyczni. Umiarkowanie nieutuleni w żalu, całym swym jestestwem zamierzali pomóc policji w złapaniu mordercy świętej pamięci Anatola Banysia, „naszego nieodżałowanego przyjaciela” – jak zaznaczył Jacenty. Ich zeznania były spójne i zwarte, prawie jednakowe. Okazało się, że Anatol umówił się z nimi na oblewanie tej swojej, pozał się Boże, licencji na godzinę siedemnastą trzydzieści. Jako miejsce spotkania wybrali Zakazane Piwnice. Tak było im najwygodniej i najbliżej. Owszem, znali się pomiędzy sobą, ale niezbyt dobrze. Anatol chciał, aby poznali się lepiej. Przyszedł odrobinę wcześniej, gdzie piętnaście po piątej, trochę zdenerwowany, zero luzu. Rzadko go widzieli takiego spiętego. A przecież to on w końcu zwołał tę imprezę i stawiał napoje z zagrychą. Trochę wypili, ale niedużo, zanim impreza się rozkręciła, Anatol wyszedł. Miał wrócić do godziny, ale już nie wrócił. Było około dziewiętnastej. Posiedzieli trochę, obalili jeszcze jedną flaszkę, już na koszt firmy, i poszli, każdy do swojego domu. Nie... mogą przysiąc na wszystko, że żaden z nich nie wychodził osobno. Zamknęli klub i tyle, nawet już nie myśleli o Anatolu.

To prawda, Anatol wyszedł po rozmowie telefonicznej, takiej jakby służbowej. Nie, nie wiedzą, kto mógł dzwonić, nawet nie wiedzą, czy kobieta, czy mężczyzna, tak jakoś bezosobowo rozmawiał. Oni akurat omawiali zalety i sposób podawania szkockiej. Nie, nie zwrócili uwagi... Gdyby wiedzieli.... ale tak...

Wszystko spójne, zwarte i gotowe, podane na talerzu. Komisarz nie mógł się do niczego przyczepić, panowie wyglądali na uczynnych i byli bardzo, ale to bardzo uprzejmi. Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie zechce zrażać do siebie policji, o ile naprawdę nie musi. Nawet go nie poganiali i nie mówili, że muszą już natychmiast wyjść, sama cierpliwość. I to było jedyne, do czego komisarz mógł się ewentualnie przyczepić. Upływał czwarty dzień śledztwa, a on w rękę nie miał dokumentnie nic. Wszyscy byli wzorowymi obywatelami, ojcami czy też matkami rodzin. I wielkie nic!

– Cóż, chciałbym panom podziękować za życzliwość i zrozumienie. Rozumiecie panowie, że jesteście, oczywiście oprócz mordercy, ostatnimi osobami, które widziały nieboszczyka Banysia żywego.

– Panie komisarzu – zaczęła Borowik – my nie mamy nic wspólnego ze śmiercią kolegi, ale wyrzucamy sobie, że mogliśmy do niego zadzwonić, zareagować jakoś, poszukać. Może nie doszłoby do tragedii. A my jak jacyś znieczuleńcy. Jakoś mi głupio, ale Anatol miał różne pomysły, może dlatego... – Borowik zawiesił głos, a koledzy popatrzyli na niego z zainteresowaniem.

– Czy wie pan coś jeszcze, co mogłoby rzucić jakieś dodatkowe światło? – zapytała cicho Marzenka.

– No właśnie, tak się biłem z myślami, ale to jednak morderstwo, nie ma co kryć Anatola. Anatol przez całe życie miał różne pomysły na nagłe, oczywiście szalone, wzbogacenie się. Całkiem niedawno zwierzył mi się, że ma szansę zrobić interes życia. Musi tylko poczekać do odpowiedniej chwili, nie może się spieszyć, a potem to już same pieniądze popłyną do niego szerokim strumieniem albo nawet rzeką. Anatol należał do ludzi, którzy jak sobie upatrzą interes, to nic ich od niego nie odciągnie. Jestem przekonany, że znowu balansował na granicy prawa, jak zawsze. Twierdził, że to będą takie pieniądze, że będzie mi mógł pomóc w dokończeniu inwestycji, bo przecież, jak wszyscy widzą, zabrakło – dokończył smutno.

– No cóż, dziękujemy za pomoc, w razie czego skontaktujemy się. – Marzenka grzecznie pożegnała się z kolegami nieboszczyka. – Smutni, zafrasowani i bezradni. Czy oni mogą kłamać? – zapytała kolegów.

– Marzenka! Tyś się przecież nie dzisiaj urodziła, wieku ci nie wypominam, boś jeszcze młoda. Oni wszystko mogą, tylko musimy zadać sobie dwa pytania. Po pierwsze: po co? Po drugie: jak? Jeszcze jestem w stanie wyobrazić sobie po co. Może im zalegał z kasą, ale to by go nie zabijali, tylko czekali, aż zwróci. Mieli szansę, doił tych klientów, ile mógł. Wersja druga, to oni mu wisieli kasę, ale z kolei też by poczekał. Jak mówi Borowik, chciał zainwestować, pomóc koledze, zyski by przyszły i to szybko. Pół miasta czeka na nowy klub. Wewnętrzne porachunki? Jakaś mafia w okolicy? Zazdrość? Nie, to mi w ogóle nie pasuje do tych ich układów, tu widać, że ręka rękę myje. Nikt nie podcina gałęzi, na której siedzi, no chyba że przez pomyłkę. I pytanie drugie: jak?

– No nijak! Jest pytanie podstawowe. Skąd mają klucze do budynku, szyfr do alarmu, szyfr do księgowości? Pod jakim pretekstem właśnie tam idą wszyscy razem i jeszcze do tego zabijają kolegę, skoro mnie ze wszystkiego wychodzi, że ten kolega dużo bardziej jest wszystkim potrzebny żywy, a nie martwy. Komu był potrzebny martwy Banyś i martwy kierownik?

– Tego właśnie nie mogę zrozumieć, co wiąże te dwa zabójstwa? – podsumował komisarz.

– A może... powtarzam, może... sprawę wyjaśni trzecie morderstwo? – zasugerowała Marzenka i ledwo zdążyła się uchylić przed lecącym w jej stronę podręcznym notesem komisarza.

– Ty się już lepiej nie odzywaj i nic nie sugeruj! Jeszcze wykraczesz i wtedy to dopiero przestaniemy wychodzić z pracy o jakiejś ludzkiej porze! – krzyknął komisarz. – Ty sobie, Marzenka, wyobrażasz, co by się tutaj działo? Pewnie by nam z wojewódzkiej do pomocy kogoś przysłali. O nie! Nie ma takiej opcji! Do roboty, sprawdzać alibi, powiązania, skoro koledzy spoza pracy nic, to przesłuchać jeszcze raz tych z pracy. Jakies romanse? To, że syn mówi, że ojciec teraz nikogo nie miał, jest bez znaczenia, syn mógł nie wiedzieć. Anatol mógł romans ukrywać. No, szukajcie, jak chcecie tylko uchronić, a ja idę pogadać do Romana. Może coś jeszcze znalazł.

Komisarz Jodła nie lubił takich sytuacji. Morderca musiał się znaleźć, nie było zmiłuj. Tylko gdzie go szukać, skoro ciągle kogoś musieli wykluczać.

Doktor Roman Ziębiński, zasłużony patolog policyjny, śleczął właśnie nad krzyżówką z „Przekroju”. Odgadnięcie choćby jednego z wyrazów dawało mu niesamowity powód do satysfakcji.

Teraz też, kiwając się na starym, obrotowym fotelu, triumfował. Brakowało mu tylko dwóch haseł i miałby całość. Popijał zimną fusiarkę i z lubością zaciągał się marlboro, nucąc pod nosem „to były piękne dni...”.

– No, to zależy dla kogo – stwierdził komisarz Jodła.

– A witaj, Kaziu, chyba się domyślam z jakiej to okazji w moje skromne proggi. A flaszkę masz? – Doktor Ziębiński nie należał do tych, co bawią się w ceregiele. Miał swoją stałą takkę. I tak, za drobną przysługę wołał małpkę, do kolekcji, za ciut większą emerytkę. Jeżeli było coś ekstra, flaszka czegoś lepszego była obowiązkowa. Jeżeli ktoś zbyt długo zapominał o dowodzie wdzięczności, doktor potrafił się brutalnie upomnieć bądź też odmówić przysługi zapominalskiemu koledze. Miał najlepiej zaopatrzone barek wśród pracowników komendy i uchodził za eksperta od whisky, swojego ulubionego napoju, inkasowanego przy ekstra przysługach.

– Nie czaruj, powiedz, co chcesz, to się ściepniemy, i mów, coś takiego odkrył. Tylko żeby to było naprawdę ekstra, bo inaczej z flaszki nici – odgryzł się komisarz.

Ziębiński wstał, poprawił fartuch lekarski, dopiął guziki, wypił ostatni łyk kawy. Bawił się dobrze.

– No kogóż my tu mamy? Niejaki Banyś Anatol. Przy Banysiu nie wyszło nic nadzwyczajnego, jedyne co mogę ci powiedzieć, to jakiego konkretnie narzędzia zbrodni powinniście szukać. Jak je znajdziecie, sprawdzimy, czy pasuje do ran.

Jodła stał obok biurka i delikatnie zaczynał bębnić palcami. Zawsze to samo, nic prosto, wszystko od tyłu, ale dobra, niech ma satysfakcję, że to on górą. Komisarz czekał cierpliwie.

– Zatem czego mamy szukać?

– Szukajcie nożyka do papieru. Wszystko wskazuje, że najprawdopodobniej to nożyk do papieru, taki z cienkim ostrzem, piekielnie ostry, był narzędziem zbrodni. Wszedł w ciało jak w masło, ten biedak nawet nie zdążył się zorientować, co się dzieje, i już było po obiedzie – stwierdził obrazowo doktor Ziębiński. – Pierwsza rana była śmiertelna, reszta to poprawki, dla pewności. Mogło być tak, że pierwszy cios padł z przypadku, sprawca nie planował zabójstwa, wyszło, jak wyszło. Przy takim narzędziu podręcznym trudno mówić o premedytacji, może bardziej w afekcie, ale sam zobaczysz, jak znajdziesz sprawcę, no i przede wszystkim narzędzie zbrodni. Poza tym ten Banyś był ciężko chorym człowiekiem, pół roku, może rok i sam by zszedł. Miał nowotwór, płuca już zajęte bardzo mocno, nie widać śladów leczenia, zresztą to musicie sprawdzić u jego lekarza.

– Czyli nadal aktualne są ustalenia, że mordercą jest osoba około metra osiemdziesiąt, silny mężczyzna? A jakieś ślady pozostawione przez ewentualnego sprawcę, sprawców, odciski palców? DNA? – dociekał Jodła, spragniony jakichś w miarę pewnych informacji.

– Ty to byś chciał, żebym ci powiedział imię, nazwisko i jeszcze pewnie adres zamieszkania. Nic z tego, kolego – zrymował lekarz. – Na pewno zbrodnię popełniła osoba wysoka, faktycznie wzrostu około metra osiemdziesiąt, zważywszy na okoliczności. Osoba, która nie budząc podejrzeń, była w stanie zbliżyć się do zabitego bardzo blisko. Jeżeli mam być szczery, to na razie nie wykluczałbym kobiety. Wysokiej, dobrze zbudowanej, w miarę silnej. Być może jest to ktoś, kto ma coś wspólnego z medycyną, ktoś, kto potrafił precyzyjnie uderzyć i wiedział, gdzie leży serce, a uwierz mi na słowo, nie wszyscy wiedzą. Jest to na pewno osoba praworęczna. Większość odcisków palców jest przyporządkowana do pracowników. Wszyscy mieli prawo przebywać zarówno w księgowości, jak i w pomieszczeniu kasowym. Mamy dwa niezidentyfikowane ślady. Na razie bez przydziału. Poczekaj jeszcze trochę. Natomiast drugi przypadek jest dużo ciekawszy. Nieboszczyk Bryś-Kowalski zginął w sposób podwójny... ale, Kazik, ty się nie denerwuj – dodał szybko, widząc minę Jodły – to znaczy, że

nieboszczyk Bryś-Kowalski umarł w wyniku zadzierzgnięcia. Został po prostu uduszony. Myślę, że był to krawat, względnie apaszka, cienka chustka. Ktoś podszedł od tyłu, zarzucił i udusił. Było to bardzo proste, ponieważ nieboszczyk musiał już być pod działaniem skopolaminy. A właściwie bielunia dziedzierzawy czy dziedzierzawego, cholera wie, która zawiera skopolaminę oraz hioscyjaminę i na dodatek atropinę. Mnie to tam już nic nie dziwi, w co drugim ogródku hodują to świństwo, a ile tego przy drodze rośnie, to byś nie uwierzył. Bardzo to niebezpieczne. Czasami nawet dzieci ulegają zatruciom, nie mówiąc o tym, że małolaty łykają to specjalnie. Nie zdają sobie sprawy, że ryzykują życie. Ale zdecydowanie to ten, co dusił, doprowadził do śmierci ofiary. Faszzerowana czekoladka była jakby dodatkowym czynnikiem. Podał ją ktoś bliski ofierze. Na razie identyfikowalnych śladów brak. Chłopcy w laboratorium nadal pracują – dokończył Ziębiński, ciężko wzdychając.

– Romek, litości! – jęknął rozdzierająco Jodła. – Mam przeszukać wszystkie przydomowe ogródki? Nie mówiąc o polach, łąkach i kompostach. A nawet jeżeli ktoś nafaszerował czekoladkę, to pytanie, czy zabił. A może było dwóch niezależnych morderców?

– Znajdziesz sprawcę, dopasujesz. To już twoja zabawa, nie moja. Pierwszy raz spotykam się z czymś takim. Myślę, że oba zdarzenia zaszły prawie jednocześnie i niezależnie od siebie. Na przykład zjadł czekoladkę, poczuł się źle, był zdezorientowany. Zaczęły się omamy. Nie miał siły się bronić. Żadnego naskórka za paznokciami, w ogóle nie widać, żeby się bronił! Ktoś zaczął go dusić, osunął się i po sprawie. Morderca go ładnie ułożył na ławce i tyle. To nie trwało nawet pięciu minut.

– No dobrze, ale powiedz: kobieta, mężczyzna, dziecko, powiedzże mi cokolwiek – denerwował się komisarz.

– Nie wykluczam, wszystko jest możliwe, możesz spokojnie założyć, że był to ktoś, kogo denat dobrze znał i miał do niego, względnie do niej, zaufanie. Moja opinia dotyczy czekoladki. Przecież nie weźmiesz słodyczy od przypadkowej osoby. Udusić mógł każdy. Miał ułatwione zadanie – skomentował Ziębiński i pociągnął łyk kawy z kubka. Skrzywił się, fusy zazgrzytały mu między zębami. – Znowu zapomniałem kupić filtry. Nie cierpię tej brei na spodzie.

– Dużo to tego nie masz – fuknął Jodła. – Za co ty chcesz flaszkę, za te domysły? A odciski palców?

– Brak. Z czego ci wezmę? Z czekoladki? – zapytał ironicznie patolog. – Ty to byś chciał sprawcę na talerzu. Za dobrze by wam było. Obaj bardzo mało śladów, nie bronili się chłopaki, oni na dobrą sprawę nie wiedzieli, że umierają. Czyste morderstwa, bez szarpaniny, bez problemów. Ktoś miał dużo szczęścia. Poszukasz, to znajdziesz, komu najbardziej zależało na usunięciu tych obu panów. A teraz wynoś się do swoich spraw. Ja mam robotę! – Ziębiński bez pardonu wyrzucił komisarza.

– A o flaszcze nie zapomnij – dodał.



Piątek przyniósł nagle pogorszenie się pogody, po północy zaczęło lać i się ochłodziło. Bożenka rano brnęła poprzez kałuże do pracy. Naprawdę miała już dosyć wszystkiego. Cały czas myślała, że gdyby zareagowała wcześniej, powiadomiła oficjalnie prezesa, uważniej czytała akta wypłacanych szkód, może wtedy nie doszłoby do aż dwóch morderstw. Teraz trzeba było z całej sytuacji wyjść z jak najmniejszymi stratami. Już wczoraj postanowiła, że ponownie zwróci się do prezesa o zmiany w wypłacie szkód. To nic, że za każdym razem po większą gotówkę jechała do banku z wynajmowaną

firmą ochroniarską, ale te wszystkie pieniądze przechodziły przez jej ręce. To ona mogła pomylić się przy wypłacie, to jej klient podpisywał odbiór gotówki. Dusza dobrej, sumiennej kasjerki się butowała. Owszem, akta muszą przez nią przechodzić, ale pieniądze na konto. W ostateczności przekazem pocztowym. Będzie się przy takim rozwiązaniu upierała. Agenci i dziewczyny z biura obsługi też niech wpłacają prosto do banku. Jeżeli załatwi sprawę przelewów, to gotówka nie będzie jej prawie w ogóle potrzebna. W ostateczności biuro obsługi niech u niej wpłaca. Po co dziewczyny mają gonić? Zamierzała do swoich pomysłów przekonać także pana Lucjana, na pewno by się zgodził.

Mechanicznie, zamyślona, wyciągała z torebki klucze i gmerała w zamku. Coś było nie tak. Drzwi wejściowe były otwarte, chociaż nie było jeszcze ósmej. Delikatnie popchnęła skrzydło i zajrzała do korytarza. Wewnątrz panowała niczym niezmacona cisza. Bożenka nie należała do najodważniejszych osób na świecie, ale ostatnie wydarzenia trochę ją zahartowały. Weszła do środka, potem powoli schodami na górę. Nadal panował spokój, krata była zamknięta. Pootwierała wszystko, miała wrażenie *déjà vu*. Wszystko było w porządku. Zostawiła torebkę w kasie, wzięła klucze od dołu – było za dziesięć ósma. Drzwi od dołu były otwarte, w pokoju likwidacji na biurkach widziała poukładane sterty papierów. Pomyślała, że wczoraj Karol solidnie się przygotował, sama zresztą mu pomagała. Nagle za sobą usłyszała szelest. Nie namyślając się, chwyciła pierwszą rzecz, jaka jej wpadła w ręce, a w głowie dźwięczał jej głos instrukcji samoobrony znalezionej w internecie: po pierwsze walić w podbrzusze lub golenie, po drugie paznokcie wpychać w oczy, po trzecie ogłuszyć tym, co pod ręką. Rąbnęła, aż echo poszło, z półobrotu i kątem oka zauważyła jakieś ciało osuwające się na podłogę. Ze strachu nie mogła złapać oddechu. Słyszała, że ktoś idzie.

– Bożenka! A coś ty, kobieto, zrobiła?! – Okrzyk pani Kingi trochę ją otrzeźwił. Popatrzyła dokładniej: na podłodze, powalony dziurkaczem, leżał Lucjan Wysocki. Oddychał ciężko, ale chyba miarowo; na skroni wykwiłał mu podbiegnięty krwią siniak. Patrzył na Bożenkę z lękiem pomieszanym z nienawiścią.

– Panie Lucjanie, litości! Co panu przyszło do głowy skradać się za mną? Przecież przez przypadek mielibyśmy trzeciego trupa! – Bożenka nie zamierzała przeproszać. Bożenka miała pretensje. – Nastraszył mnie pan – warknęła.

– Nie... nie o to... Wyjmowałem akta, spadły mi, poślizgnąłem się na folii, na takiej foliowej okładce, wie pani... uderzyłem się o kant biurka i upadłem. Leżałem taki zamroczony, nie wiem jak długo?... Ósma! No tak, to dobre dwadzieścia minut mnie trzymało... Pozbierałem się, zobaczyłem tylko, że ktoś stoi przy drzwiach, nawet nie rozpoznałem kto, i z powrotem poleciałem na podłogę. I mam dosyć! – oświadczył Lucjan.

– Sam pan jest sobie winny. Co to za przychodzenie przed wszystkimi. Klucze pan pewnie wziął z centrali? – zapytała pani Kinga.

– Tak, z sejfu, chciałem się rozglądnać, sprawdzić to i owo – potwierdził Lucjan.

– No to już pan sprawdził, najlepiej będzie, jeżeli wezwiemy pogotowie. Nie wiadomo, czy coś tam panu w tej czaszce nie pękło, pan jest cały zielony z bólu.

Pogotowie nie dało na siebie czekać, pozbierali to, co zostało z Lucjana, i odjechali, wyjąc dla fasonu. Jeszcze z noszy krzyczał, żeby mu dowieźli akta szkód, to zapozna się z nimi w szpitalu, ale zgodnie udali, że nie słyszą.

– Ktoś z nas musi podjechać do szpitala, sprawdzić, co z tym szpiegiem. – Karol nie zamierzał zostawiać Lucjana bez kontroli. – Trzeba pogadać z lekarzami, niech go tam trochę potrzymają, na

wszelki wypadek zrobią badania. Alinka, pojedziesz, ty umiesz załatwiać takie rzeczy, poza tym przecież twój pierwszy jest lekarzem.

– I ty uważasz, że z powodu jakiegoś Lucjana ja mam się spotykać z moim byłym i jeszcze może go o coś prosić? – Alina była wściekła.

– Pamiętaj, to jest nasz wspólny interes. Nawet jak jesteś czysta jak łąza, a nie jesteś, ja to wiem i ty to wiesz, to i tak Lucjan będzie na nas wszystkich wściekły i będzie szukał, aż znajdzie cokolwiek. Trzeba go spacyfikować, a ciebie akurat on lubi i to bardzo. – Karol uśmiechnął się do Aliny pojednawczo. – Damy ci kasę, kupisz mu co trzeba, zawieszysz parę mniej ważnych akt. Przynajmniej odetchniemy do poniedziałku, wtorku. Jest piątek, żadnych poważnych badań mu przez weekend nie zrobią, a my może do czegoś dojdziemy i odkryjemy zabójcę – mówił już na ostatnim oddechu Karolek.

– Kasa – rzuciła krótko Alina. Po chwili trzymała w ręku dwieście złotych na drobne wydatki. Kluczyki od służbowego samochodu Karolek także jej dał, byle tylko pojechała. Reszta – uspokojona co do dalszego przebiegu dnia, w końcu choćby przez sobotę mogą dużo zrobić – rozeszła się do swoich zajęć.

Karol tylko wypatrywał, czy znowu nie pojawi się gdzieś zabójcze porsche dyrektora. Na razie nie zdecydował się na donosielski telefon, bo i nie było o czym donosić. Właśnie oganiał się od agenta ubezpieczeniowego Wiesia, który nie chciał zrozumieć, że skoro nie wpisał babci Kwiatkowej stodoły do ubezpieczenia, to nijak za stodołę nie ma odpowiedzialności. Babcia była u nich wczoraj po wypłatę odszkodowania po ostatnich, sobotnio-niedzielnym zawirowaniach atmosferycznych. Nieszczęśliwie piorun uderzył w stodołę i ta poszła z dymem. Reszta ubezpieczonych zabudowań została na miejscu. Babcia chciała, żeby jej wypłacili odszkodowanie. Gotowa była iść do sądu, gdy dowiedziała się, że Wiesio akurat tej stodołki nie ubezpieczył. Agent najpierw twierdził, że babcia nie chciała ubezpieczać, potem, że stodołka, wczesne lata pięćdziesiąte, na jego oczach się rozpadła – i temu można było wierzyć. Wiesio uchodził za solidnego agenta. Później zrobiło mu się żal babci Kwiatkowej i kombinował, jak wybrnąć z sytuacji małym kosztem.

– Panie Karolu! Co panu zależy, chociażby pięć stów na otarcie łez – prosił.

– Wiesiek! Ty chyba rozum postradałeś – rozsierdził się Karol. – Wypłacę Kwiatkowej za nieubezpieczoną stodołę, to ludzie zaraz się dowiedzą i połowę rzeczy przestaną ubezpieczać, bo będą myśleli, że tak za friko dostaną. Wybij to sobie z głowy! – odmówił kategorycznie. – Poza tym wszystkim – dodał – Lucjan przyjechał na kontrolę, zaraz wyjdzie z tego szpitala i zacznie się czepiać. Jak chcesz, to odpal babci dwie stowy z własnej kieszeni, ja ci nie oddam, tylko pamiętaj, że to się obróci przeciw tobie. Ona teraz postęka, jak było niewiele warte, i odpuści, ale jak dasz pieniądze za nic, to się nie opędzisz od ludzi, tyle że nie tych płacących, a tych biorących.

– Co racja to racja. – Machnął ręką i poszedł tłumaczyć babci sytuację.

Lucjan miał zostać w szpitalu przynajmniej do poniedziałku, na dodatek w karetce im zemdłał i okazało się, że to nie przelewki. Zawsze istniała możliwość jakiegoś większego urazu. Wprawdzie nikt mu nic złego nie życzył, ale wszystkich ucieszyła perspektywa paru dodatkowych dni swobody. Pani Alina, uprzytomniwszy sobie po drodze powagę sytuacji, uruchomiła wszystkie swoje medyczne znajomości i zapewniła Lucjanowi cały komplet dodatkowych badań gratis, mamrocząc pod nosem o zasłużonym pracowniku oraz że firma będzie wdzięczna. Starła się nie precyzować, jak ta wdzięczność ma wyglądać. Syta komplementów, w tym jednej propozycji randki od byłego męża, wracała do pracy.

Jechała zgodnie z przepisami pięćdziesiąt na godzinę. Akurat trafiła na przerwę w ruchu samochodowym. Był minimalny. Trochę rozglądała się na boki, gdy wydało jej się, że wśród osób przechodzących z boku na pasach – patrzyła akurat w prawo, w podporządkowaną – widzi narzeczoną kierownika, tę jakąś Manuellę. Aż przyhamowała odrobinę. Dobrze, że nikt za nią blisko nie jechał, bo miałyby jeszcze do tego zaliczoną słuczkę. Jedyną osobą, która wyglądała dobrze, a nawet bardzo dobrze w szafirowo-zółtej obcisłej mini sukience była właśnie narzeczoną kierownika. Nogi zgrabne, opalone, na wysokiej szpilce zwracały szczególną uwagę. Całość była bardzo podobna. Trzeba sprawdzić, kto to taki. Niby o narzeczonej kierownika wszyscy wiedzieli, ale jak naprawdę się nazywała, gdzie mieszkała i pracowała, nie wiedział nikt. Poza tym czy była narzeczoną kierownika, czy kogoś całkiem innego? Do Aliny dochodziły różne plotki, miała swoje kontakty w różnych miejscach, tylko się ze swoją wiedzą zbyt nie reklamowała. Postanowiła jednak porozmawiać z Karolem.



Narzeczonej kierownika postanowiła też poszukać Marzenka. Marzenka koniecznie chciała mieć swoje własne zasługi w poważnym śledztwie. Przeczytała jeszcze raz notatki sporządzone na miejscu zdarzenia oraz zeznania świadków, a bardziej pracowników firmy. Nikt, oprócz Agaty Jaskólskiej, nie wspominał o narzeczonej kierownika, a to, co ona mówiła, nie brzmiało zbyt pochlebnie. Widać było, że panie się nie lubiły. Przynajmniej sekretarka Brysia-Kowalskiego nie lubiła Manuely. Jak było ze strony Manuely, nikt nie wiedział.

– Popatrz, Tomku. – Jeden fragment zeznań zwrócił uwagę Marzenki. – Tutaj jest napisane, że kierownik poznał tę swoją narzeczoną gdzieś koło marca. Podobno była niezadowolona z obsługi przez agentki. Może warto byłoby porozmawiać z dziewczynami z obsługi? Skoro taka rzucająca się w oczy, to może dziewczyny ją zapamiętały? Podjadę i pogadam – zaproponowała.

W biurze obsługi praca wrzała w najlepsze. W piątki dziewczyny zawsze miały całe masy spóźnialskich klientów. Byli wśród nich ci z przeterminowanymi opłatami, patrzący wiernie w oczy i zapewniający Basię i Anię jednocześnie, że przecież oni nie szukali gdzie indziej, że oni sobie nie wyobrażają życia bez nich. Cały tydzień zagoniony, to chociaż w piątek zapłacą. Dziewczyny znały tę śpiewkę na pamięć, kiwały uprzejmie głowami i kasowały jak leci. Zajęte obsługą niekończącej się kolejki nawet nie zauważyły zbliżającej się do nich Marzenki. Ta, nie chcąc przeszkadzać i narażać się na sarkania klientów, ustawiła się karnie w ogonku. Jak to przy końcu tygodnia głównym tematem rozmów była ciągle zmieniająca się pogoda. Na weekend, jak zawsze ostatnio, synoptycy zapowiadali deszcze i burze oraz przelotne gradobicia i trąby powietrzne. Ludzie byli już zmęczeni taką aurą, zwłaszcza że wielu ucierpiało także wskutek powodzi lub miało znajomych, którzy ponieśli znaczne straty. Ci ubezpieczeni spoglądali z wyższością na nieubezpieczonych i opowiadali, jak sprawnie i szybko zostali załatwieni przez likwidatorów. Nieubezpieczeni grzecznie potakiwali, zaciskając zęby w wymuszonym uśmiechu. Mieli nauczkę na przyszłość. Marzenka myślała, że co się nasłucha, to jej. Nagle do jej ucha doleciało charakterystyczne imię – Manuela. Rozejrzała się wokół, ale nie wiedziała, kto je wymienił. Obróciła się jeszcze raz i pod ścianą z reklamami dostrzegła stojącego z rękami w kieszeniach sztruksowych spodni, sympatycznego, rudawego wścacha w towarzystwie, jak dobrze pamiętała, Aliny Dobrosz-Zdebskiej. Tych dwoje coś do siebie mówiło. Nachylony Karol prawie

dotykał czołem czubka głowy pani Aliny. Coś mu opowiadała, gestykulując zawzięcie. To właśnie ona wypowiedziała imię Manuela. I to z naciskiem. Powiało tajemnicą, prawie jak w szpiegowskim filmie.

Marzenka sama nie wiedziała, czy ma stać w kolejce, czy z niej wyjść i podkraść się bliżej tamtych dwojga. Zaabsorbowana sytuacją nie zauważyła, że zwolniło się miejsce przed Basią.

– Pani w końcu siada, bo jak nie, to ja idę – pogoził ją zażywny, obwieszony złotem czterdziestolatek. Pomyślała, że powinna go opieprzyć – kto to widział tak poganiać, ale zreflektowała się i rzuciwszy suche „dziękuję”, siadła na wygodnym, tapicerowanym na fioletowo krześle.

Basia podniosła oczy i zobaczyła naprzeciw siebie jakąś skądś jej znaną kobietę. Ale do biura obsługi przychodzili sami skądś znani.

– Proszę, czym mogę służyć? Jakie ubezpieczenie chciała pani wykupić?

– Ja mam do pani taką prośbę. – Marzenka nie owijała w bawełnę. – Nie chcę wzbudzać sensacji, wszyscy jesteśmy zmęczeni, piątek zaraz się kończy, a ja mam tylko jedno pytanie: czy przypomina pani sobie narzeczoną kierownika? Kiedy ona tu do was przyszła? Koniec lutego, marzec? Czy może pani to jakoś w miarę szybko sprawdzić?

Basia pomyślała przez chwilę. Tak naprawdę o narzeczonej kierownika nie wiedziała prawie nic.

– Proszę pani, według mnie to ona u nas nie była. Sprawdzaliśmy klientów z tamtego okresu i wszystkie kalkulacje, jakie robiliśmy dla klientów, ale w ogóle jej nie kojarzymy. My mamy raczej dobrą pamięć wzrokową, zresztą to kwestia treningu, ale nic ściślejzego nie możemy powiedzieć.

– A może była, ale podała inne imię albo nazwisko? – dopytywała trochę rozdrażniona Marzenka.

– Pani tyle nie gada, pani ubezpiecza! – Zażywny czterdziestolatek nawet nie usiłował ukrywać wzdrowskich zapędów. Miał ochotę na małą awanturkę i piwko w nagrodę. W chwilę potem nie miał już ochoty na nic. Marzenka z absolutnym spokojem podetkała mu pod nos legitymację służbową i mało delikatnie wspominała o możliwości usadzenia go na trochę za zakłócanie porządku publicznego. Tak naprawdę facet nic nie zrobił, niecierpliwił się tylko trochę, ale ona po prostu organicznie nie cierpiała takich typów. Po chwili zrobił się czerwony i zaczął coś gulgotać. Przebijająco coś o skardze, którą złoży.

– Albo pan stoi spokojnie i czeka na swoją kolej, albo pan wychodzi – wyszczała Marzenka i wróciła na fotel przed Basią. – Czyli wy nic nie kojarzycie? – Zaprzeczenie było równie cenne jak potwierdzenie. Pomyślała, że przecież równie dobrze kobieta mogła ominąć biuro obsługi i pójść prosto do kierownika, poskarżyć mu się, poczarować. Swoją cel, czyli omotanie kierownika, osiągnęła. Tylko do czego było jej to potrzebne i jak naprawdę nazywała się niejaka Manuela? Tego, że na pewno całkiem inaczej, Marzenka na mur-beton była pewna. Postanowiła jeszcze odwiedzić panią Alinę i wypytać, gdzie widziała Manuelę. Czują przez skórę, że właśnie ta kobieta stanowi klucz do rozwiązania całej sprawy.

Pani Alina poszła w zaparte i stwierdziła, że opowiadała Karolkowi o smarowidle do chleba o nazwie Manuel i o reklamie tegoż produktu. Marzenka kiwała głową, nie wierząc w ani jedno słowo wypowiedziane przez mocno zaczerwienioną kobietę.



Pogrzeb Anatola Banskia odbył się w poniedziałek i zgromadził nadszpiewanie dużo żałobników. Przyszli wszyscy pracownicy Bezpiecznej Przyszłości i paru agentów, kolegów nieboszczyka od

kieliszka. Byli także uczestnicy ostatniej imprezy z udziałem zabitego. Jacenty Borowik, który zwykował się do wygłoszenia mowy pożegnalnej, pochrząkiwał i ciągle poprawiał czarny krawat. Widać było, że osierocona rodzina stanęła na wysokości zadania. Dwóch księży celebrujących mszę, mowa pożegnalna gloryfikująca życie zmarłego, rozwiedziona wdowa z synem, w głębokiej czerni, szlochająca nad grobem, odegrana na trębce *Cisza* przerywana odgłosami nadchodzącej burzy – to wszystko robiło wrażenie. Pracownicy ocierali łzy, niektóre panie nawet szlochały wzruszone maestrią trębacza. Postronny obserwator względnie neutralny żalobnik miał wrażenie, że na cmentarzu parafialnym, bo gdzieżby na komunalnym, chowają najzaciejszego obywatela w mieście. W końcu przebrzmiały ostatnie dźwięki trąbki, wdowa nabrała na łopatkę ziemi i rzuciła parę grudek na trumnę. Podała łopatkę synowi i zaczęła się z niepokojem rozglądać. Coś wyraźnie szwankowało w organizacji.

Komisarz Jodła, uczestniczący w pogrzebie w ramach obowiązków zawodowych, poczuł dreszczyk emocji. Do tej pory to wszystko było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Wdowa rozglądała się na boki, bez pardonu poszturchując odrobinę otumanionego syna. W końcu Jasiek złapał, o co chodziło matce, i przecisnął się w kierunku wieńców. Od początku jej tłumaczył, że to głupi pomysł pchać ojcu do grobu ulubiony jasiek. Żeby chociaż ta poduszka była nowa, ale nie, matka wygrzebała jakiś tłumok pogryziony przez mole. Twierdziła, że był to ukochany jasieczek ojca i ona chce mu go ofiarować na ostatnią drogę. Najpierw chciała otwierać trumnę w kaplicy, ale okazało się, że została już zabita gwoździami na amen. Jasiek nawet się nie przyznał, że na jego dobitnie wyrażoną prośbę. No to jak nie do trumny, to na trumnę. Jedyne, co wywalczył, to nowa poszewka i w ostatniej chwili przyczepiony do poduszki malutki wieniec. Teraz szarpnął ten cały majdan i trzymając go od spodu, modlił się, żeby się to wszystko nie rozleciało. Przepchnął się nad grób i odrobinę przesunął mamę – wpatrywała się w niego jak kobra w klienta przed ukąszeniem. Przyklęknął na krawędzi grobu i zaczął delikatnie opuszczać zawartość rąk na trumnę. Myślał tylko o tym, żeby nie zlecieć, i o tym, że jutro całe miasto będzie huczało od plotek o nietypowym pochówku. Gibnął się lekko na ugiętych kolanach, zachwiał i przyklęknął na krawędzi grobu. Pośmiertny dar poleciał na trumnę i ułożył się lekko na prawym boku. Poduszka zamortyzowała uderzenie. Podparł się mocno o brzeg wykopanego dołu, spodnie już miał całe uwalane żółtą gliną. Wstał, otrząpał kolana.

Pierwsze krople deszczu zaczynały bębnić o rozkładane tu i ówdzie parasole. Pogrzeb miał się ku końcowi. Pozostawało jeszcze tylko przyjąć kondolencje, potrząsając tuzinami obcych rąk, i zaprosić wytypowanych członków rodziny i przypuszczalnych przyjaciół ojca na stypę, na którą matka wynajęła okoliczną restaurację. Komisarz Jodła obserwował te wszystkie przepychanki z oddali. Nie cierpiał pogrzebów, starał się spychać obowiązek chodzenia na nie na współpracowników. Tym razem zadecydował inaczej. Nikt nie wiedział, że wcale nie chodziło mu o widok ewentualnych podejrzanych, których jeszcze nie miał, a o widok Bożenki Kryspin. Podejrzewał, że przyjdzie na pogrzeb odkrytego przez siebie nieboszczyka. Przyszła. Według komisarza Jodły wyglądała zjawiskowo. Piękne, koloru polerowanej miedzi włosy lśniły mimo zachmurzonego nieba. Ubrana w elegancki granatowy kostium z zawiązaną na szyi białą w granatowe grochy apaszką, wyglądała elegancko i na miejscu, a jednocześnie niesamowicie seksownie. Komisarz słowa „seksownie” nie używał od wieków i prawie zdążył zapomnieć, co ono znaczy. Zapewne znaczyło to, że Bożenka mu się podoba i to coraz bardziej. Niestety bliższe kontakty pozasłużbowe mógł z nią nawiązać dopiero po zakończeniu całej sprawy.

Zastanawiał się, czy podejść do wdowy, ale doszedł do wniosku, że nie ma takiego obowiązku. Złożenie kondolencji nie wniesie nic do sprawy. Żalobnicy już sprawnie zmierzali do wyjścia z cmentarza. Część z nich kierowała się w stronę pobliskiej restauracji na stypę. Był najwyższy czas,

burza nabierała rozpędu. Komisarz zanotował jedynie w pamięci, aby zapytać potem syna Banysia, co to za tobolek umieścić pod wieńcem. Wyglądało z daleka na poduszkę.

– Panie komisarzu, miło mi pana widzieć. – Jodła stanął w miejscu jak wryty, a Bożenka uśmiechnęła się do niego smutno. – Nie wiedziałam, że chodzenie na pogrzeby zamordowanych jest pana obowiązkiem. – Bożenka miała ochotę porozmawiać na jakikolwiek temat z tym przystojnym, nieco nieśmiałym mężczyzną.

– No, do przyjemności to nie należy, nie cierpię pogrzebów – wyjąkał z trudem. Zbliżali się do wyjścia z cmentarza. Przypuszczał, że Bożenka, tak jak i reszta pracowników, została zaproszona na stypę. Biuro Bezpiecznej Przyszłości miało być zamknięte do czternastej. Widział, że Bożenka się zawahała, i postanowił zaryzykować, łamiąc wszystkie znane sobie przepisy. – Pani Bożenko, czy dałaby się pani zaprosić na kawę? – zapytał.

– Z przyjemnością – odpowiedziała szybko. – Nie dość, że nie lubię pogrzebów, to jeszcze bardziej nie lubię styp. Jeszcze żeby to był ktoś bliski, a nie ktoś, kogo de facto poznałam dopiero po śmierci. Chętnie z panem wypiję kawę. I tak mamy biuro zamknięte, a ja nie jestem aż tak nadgorliwa – zadeklarowała.

Prawie biegnąc, potykając się o nierówne płyty chodnikowe, wpadli razem do ulubionej kawiarenki Bożenki. Jodła trafnie ocenił kobietę. Widział, że studiowanie karty dań sprawia jej przyjemność i na pewno na kawie się nie skończy. Propozycję, by każdy płacił za siebie, odrzucił i płynnie przeszedł do rozmowy na temat zalet czerwonego wina, które przedkładał nad białe. Po godzinie rozmowy na tematy niemające z pracą obojga nic wspólnego nad stołem zapadła cisza. Bożenka już wiedziała, że Kazimierz (przeszli na ty) jest rozwodnikiem od lat dwunastu, żona dawno się wyprowadziła, a on po śmierci rodziców został prawie sam. To prawie to była zastępująca mu całą rodzinę ciotka Helena, siostra przyrodnia ojca. Miała już swoje lata i sklerozę, ale była jego jedyną łączniczką ze światem dawno zmarłych rodziców i dziadków, których nie pamiętał. Czasami kiwając głową i robiąc śmieszne miny, powtarzała, że z niego wykapany dziadek, przedwojenny policjant. Nigdy nawet nie sprawdził, czy mówiła prawdę.

Kawa była doskonała, a szarlotka na ciepło z lodami cytrynowymi i kandyzowaną wisienką przebijająca wszystkie znane mu do tej pory ciasta. Patrzył z przyjemnością na jedzącą Bożenkę. Widać było, że kobieta nie katuje się żadnymi cudownymi dietami, tylko lubi sobie zjeść. Sam chudy jak patyk, lubił jeść i lubił gotować. Czasami wrodzone leniwość przeważało i jadał w barach, uważając, że lepszych niż w barze mlecznym Naleśnik pierogów z mięsem i tak nie zrobi. Teraz syty i ogrzany nie bardzo wiedzieli, jak się zachować. Sytuacja stawała się zbyt intymna jak na początek znajomości. Bożenka dyskretnie zerknęła na zegarek, było dwadzieścia po pierwszej, mieli jeszcze chwilę czasu.

– Rozmawiałam z Karolem – zaczęła cicho. – Karol mówi, że Alina widziała w mieście Manuela.

Najpierw do Jodły dotarło, że Bożenka rozmawiała z Karolem (wkurzył się, był zazdrosny), a dopiero potem, jakiej wagi wiadomość mu przekazuje. Marzenka zdała mu ścisłą relację z piątkowych usiłowań, też twierdziła, że z ust Aliny Zdebskiej padło imię Manuela, ale ta wykręcała się wręcz nieprzyzwoicie i opowiadała policjantce jakieś bzdury.

– Tak... to ciekawe, co mówisz. – Rozglądał się dookoła. Miał ochotę na jeszcze jedną kawę, ciśnienie szło w dół, prawie zasypiał, pomimo uroczego towarzystwa Bożenki.

– Czy ty jesteś tym, co mówię, chociaż trochę zainteresowany? Bo coś mi się nie wydaje. – Bożenka widziała błędny wzrok Jodły, ale przyczyny tego raczej upatrywała w znudzeniu jej osobą.

– Przepraszam, ja cię naprawdę bardzo przepraszam! – Komisarz kajał się, ile wlażło. – Tylko widzisz, zawsze jak ciśnienie spada, to ja momentalnie zasypiam, wypiję jeszcze jedną kawę i będzie dobrze. – Uśmiechał się do niej nieśmiało. – To wszystko jest bardzo ciekawe, Bożenko, my też szukamy tej jakiejś Manueli. Wydaje mi się, że może ona stanowić klucz do rozwiązania całej zagadki. W końcu była narzeczoną kierownika, prawda? Zdążył się z nią spotkać w poniedziałek do południa, tuż przed śmiercią, albo i nie – ciągnął komisarz. – Zakładamy, że mogła być jedną z ostatnich osób, które widziały go żywego, bardzo cennym świadkiem!

– No tak, mogła być nawet ostatnią osobą, która go widziała – wniosowała brutalnie Bożenka. – Przecież nie możemy jej wykluczyć jako mordercy, przynajmniej my w naszych dedukcjach tak założyliśmy. Jeszcze jedno, nie wiem, czy pani Kinga była z tym u ciebie, ale nam powiedziała, że знаła nieboszczyka Anatola Banysia całe lata temu, i twierdzi, że wtedy nazywał się całkiem inaczej. – Spojrzała na niego pytająco. – To jest chyba do sprawdzenia? Ślady po takich zmianach powinny być w urzędzie stanu cywilnego, poza tym Zdebski powinien wiedzieć, w końcu chodzili podobno razem do szkoły.

– Jesteś nieoceniona! – Komisarz był pod wrażeniem i już nawet sam przed sobą czuł się usprawiedliwiony z przekroczenia procedur służbowych. Jak na razie spotkanie z Bożenką przynosiło mu tylko same korzyści. – Powiedz mi jeszcze, gdzie pani Alina widziała tę Manuellę.

– Z tego, co opowiadała, to gdzieś w okolicy szpitala, Manuela przechodziła przez jezdnię. Alina nie jest pewna na sto procent, ale tak na dziewięćdziesiąt pięć, i myślę, że w tych okolicznościach to dużo. – Bożenka zerknęła na zegarek i prawie poderwała się z miejsca. – Nie gniewaj się, Kaziu, ale muszę iść, na pewno ludzie już czekają do kasy. Było mi naprawdę bardzo miło. – Uśmiechała się do niego z sympatią.

– Czy ewentualnie... wiesz... czy dasz się jeszcze kiedyś zaprosić na jakąś kawę względnie obiad? – Brnął na całego. Wiedział, że przepadł z kretesem i jedyne, czego się w tej chwili bał, to odmowy Bożenki.

– Ależ z przyjemnością! – Oczy zabłyśły jej wesoło. – Tylko wolałabym w innych niż pogrzebowe okolicznościach – dodała i machając mu ręką na pożegnanie, wyszła z kawiarni.

To jest kobieta! Rozum, ciało i ten olśniewający apetyt. Komisarz już wiedział, że następnym posiłkiem, którym uraczy Bożenkę, będzie obiad, najlepiej połączony z kolacją i śniadaniem. O tym, co dalej, na razie nie miał odwagi myśleć.



Karol po pogrzebie i stypie, na których nie zauważył dyrektora Darskiego, postanowił wykonać pierwszy donosielski telefon. Całą tę nietypową sytuację przeżywał jak stonka wykopki, czyli, według własnej kwalifikacji, bardzo ciężko. Choć tak naprawdę nie zamierzał na nikogo donosić. Po rozmowie zamierzał zdać raport uroczej Marzence albo temu całkiem sympatycznemu komisarzowi. Chciał uratować jak najwięcej własnej skóry i przy okazji skórę przynajmniej części pracowników. Karol nie był egoistą, co to, to nie!

Teraz drążąc ręką szukał w przepastnych kieszeniach sztruksów telefonu komórkowego, wbiął powoli numer dyrektorskiej komórki, w drugiej ręce trzymając wizytówkę. Po pięciu sygnałach

pomyślał, że w zasadzie wywiązał się z obietnicy, dzwonił! To, że dyrektor nie odebrał, to jego strata. Nie zdążył do końca pomyśleć, gdy w telefonie rozległ się miły lekko ściszony głos dyrektora:

– Halo... z kim rozmawiam?

– Dzień dobry... panie dyrektorze... to ja – wyszeptał Karolek.

– Jaki ja? – Głos był już o ton wyższy.

– No ja! To znaczy... Barański, Karol Barański. Dzwonię, jak pan chciał. Może nie w porę? – W głosie Karolka pobrzmiwało wahanie.

– A, witam, witam! Cóż nowego w firmie?

– Nic takiego, tylko że dzisiaj był pogrzeb Anatola, a pana dyrektora nie było...? – Karol zawiesił na chwilę głos. Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza, słychać było tylko szum przejeżdżających samochodów.

– No proszę, panie Karolu, niech pan relacjonuje, proszę, śmiało! Czekam!

Karol skupił się w sobie i zaczął relację monotonnym głosem, poczawszy od wystawnej mszy, po ostatnie akordy ziemi spadającej na trumnę.

– Barański! Człowieku! Co ty mi tu pieprzysz o jakimś pogrzebie! To są ploty biurowe! Ty mi chcesz wmówić, że przez cały tydzień nic się nie działo, tylko jakiś pieprzony pogrzeb?! – darł się ordynarnie w słuchawkę dyrektor.

Karol odsunął telefon od ucha i przeczekał. Spodziewał się gwałtownej reakcji, ale jednak chyba nie takiej. W końcu usłyszał ciszę, przerywaną poświstującym oddechem – to dyrektora złapała zadyszka. Postanowił rzucić mu ochłap na pożarcie.

– Ale, panie dyrektorze, to tylko początek. Podobno znał się pan z Anatolem...

– Nie twój zakichany interes!

– Może mój, może nie mój. Manuela była widziana na mieście, poza tym, ale to pan chyba wie. Lucjan w szpitalu, poleży chyba do czwartku. Wstrząs mózgu – zaraportował Karol z niejaką satysfakcją. Po drugiej stronie znowu zapadła cisza, widać dyrektor przetrwał uzyskane informacje.

– Kto widział Manuelę? – zapytał.

– A tego to ja nie wiem, taka plota krąży po firmie, pan chciał ploty, panie dyrektorze, to mówię – dodał niewinnie Karol, przekreślając w myślach raz na zawsze dalszą pracę w Bezpiecznej Przyszłości.

– Kto? – syknął dyrektor.

– Nie wiem, no naprawdę, przysięgam! Poza tym wszystko w porządku, tylko jeszcze jedno pytanie... – drążył Karol. – Kto pochowa kierownika? – Westchnął. – Bo, dyrektorze, zaraz wydadzą ciało, tylko nie ma komu, bo on był całkiem sam, a jak narzeczona się nie zgłasza, to chyba my się musimy zająć pogrzebem? – dodał niby niewinnie, wiedząc, że dyrektor niespecjalnie lubił się z kierownikiem, mimo pozorów przyjaźni.

– Róbcie, co chcecie! Mnie to nic nie obchodzi, może go pochować ktokolwiek! – Dyrektor miał już dosyć rozmowy z gorliwym Karolem. – Proszę relacjonować na bieżąco. Tylko liतोści! Nie takie pierdoły! – Dyrektor rozłączył się, zostawiając Karolka z miłym uczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Teraz trzeba było porządnie i z pompą pochować kierownika, a rachunek przesłać dyrektorowi. Niech płaci!

Karol był urodzonym szczęściarzem. Z myślą o dalszej pracy w Bezpiecznej Przyszłości zdążył się już pożegnać. Nawet gdyby w trybie natychmiastowym rzucił pracę, to miał z czego żyć. Oszczędny, zawsze coś w zanadrzu posiadał, więc nie brak pieniędzy spędzał mu sen z powiek, tylko to, co powie

na takie życiowe zmiany żona. Swoje odejście z pracy wolał przedstawić jako troskę o dalszy rozwój i poprawienie i tak już bardzo dobrego bytu rodziny, a nie jako przymus i upokarzającą rezygnację. Szedł zamyślony. Dobrze wiedział, że pozbył się dyrektora tylko na chwilę. Za dwa, góra trzy dni będzie musiał znowu zadzwonić i pluć się w słuchawkę. Chyba że przedtem komisarz Jodła znajdzie mordercę. Karolek sam do siebie się uśmiechnął. To byłoby zbyt piękne! Podniósł wzrok i zobaczył ogłoszenie na słupie zapraszające wszystkich chętnych, najlepiej po odpowiednich studiach, ale niekoniecznie, do ukończenia kursów na trenerów personalnych.

To coś dla mnie! – ucieszył się. Jak tu nie wierzyć w zbiegi okoliczności? Nauka zaczynała się od piątego października! Szkolenie finansowane w dużej części przez EFS było całkowicie na jego kieszeń i otwierało przed nim całkiem nowe perspektywy. Wiedział, że czego, jak czego, ale pracowników do wyszkolenia to mu na pewno nie zabraknie, jak nie tu na miejscu, to w całej Polsce. Czuł, że teraz spokojnie może wracać do pracy i do domu, kompletnie nie przejmując się tym, co powie żona.



– No to, panie Zdebski, koniec tych bzdur! Nawet moja cierpliwość ma swoje granice! – Komisarz zaczął mieć dosyć. Był wtorek, od dziewiątej rano usiłował przesłuchać Krzysztofa Zdebskiego. Zdebski zaparł się w sobie i na wszystkie pytania odmawiał odpowiedzi. Już zaczęli gonić w piątkę. W momencie gdy Zdebski na powtórne pytanie o nazwisko powtórzył „Odmawiam odpowiedzi”, komisarz nie wytrzymał i zostawiwszy przesłuchiwanego samego w pokoju, wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Marzenka, pomocy! Ten osioł się zaparł i nie chce nic powiedzieć. Przecież on nie może mieć nic takiego na sumieniu. On mi nie pasuje na mordercę, taki mały krętać! – Komisarz westchnął. – Spróbuj z nim porozmawiać, ja już nie mam cierpliwości.

– Rozmowa nic nie da! – Marzenka była nie w humorze. – Szefie, mam propozycję nie do odrzucenia. Posadźmy go na czterdzieści osiem godzin za utrudnianie śledztwa i tyle... To jest tchórz, mięknie i powie, co wie – dodała. – A pan nie będzie się przez niego denerwował. – Zatrzaszczyła się o przełożonego.

– A wiesz, że masz rację. – Komisarz Jodła nie cierpiał restrykcyjnych posunięć, ale postępowanie Krzysztofa Zdebskiego przekraczało wszelkie pojęcie, a on miał już całej sytuacji serdecznie dosyć.

– No! To Tomek odprowadzi go na dołek, potrzymamy go trochę i zobaczymy jutro – zarządziła Marzenka, przestraszona widokiem zmierzniałego komisarza.

Ten po nieprzespanej nocy (śniła mu się uciekająca przed nim Bożenka trzymająca kurczowo za rękę Karola – wolał nie sprawdzać w senniku, co to znaczy) wyglądał nie najlepiej. Poza tym odezwały się cztery kawy, w tym dwie siekiery. Komisarz wiedział, że przesadził. Marzenka podejmowała za niego decyzje i był jej bardzo wdzięczny.

Zdebski rozumiał, że przegiął, ale jedyne, co przychodziło mu na myśl, to telefon do dyrektora. Musiał, ale to naprawdę musiał skonsultować z kimś swoje przemyślenia, a komisarz Jodła do tego typu konsultacji w ogóle się nie nadawał. Nawet nie protestował przeciwko zatrzymaniu, tak jakby powaga i groza sytuacji nie dotarła do niego. Myślał tylko o tym, ile może powiedzieć, ile ukryć, zastanawiając się wciąż, kto tak naprawdę jest mordercą. Teraz nie był już niczego pewny.



Palacz i złota rączka, Józef Cibor siedział w kantorku i popijał herbatę, głaszcząc Różę po karku i drapiąc ją delikatnie za uszami. Musiał się na serio zastanowić, a do tej pory nie miał na to czasu. Córka wróciła do domu z ukochanym wnukiem i zaczęło się Józefowi życie prawdziwie rodzinne. Mały był słodki, był kochany, ale miał jedną, jedyną maleńką wadę. Spał przez dzień przesłicznie, tak spokojnego dziecka w rodzinie dawno nie było, piekło rozpoczynało się w nocy. Około godziny dwudziestej drugiej, gdy skonana po całym dniu rodzina z kolacją na talerzach zasiadała przed ściszonym telewizorem, mały Wiktor rozpoczął operę. Nic nie pomagało na dłużej. Wyglądało na to, że dziecku przestawił się dzień z nocą, a rodzina niestety na takie funkcjonowanie nie mogła się zgodzić. Należało podjąć jakieś sensowne działania, inaczej czekało ich ciężkie życie z małym.

Teraz zastanawiał się, z kim mógłby porozmawiać. Niepokoiła go nadal kwestia alarmu i przede wszystkim narzeczonej kierownika. Ilona wczoraj po stypie powiedziała mu, kogo widziała w gabinecie w niedwuznacznej sytuacji z Manuelą. Józef był lojalnym pracownikiem, ale raczej bardziej w stosunku do tych, których znał i lubił, a nie obcych, co to przychodzili jak do siebie. Wolały pogadać z mężczyzną, jak chłop z chłopem, tylko nie wiedział, czy iść bezpośrednio na policję, czy zwracać głowę panu Karolowi.

Solidarność wobec spraw firmy zwyciężyła i Józef ruszył na poszukiwanie Karola. Dopytywał o niego dyskretnie, ale jak na złość nikt go od rana nie widział. Krzysiek Zdebski też jeszcze nie stawiał się do pracy. Kontroler Lucjan Wysocki leżał w szpitalu. Zaczynały się babskie rządy.

Karol tymczasem załatwiał własne sprawy na mieście. Podjechał do firmy szkoleniowej i zapisał się na kurs trenerski, wpłacił odpowiednią zaliczkę i spokojny o swoje dalsze losy, postanowił odwiedzić znajomy bank. Karol jak już coś zaczynał, to na całego. Nie zamierzał topić swojej własnej gotówki w nowej działalności, o nie! Wiedział dobrze, że należy mu się dofinansowanie z funduszy unijnych, i teraz tylko problem stanowiło, jak te pieniądze z Unii wyciągnąć. Do banku udawał się po profesjonalną poradę i ewentualne dokumenty, bo a nuż uda się coś jeszcze dzisiaj załatwić. Swoją nieobecnością w pracy w ogóle się nie przejmował, teraz zaczynało mu już wszystko powiewać. Formalnie był jeszcze uwikłany we wszelkie firmowe struktury i zamierzał oczywiście po powrocie wypełniać wszystkie swoje zobowiązania. Gdyby miał chociaż blade pojęcie, z jaką wiadomością czeka na niego pan Józef, to nie chodziłby od okienka do okienka, szukając jakiejś znajomej twarzy, tylko popędziłby natychmiast do biura. A tak Karol po prostu na razie tracił czas. Tyle tylko, że dowiedział się, iż najpierw powinien skończyć ten kurs, potem założyć działalność gospodarczą, najlepiej pod jakąś porównującą, budzącą pozytywne skojarzenia nazwą. A potem... potem to już może składać papiery o pożyczki, kredyty i dofinansowania. Tak że nie wszystko od razu, tylko po kolei.

Usadzony przez urzędników bankowych, ale doinformowany Karolek podążył na łono pracy. Na łonie, czyli w Bezpiecznej Przyszłości, papiery fruwały w powietrzu. Wszyscy, póki nie było Lucjana, porządkowali dokumenty, starając się jednocześnie obsługiwać klientów. Na razie wszystkie dokumenty, oczywiście po uzgodnieniu z prezesem, podpisywała Alina Dobrosz-Zdebska. A trzęsła się przy tym jak osika.

Był już wtorek, leciał drugi tydzień po morderstwach, pracownicy wykuszali się w zastraszającym tempie. Nikt nie wiedział, gdzie podział się Krzysiek Zdebski, a przyjście do pracy Karolka zostało

przyjęte zbiorowym westchnieniem ulgi.

Nie zdążył jeszcze zaparzyć kawy, a już pan Józef otwierał drzwi kantorka i szarpał go za ramię, podnieconym szeptem plując do ucha wiadomości. Wiadomości tak sensacyjne, że Karol, nieprzygotowany, kompletnie po podjęciu decyzji wyluzowany, parsknął kawą i zalał sobie ulubione sztruksy, nie mówiąc o koszuli z Wólczanki, niebieskiej z krótkimi rękawami, idealnie dobranej do koloru oczu. Pojął wagę wiadomości przekazanej przez ciecia i pogrążył się w rozterce, czy lecieć z tą sensacją do komisarza Jodły, czy też zachować ją dla siebie i wykorzystać dla swoich celów.

Dozorca nadal stał przy nim i czekał na komentarz do przekazanej informacji, spragniony pochwałą. Czuł ulgę, zrzucając ciężar decyzji na kogoś innego.

– I jeszcze wie pan, panie Karolu, mnie się wydaje, że to wszystko to takie udawanie było, a nasz pan kierownik, świeć panie nad jego duszą – przeżegnał się nabożnie – nasz pan kierownik to był naprawdę naiwny jak dziecko, taki mało życiowy.

– Oj! Żeby pan wiedział, panie Józefie. – Karol szukał jakiegokolwiek szmaty do wytarcia mokrego ubrania, ale jak na złość żadna w zasięgu wzroku nie wisiała. – Ma pan rację, kierownik nie wiedział, co to prawdziwe życie i chyba dlatego już nie żyje.

W końcu w szafce pod zlewem znalazł ręczniki papierowe i zaczęły się wycierać, pozostawiając na ukochanych sztruksowych spodniach wałki papieru.

– Panie Józefie, dobrze, że mi pan to wszystko powiedział, a teraz pan pozwoli... – Karol chciał się w kulturalny sposób pozbyć pana Józefa. – Muszę jechać do domu, zmienić ubranie, nie mogę tak zostać... – Rozejrzał się bezradnie.

Karol powoli przetrawiał uzyskane informacje. Niestety to, co pasowało do Anatola Banysia i wiązało się według Karola z zamordowaniem go, nie pasowało do kierownika Teodora Brysia-Kowalskiego. Nic się nie chciało zająć ani układać chronologicznie. Zamiast iść prosto do domu i przebrać się, Karol postanowił najpierw porozmawiać z Bożenką, jedyną według jego oceny osobą, która nie straciła jeszcze głowy i nie była zamieszana w liczne machlojki pracowników. Owszem, zdawała sobie na pewno sprawę z tego, co dzieje się w firmie, sygnalizowała swoje wątpliwości przesowowi, ale nic poza tym! – Karol był pewny, że może mieć do niej zaufanie. Umówili się na wieczór u Bożenki. Tam przynajmniej żadne z dzieci Karola nie zakłóci im spokoju, a żona nie będzie go wywoływała w sobie tylko wiadomym celu co pięć minut.

Dla podreperowania nastroju wstąpił po drodze do Bożenki do monopolowego. Za ladą urzędował Strzępski. Po zainkasowaniu sowitego odszkodowania gustownie odnowił lokal i już nie raziły oczu różowe, pamiętające lata siedemdziesiąte ściany i lady z odstającym tam i ówdzie laminatem. Teraz sklep wymalowano w kolorze wściekłego oranżu, a u sufitu zamontowano fikuśne halogenki. Strzępski wygrzebał gdzieś stare plakaty filmowe i zrobił całkiem nastrojową dekorację. Lady z czarnego, podrabianego granitu lśniły nowością, odnowione, pomalowane także na czarno regały uginające się od różnorakich alkoholi zachęcały do kupowania.

– A witam! Witam! Taki gość u mnie! – Strzępski uśmiechał się od ucha do ucha, zwracając uwagę reszty kolejki na Karola. Ten, wściekły, bo powinien był wybrać sklep, który zapewni mu anonimowość, a nie ten cyrk, uśmiechał się samymi ustami. – Czym mogę panu służyć panie Karolu? – Sprzedawca, nadal uśmiechnięty, czekał na decyzję klienta, i to jakiego klienta! Strzępski dobrze wiedział, kto podpisywał jego odszkodowanie do wypłaty, i nawet trochę się dziwił, że likwidatorzy nie każą mu donosić dodatkowych rachunków, większość spraw załatwiają na oświadczenie, tak jakby to, co klient powie czy napisze, nie podlegało weryfikacji. Fakt faktem, wykorzystał trochę sytuację i podreperował

sobie budżet kosztem firmy ubezpieczeniowej, ale do swoich małych kantów nie przyznał się nawet ślubnej małżonce. Im mniej osób wie, tym lepiej. Teraz czekał i widział, że ten miły pan Karol jakby się pogubił. – Na smartwienie najlepsza czysta, może taka nieco podrasowana, o, tu mam finlandię cytrynową na przykład. – Karol zaczynał blokować mu kolejkę.

– Daj pan! – Karol wyciągnął rękę po trunek, odliczył pieniądze i zapłacił. Jakoś poradził sobie z zapakowaniem w reklamówkę owiniętej dla niepoznaki w papier wódkii, potykając się o własne nogi, wyszedł. Do Bożenki miał kawałek drogi. Szedł bezmyślnie, przytłoczony mnogością zdarzeń. Najbardziej ze wszystkiego pragnął cofnąć czas i znów być tylko beztroskim Karolem, żyjącym z dnia na dzień i jedzącym małą łyżeczką. Teraz szybciej niż planował musiał podjąć bardzo życiowe decyzje i znaleźć sposób na przekazanie ich prezesowi i współpracownikom. Trzeba będzie też poszukać kogoś na miejsce kierownika likwidacji, bo co do tego, że nie pozostanie nim Krzysiek Zdebski, nie miał najmniejszych wątpliwości.



A Krzysiek Zdebski zaliczał pierwsze z czterdziestu ośmiu godzin aresztu tymczasowego. Powoli zaczynała do niego docierać powaga sytuacji. W swoim przekonaniu był niewinny, w końcu on tylko robił to, co mu kazali. Owszem, prawda, miał z tego procederu pieniądze, ale w stosunku do tego, co inkasował dyrektor, to były drobne rupie. Zdebski nieraz zastanawiał się, dlaczego dyrektor, syn prezesa, musi dorabiać na boku. W końcu ojciec był właścicielem prężnie rozwijającej się firmy, na brak gotówki żaden z nich nie mógł narzekać, a jednak... Widać taka była jego natura lub też pieniądze oficjalne, czyli całkiem niemała dyrektorska pensja plus prowizja, zależna od tego, ile zrobili agencji, nie wystarczała na jego rozbuchane potrzeby i potrzeby Manueli. O cichym związku dyrektora z piękną blondynką Krzysztof dowiedział się przez przypadek i była to jedna z tych wiadomości, które trzymał na zaś, pewny, że kiedyś mu się przyda. Wiedział, że teraz nastąpił ten moment, i jedyne, czego pragnął, to jeden telefon do dyrektora z małą sugestią, że on wie... Chciał tylko, aby dyrektor wyciągnął go z tych kazamatów. Zgodzi się na odejście z pracy za porozumieniem stron, oczywiście z sutą odprawą, najlepiej płatną w ratach, oraz gwarancją milczenia i lojalności obu stron. Tak to sobie wymyślił, tylko z natychmiastową realizacją był kłopot. W każdej chwili spodziewał się wezwania na przesłuchanie. Postanowił przyznać się do własnego imienia i nazwiska, coś tam powiedzieć, niekoniecznie z sensem, i po prostu przeczeć. Ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, był powrót do pracy.



– Manuela! – parsknęła śmiechem Marzenka. Była na sto procent pewna, że imię dziewczyny jest fałszywe. Nazwiska nikt nie znał, a opis, owszem dokładny, zawierał przede wszystkim informacje o głęboko zielonych oczach (zapewne soczewki kontaktowe), długich blond włosach ze złotymi refleksami i nienagannej figurze modelki. Wyjmie soczewki, włoży okulary, zetnie włosy na krótko i ufarbuje je na czarno, założy spodnie i już jej nikt nie pozna! Jedynym w miarę realnym tropem pozostawał głos, gruby, prawie męski. Tembr głosu nie tak łatwo zmienić. Manuela na pewno była

podejrzana – nie skontaktowała się z nimi po śmierci narzeczonego. W zasadzie nawet nie wiadomo, czy kierownik zdążył się oświadczyć. Torba wraz z całą zawartością, w tym pierścionek z brylantem, zdążyły zmienić właściciela. Czy była nim Manuela, czy całkiem kto inny?

Na te pytania Marzenka szukała odpowiedzi. Na drugie miejsce jako podejrzany wysuwał się dyrektor Darski. Umaczany w tych ich wszystkich interesach po uszy. Następny niezainteresowany losami pracowników, firmy oraz śledztwa kwalifikował się do natychmiastowego przesłuchania. Marzenka właśnie zastanawiała się, czy lepsze byłoby wezwanie dyrektora Darskiego do komendy miejskiej i pokazanie mu jego miejsca, czy też potraktowanie go z niezасłużoną uprzejmością i przesłuchanie w centrali, oznaczało to podróż, na którą nikt z nich nie miał czasu i ochoty. Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu. Szeł po cichu coś tłumaczył, czerwieniąc się coraz mocniej. Marzenka od razu pomyślała, że to dzwoni albo wojewódzka, żeby opieprzyć komisarza za brak wyników, albo Bożenka. Reakcja w obu jakże różnych sytuacjach byłaby taka sama.



Stare polskie powiedzenie mówi, że co dwie głowy, to nie jedna. Karol przecwiczyl to niejednokrotnie. Ponieważ w żonie nie miał odpowiedniego oparcia, nie chciał też jej denerwować bez potrzeby, nauczył się z każdymi większymi wątpliwościami biegać do Bożenki. Karol w odróżnieniu od większości mężczyzn nie cenil sobie specjalnie męskich pogaduszek przy trzecim piwie, ani upojnych wieczorów spędzanych przed telewizorem, w którym pokazywano właśnie kolejny nudny mecz. Jeśli już, to wolał oglądać mrozące krew w żyłach sporty ekstremalne, Top Gear i tym podobne, podnoszące poziom adrenaliny we krwi programy.

Owszem lubił męskie towarzystwo, czemu nie? Ale zawsze twierdził, że kobiety, a przede wszystkim znane mu kobiety, są dużo dyskretniejsze niż znani mu mężczyźni. Karol oczywiście miał swoje za skórą. Przykładowy ojciec trójki dzieci, dobry, oddany mąż, miał momenty załamania. To, że miał żonę i troje dzieci, nie wpłynęło na jego brak zainteresowania kobietami. Już w czasie pracy w Bezpiecznej Przyszłości przez prawie pół roku przeżywał zafascynowanie Anią, atrakcyjną agentką z biura obsługi klienta. Ponętna, o wydatnym biuście brunetka nie mogła ująć jego uwagi. Pierwsze miesiące ognistego romansu niekorzystnie odbiły się na jego małżeństwie i tylko interwencji Bożenki zawdzięczał, że jego małżeństwo przetrwało.

Gdy uświadomił sobie, jakie straty by poniósł... Żona na pewno puściłaby go w przysłowiowych skarpetkach, groził mu też ostracyzm społeczny – teściu w końcu miał pełno znajomych na dobrych stanowiskach. Do końca życia by się nie pozbierał, pokazywany wszędzie palcem jako łajdak niegodzien zaufania. A praca?! Tego nawet nie chciał sobie wyobrażać. Miał klientki, które podkochiwały się w nim i szukały pretekstów do spotkań. Karol lubił atmosferę uwielbienia, jego ego zyskiwało zaraz na wartości. Po romansie z Anią dał sobie jednak spokój z kobietami. Wprawdzie Ania twierdziła, że rzucił ją dla innej, a miała na myśli osiemnastoletnią córkę Oli Jarosz – Manię, ale było to twierdzenie pozbawione rzetelnych podstaw. Karol był kobieciarzem, i owszem, ale gustował raczej w ryczących trzydziestkach z pełnym biustem i makijażem, a nie w wiotkich, niespełna dwudziestoletnich panienkach. Poza tym dobrze wiedział, co zawdzięcza Bożence, i wolał, by nie była drugi raz zmuszona do interwencji w jego sprawie. Mógłby wtedy naprawdę nie wyjść cało z opresji.

Tak sobie wspominając, Karol doszedł do bloku, w którym mieszkała koleżanka. Dwupiętrowy czteroklatkowiec robił miłe wrażenie. Ocieplone styropianem ściany pomalowano na słonecznie żółty kolor. Dookoła okien dokleiono styropianowe, ozdobne wypusty i pomalowano je na zielono. Jednakowe, białe, plastikowe okna sprawiały wrażenie nienagannej czystości. Wszystko wokół lśniło. Z parapetów okiennych zwisały się ognistoczerwone, tańczące na wietrze pelargonie. Słońce jeszcze grało, a postawione przed blokiem huśtawki dla dzieci rzucały długie cienie.

Na osiedlu Pod Bukami panował absolutny, niczym niezmażony spokój. Drzwi do klatki schodowej były otwarte na oścież, widać lokatorom nie chciało się wciąż ich zamykać i otwierać. Na klatce upojnie pachniało, późnym obiadem lub wczesną kolacją. Ktoś smażył kalafiory. Karol poczuł ssanie w żołądku. Obiad w domu miał dobry, ale niejako symboliczny – smażona wątróbka z sałatą i ziemniaczkami, do tego barszczyk w kubeczku do popicia. Żona zaczynała powoli wstawać z łóżka i gotować, ale gdzie tej prawie jednodaniówce do tych rozkosznych obiadów, które gotowała przed chorobą. Trzydaniowie, zawsze z deserem, tacą serów, wyborem surówek. Karolowi ślinka kapiała na wspomnienie tych pyszności, a żołądek się skręcał. Jakoś dobrnął do drzwi Bożenki i delikatnie zapukał. Zerknął na wizytówkę, wszystko grało, na wizytówce widniało: Bożena Kryspin, ładnie, bez żadnych złocen i zakrętasów. Nacisnął klamkę, ustąpiła. Poczuł ulgę i radość, to z mieszkania Bożenki wydostawały się na klatkę schodową upojne wonie smażonych kalafiorów. W kuchni przy porządnym, drewnianym stole gospodarzył komisarz Jodła. Karola na moment zatkało z wrażenia. Widział, że komisarz w mieszkaniu Bożenki czuje się swobodnie, a smażone kalafiory są jego dziełem. W tym momencie Karol jeszcze bardziej polubił komisarza. Zastukał w drzwi.

– A, witam pana, panie Karolu! – powitał go z uśmiechem Jodła. – Niech pan siada, Bożenka wyszła po chleb i parę innych drobiazgów. Poza tym w barku jest tylko jedna butelka wina, a z tego, co słyszałem, to przydadzą się co najmniej dwie.

Karol w tym momencie przypomniał sobie o miłośnie ściskanej pod pachą Finlandii. Szarpiąc się z reklamówką i odwijając papier w kolorowe kwiatki, postawił butelkę na stół.

– To może ja też się dołączę, wprawdzie nie wino, ale dobra wódeczka jest dobra na wszystko – zareklamował. Miał ochotę się napić. – Czy mam w czymś panu pomóc, komisarzu? – zapytał grzecznie i usiadł na taboreciku.

– Panie Karolu! Dlaczego pan nie siada na krześle, ten taboret jest piekielnie twardy! – Komisarz chciał być gościnnie.

– Nie, nie... wie pan... ja zawsze tak na tym taborecie, lubię go. W domu to mam same fotele, pufy, kanapy. Wszystko niewiarygodnie miękkie i rozleniwiające. Nie umiem się tam skupić, a u Bożenki zawsze mi się dobrze myśli. Ten taboret mnie dyscyplinuje. – Usadził się wygodnie.

– A wie pan, że coś w tym jest – przyznał mu rację komisarz. Sam także wolał twarde kanapy i stołki, zwłaszcza wtedy, gdy miał robotę. Usłyszeli szczyknięcie klamki i pisk nienaoliwionych drzwi – przydałoby się WD-40. To wracała Bożenka.

Konsumpcja przebiegała w ciszy i spokoju, przerywanych tylko odgłosami przełykania posiłku i lekkim siorbaniem Karola. Uwielbiał zsiadłe mleko, ono właśnie stanowiło do smażonych kalafiorów napój podstawowy i jedynie się nadający. Tak stwierdzili zgodnie w trójkę. Komisarz miał niewątpliwie talent kulinarny. Smażony kalafiorek, na masełku, świeżutki, do tego podsmażane ziemniaczki na grzankach z lekko czerstwego chleba, maczanego w mleku i też smażonego na masełku. Dla równowagi zsiadłe mleko, wprawdzie kupne, nie od tradycyjnej baby i tradycyjnej krowy, ale za to lekko schłodzone, tylko podnosiło smak podstawowej potrawy. Jako deser została przewidziana deska serów

z resztą grzanek, do tego czerwone, półwytrawne wino mołdawskie. Jak na gust komisarza nieco ciężkie na po obiedzie, ale wiadomo, że kobiecie się nie odmawia. Godziny popołudniowe przeszły płynnie w godziny wieczorne, ściemniało się. Ani Karol, ani komisarz jednym słowem nie wspomnieli, z jakiego to powodu znaleźli się u Bożenki. Na pierwszy plan wysuwał się powód stricte towarzyski, a Bożenka nie zamierzała się wtrącać. Była pewna, że prędzej czy później panowie wrócą samoistnie do tematu.

– No, było miło, ale komu w drogę, temu buty! – Karol usiłował się podnieść z fotela, który zaczął okupować tuż po obiedzie. Szło mu marnie. – Karol, ty w takim stanie nigdzie nie pójdziesz! Twoja żona mnie zabije! Myślałam, że masz mocniejszą głowę. – Bożenka usiłowała policzyć, ile wypili w trójkę. Niestety wychodziła flaszka na głowę, a Karol doprawił się tak naprawdę drinkami z finlandią.

– Karol, idź do łazienki, głowa pod zimną wodę, zaraz zrobię mocnej herbaty albo kawy. Musicie, panowie, trochę wytrzeźwieć. – Energicznie zakrzętała się w kuchni. Wprowadzie też czuła lekki szum w głowie, ale doliczyła się tylko trzech kieliszków wina, nic poza tym. Panowie wzięli na siebie ciężar i przyjemność picia.

Karol po intensywnych działaniach Bożenki powoli dochodził do siebie. Zawsze miał mocną głowę i w życiu by nie przypuszczał, że ta odrobina alkoholu tak go zetnie. Teraz przypomniało mu się, z jakiego powodu znalazł się w mieszkaniu Bożenki.

– Komisarzu! Kaziu! – Zabrzmiało dramatycznie. Karol pragnął wyrzucić z siebie wszystkie zapamiętane informacje. Łapał się za głowę i kiwał na fotelu niepewny, od czego zacząć. – Czy my możemy wrócić do kuchni... tam, tam twarde – zająknął się i rzucił dookoła splezionym spojrzeniem. Komisarz zrozumiał, że Karol ma na myśli okoliczności dyscyplinujące i chwycił go pod ramię, pomagając wstać. Kuchnia kusiła aromatem kawy i ostrym światłem jak na komendzie w czasie przesłuchania. Karol zmrugał oczy. – Kaziu, ty nawet nie wiesz, co ja ci chcę powiedzieć – zagaił bełkotliwie.

– No nie wiem... – odpowiedział błyskotliwie komisarz. Powoli docierało do niego, że przemily wieczór z Bożenką i Karolkiem na trzeciego jeszcze się nie skończył. Czekał na dalsze rewelacje. Bożenka rozlała upojnie pachnącą kawę do filiżanek. Z premedytacją nie wyjmowała cukru. Uważała, że najlepiej zrobi chłopakom gorąca, gorzka i bardzo mocna kawa. Nadchodziła chwila prawdy i rewelacji Karola. Nadal czekał...

– Kaziu, ty nawet nie wiesz, czego ja się dowiedziałem od pana Józefa! To jest rewelacja! – Karol zaczynał się nakręcać. – Pan Józef opowiadał mi, że Ilona, wiesz, ta nasza sprzątaczką, widziała kiedyś, całkiem niedawno, jak nasz dyrektor figlował w gabinecie kierownika z Manułą. Ilonka jest pewna na sto procent. Myślimy, że po prostu kierownik był do czegoś potrzebny dyrektorowi, dlatego poderwała go Manuela. Kierownik w niczym się nie zorientował. On z natury był niepodejrzliwy. Może nawet sam nie wiedział, co robił, bo on robił wszystko, co mu Manuela kazała. Potem okazało się, że nie jest już potrzebny, to go pewnie dyrektor zabił. Tylko w tym wszystkim nie rozumiem, dlaczego zabito Banysia. On dyrektorowi i Krzyżkowi potrzebny był żywy... – Karol gibnął się na taborecie i lecąc w dół, chwycił za solidnie wyglądającą nogę stołową. Dopiero interwencja komisarza doprowadziła go do pozycji pionowo-siedzącej. Karol nabrał powietrza w płuca i dokończył wątek: – A co do kierownika, to jestem prawie pewien, że w tej swojej czarnej, skórzanej, wypchanej teczce miał druki polis. I one zniknęły. Najprawdopodobniej kierownik zorientował się w całym procederze, dodał dwa do dwóch, zażądał zaprzestania praktyk albo co gorsza pieniędzy i musiał zginąć. – Karol odetchnął z ulgą, wyrzuciwszy nabytą od pana Józefa wiedzę.

– Chyba że zabiła go ta szemrana narzeczona. – Komisarz przetrawiał uzyskane nietypową, pozasłużbową drogą informacje. – Słuchaj, Karol, a mógłbyś nam to wszystko zeznać do protokołu? Oficjalnie.

– A, oficjalnie! – Ucieszył się Karol. – Oczywiście, ja ci wszystko bardzo oficjalnie zeznam, wszystko, czego potrzebujesz – przyrzekał.

– Gdybyś sobie coś jeszcze przypomniał, byłoby dobrze. Wiesz, nam jest wszystko potrzebne. Ty myśl! – poprosił komisarz.

O rany! Ale godzina! Karol trzeźwił w tempie ekspresowym. Żona mnie zabije! Myślał intensywnie, na kogo zwalić tak długą nieobecność w domu. Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to osoba dyrektora. Tylko on mógł mu zapewnić żelazne alibi. Trudno, żeby żona sprawdzała wiarygodność jego słów.

– No nic, ja się przejdę, trochę alkohol wywietrzeje, kupię po drodze w nocnym mentosy, będzie dobrze, bylebym naprawdę dyrektora nie spotkał, bo będzie afera. – Z tymi słowami, opity kawą, maksymalnie jak na tak krótki czas wytrzeźwiony Karol pomaszzerował do domu.



– Panie! Ja już siły do tych kotów nie mam. Sikają na groby, przynoszą myszy, szczura nawet niedawno podłożyły! Rozkopują świeżych umarłaków, do czego to podobne. Ziemia cała poprzewracana. O! Patrz pan. – Ręką drżącą bardziej chyba z przepicia niż z oburzenia opiekun cmentarza parafialnego pokazywał na pobliski, jeszcze świeży grób.

Komisarz nie był wielbicieleм cmentarzu. Ale cały czas w pogrzebie Anatola Banysia coś mu nie pasowało. Ceremonia jak z igły, wszystko po kolei, tylko ta poducha wrzucona do grobu. Wybierał się do rozwiedzionej żony zamordowanego. Chciał z nią porozmawiać, zanim zapomni, o co mu chodziło. Naturalną koleją rzeczy po drodze do Banysiów był cmentarz. Po upojnym wieczorze u Bożenki, nie chcąc przeciągać struny, komisarz zafundował sobie nocleg na komendzie. Nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz. Było już po północy, gdy opuszczał przytulne mieszkanie Bożenki. Świeże powietrze było dla niego bezcenne, długi spacer pozwolił uporządkować myśli. Rano, po przyjeździe współpracowników, komisarz rozdał zadania do wykonania, nie przejmując się protestami Marzenki, która miała plany związane z odszukaniem Manueli. Nic z tego. Polecenie szefa jest święte i zgodnie z nim Marzenka miała umówić przesłuchanie dyrektora. Nazywało się to umówieniem spotkania z dyrektorem Darskim. Tomek miał za zadanie znalezienie punktów zbieżnych między morderstwami Anatola Banysia i kierownika Teodora Bryś-Kowalskiego. Komisarz po rozdzieleniu pracy udał się na piechotę na rekonesans. Chciał sobie przemyśleć różne sprawy. Poczynając od swoich uczuć do Bożenki, skończywszy na pogrzebie Banysia. Do pogrzebu było mu bliżej i teraz spędzał upojne chwile z jazgoczącym mu do ucha opiekunem cmentarza. Nic go nie obchodziły nawet tabuny kotów paradykujących po cmentarzu, on tylko chciał wyjaśnić przedziwną sytuację. Zamyślony, mechanicznie potakiwał głową.

– No i niech pan patrzy, komisarzu, to z wczoraj, znowu harcowały, ja już żywcem nie mam siły. – Wzrok komisarza podążył za ręką dygoczącą mu przed nosem.

Podszedł bliżej i faktycznie, świeżo przysypana i gdzieniegdzie obłożona wieńcami mogiła robiła wrażenie z lekka rozkopanej. Komisarz nachylił się. Obok prawego boku nagrobka zobaczył odciski butów. Sądząc po śladach, wysokie szpilki. Zaraz po pogrzebie padał deszcz. Wszelkie ślady musiały zniknąć. Zapewne potem ten grób odwiedziła jakaś elegancka kobieta. Czyżby jakaś cicha miłość Anatola Banysia? Wdowa po Banysiu nie wyglądała na kobietę chodzącą w szpilkach. Musiał to sprawdzić. Te pytania padły w odpowiednim momencie. Komisarz nie śmiał nawet myśleć, że odwiedzając grób osobą była Manuela. Popatrzył z uwagą na ślady pozostawione przez domniemanych sprawców, czyli koty. Według jego oceny na grobie musiały harcować mutanty. Szukał wzrokiem śladów kocich łap. Owszem, jakieś były, ale czy kot, nawet nie jeden, potrafiłby tak rozkopać ziemię? Jakoś mu się nie wydawało. Bardziej widział ślady łopatk, takiej małej szufelki do pieca. To nią rozgarniano ziemię, też bez sensu, bo grób robił wrażenie solidnie zasypanego.

– Panie Czešku – zwrócił się do opiekuna cmentarza – a jak u was jest z wandalami? Nie robiliście do nas żadnych zgłoszeń, o ile pamiętam, ale czy teraz coś się zmieniło? – zapytał.

– Ja wiem? – namyślał się pan Czesiek. – Pewnie, że czasem coś tam zginie, czy coś poprzewracają, ale większość chuligaństwa to koty.

– A wie pan co, mnie się wydaje, że te pańskie koty to chodzą po cmentarzu na dwóch łapach, to chyba jakaś specjalna odmiana – zażartował komisarz.

– Co też pan... panie komisarzu! – zachnął się pan Czesiek. – Pan sobie kpiny z biednego człowieka urzęda! – Kompletnie do niego nie docierało, że komisarz mógłby mieć jakiś cień racji.

– Niech pan to przemyśli. Mam prośbę, pan jest taki spostrzegawczy – podlizzał się komisarz Jodła – jeżeli zobaczy pan kogoś kręcącego się koło tego grobu, nieważne, kot czy nie kot, może być człowiek, niech pan zadzwoni. – Z tymi słowami, zostawiwszy panu Czesiowi wizytówkę z prywatnym numerem komórki, skierował się do bramy głównej. Czas go gonił.

Wdowa, nadal w głębokiej czerni, wieszala pranie na balkonie. Dziesiąte piętro to były do mieszkania, według komisarza, warunki ekstremalne. Zaczekał grzecznie, aż Banysiowa dokończy robotę. Siedział przy stole kuchennym i obserwował wewnątrz. Mieszkanie było urządzone bardzo skromnie, ale gustownie. Nieprzeładowane bibelotami półki, białe ściany. Meble stare, ale lśniące od ciągłego czyszczenia. Była żona Banysia wyglądała na kobietę pod pięćdziesiątkę. Albo tak zniszczona życiem i pracą, albo była po prostu dużo starsza od męża.

– Jaką pan kawę pije, komisarzu? Parzoną czy rozpuszczalną, z ekspresu nie mogę panu zaferować, nie posiadam. – Uśmiechnęła się smutno, jakby posiadanie ekspresu do kawy miało jakiegokolwiek znaczenie.

– To może parzoną poproszę, dobrze mi zrobi od rana. – Komisarz nie chciał sprawiać kłopotu swoją osobą. Z przyjemnością patrzył, jak kobieta krząta się po kuchni. Ruchy miała oszczędne, wyważone. Taka sympatyczna osoba, dlaczego się rozeszli? Postanowił zapytać. – Dlaczego państwo się rozstali?

Banysiowa zacerwieniła się, w jej oczach pokazały się łzy.

– Nie wiem, nie pamiętam, to było tak dawno, mieliśmy tyle kłopotów. Ciągłe kłopoty... – Teraz łzy leciały już nieprzerwanym strumieniem. Komisarz pożałował pytania, które pewnie nie wносиło nic do sprawy.

– Wiedziała pani, że mąż zmienił nazwisko? – zapytał.

– Tak, ale to było dawno, zanim się Janek urodził. To przez to nazwisko mieliśmy kłopoty. Mąż... pan przecież to na pewno wie! Mój mąż... Anatol... był nieślubnym synem prezesa Darskiego. Był

starszy od syna prezesa. Podobno kiedyś prezes Darski, zaraz po studiach, przyjechał do nas, do pracy. Wtedy to on nie był żadnym wielkim prezesem, tylko takim młodym inżynierem dopiero po dyplomie. To była jego pierwsza praca, wtedy jeszcze ze skierowania. Poznał matkę Anatola, zakochał się. Potem okazało się, że ona jest w ciąży, a on dostał propozycję wyjazdu na kontrakt. Zostawił wszystko, pojechał, tyle że nazwisko dał. A potem Anatol podjął decyzję o zmianie. Nigdy jakichś czułych kontaktów z ojcem nie utrzymywał, ja się nie wtrącałam. Nawet Jasiek nic nie wie. Po co mu świadomość, że jest nieślubnym wnukiem wielkiej fortuny, no po co? – Popatrzyła na niego smutno i łaza się jej znowu zakręciła w oku. – My sobie radzimy, nie mogę powiedzieć, przez ostatnie miesiące Anatol mi sporo pomagał, miał dużo pieniędzy. Dlatego mu taki pogrzeb zrobiłam, niech wie po tej drugiej stronie, że ja pamiętam – dokończyła łzawo.

– Ale, pani Banysiowa...

– Elwira mam na imię – wtrąciła.

– Pani Elwiro, o co chodziło z tą poduszką? – Komisarz obserwował żonę Banysia. Widział, że niezmiernie zastanawia się nad odpowiedzią.

– Prawda jest taka, że spełniałam wolę zmarłego, to znaczy jeszcze wtedy żyjącego – poprawiła się. – Tak z trzy tygodnie temu Anatolowi zebrało się na wspomnienia. Przyszedł, jak Jasiek był na meczu. Siedział, o, tak samo jak pan i pił fusiare. On tylko fusiare pił – zająknęła się. – Wspominaliśmy, jak Jasiek się urodził, ile było zamieszania. On był bardzo chorowity, inkubator, potem cały czas pod kloszem, zapalenie płuc, a widzi pan, jaki chłop wyrósł z niego. I wtedy Tolek powiedział, bo ja kiedyś Tolek do niego mówiłam – wyjaśniła – i wtedy Tolek powiedział, tak ładnie, że to były najlepsze lata jego życia. Potem jakoś tak zaczęliśmy oglądać rupiecie na pawlaczu i tam był ten jasiczek, po Jaśku właśnie. Anatol też lubił kiedyś do niego głowę przyłożyć. Zaczął go oglądać, a to takie zniszczone barachło, przeżarte przez mole, sponiewierane, brudne – westchnęła. – Wtedy powiedział, że gdyby mu się coś stało, gdyby umarł, nikt nie jest przecież wieczny, to on chce, żebym mu tego jaśka do trumny włożyła, żeby mógł na nim głowę położyć. I tak mnie to dręczy – nachyliła się do komisarza – że nie zrobiłam, co on chciał. To miało być do trumny, a nie na trumnę. Co ja mu powiem, jak się spotkamy po śmierci? – zapytała dramatycznie.

– Proszę o tym nie myśleć, to naprawdę nie ma takiego znaczenia. Czy jeszcze o coś prosił panią mąż? – zapytał komisarz.

– Chciał, żebym przechowała jego papiery, miał przynieść jakieś dokumenty i już nie zdążył, nie przyniósł.

– Może to, co pani powiem, panią uspokoi, a może zdenerwuje – zaczął powoli komisarz. – Sekcja wykryła u pani męża poważne zmiany nowotworowe. Miał przed sobą maksimum rok życia, może dużo mniej. Z tego, co pani mówi, wynika, że wiedział o tym i chciał uporządkować swoje sprawy.

– Chory? Na raka?! – Banysiowa robiła wrażenie zdruzgotanej. – To ja myślałam, że on chce do nas wrócić, a on się z nami żegnał. Drań jeden, nie powiedział ani jednego słowa na ten temat. Nie uprzedził. – Smutek i opłakiwanie byłego męża przechodziły w złość i żal. Nikt nie lubi być oszukiwany, tym bardziej była żona.

– Czy ma pani coś do dodania? – Komisarz nie lubił kobiecych łez i chciał się już pożegnać.

– Do dodania?! Drań jeden, znowu mnie wykorzystał! Szukajcie jego papierów. Myślę, że to tam leży rozwiązanie jego śmierci. Zresztą, jeżeli pan mówi, że i tak by umarł...

– Wszyscy kiedyś umrzemy, ale nikt nie ma prawa przedwcześnie odbierać nam życia, dlatego szukamy morderców, rozumie pani? – zwrócił się do zapłakanej kobiety.

– Muszę pomyśleć, teraz niech mnie pan zostawi samą, muszę pomyśleć... – odpowiedziała cicho, wychodząc na balkon.



– No, to jestem z powrotem. – W drzwiach likwidacji szkód stał Lucjan Wysocki. Wypoczęty, obadany wszechstronnie, cały już zdrowy i gotowy do wytężonej pracy. Karol zamarł w półprzysiadzie zajęty porządkowaniem papierów zgromadzonych pod biurkiem. W swoich zrobił już jako taki porządek. Oczywiście przekrety nie miały prawa ująć wprawnemu oku kontrolera, ale przynajmniej musiał trochę poszukać. Dużo gorzej przedstawiała się sprawa akt likwidacji, którymi zajmował się Krzysiek Zdebski. Karol jako tako orientował się, w czym kolega siedzi, ale za bardzo w jego papierach gmerać nie chciał. Nie jego broszka, nie zamierzał chronić tyłka osobnika zamieszanego jego zdaniem w śmierć Anatola, a może nawet kierownika. Krzysiek do tej pory nie wrócił. Okazało się, że został zatrzymany na komendzie, zagrał na nerwach komisarzowi, podpadł Marzence i nic już nie mogło go uratować. Karol nie zamierzał zajmować się przypadkami beznadziejnymi. I tak, będzie miał spore kłopoty, bo jako kierownik stanowił nadzór dla Krzyśka. Nie upilnował go jednak. Teraz widząc sterczącego nad sobą Lucjana, usiłował przywołać na usta coś na kształt uśmiechu.

– Witamy panie Lucjanie! – zawołał kordialnie. – Stęsknił się już pan za nami? Wybadany, wychuchany, pełny przeglądu...? – zapytał.

– No tak, nieoceniona pani Alinka zadbała, żeby niczego mi nie brakowało. Oprócz akt szkód – dodał Lucjan. – W przypadku akt szkodowych pani Alinka przejawiała galopującą sklerozę, ciągle zapominała, zostawiała na biurku, jechała do mnie prosto z domu, ale teraz... – zawiesił głos – mogę przystępować, pełen energii i wypoczęty, do pracy. Może pan usiąść normalnie, panie Karolu – zwrócił się do kierownika likwidacji prawie serdecznie.

Karol nadal trwał w pozycji pochylonej, lewą ręką przytrzymując się krzesła, prawą zaś usiłując chwycić za krawędź biurka i podciągnąć się z pozycji klęczącej na siedzącą. Niestety nie wychodziło. Karolowi mroczyki z bólu zaczynały latać przed oczami.

– Nic z tego – wyjąkał – nie potrafię.

– Co się z panem dzieje? – surowym tonem, nadal obrażona na wszystkich, odezwała się pani Ela. – Niech pan będzie mężczyzną! – dodała dyscyplinująco.

– Jestem, ale mój nerw kulszowy! Znowu mnie trafiło! – Karol prawie płakał z bólu. Kompromitował się na całej linii tak wobec kontrolera, jak i współpracowników. Zobaczył przed oczami rękę Lucjana z jakąś tabletką.

– Niech pan to weźmie, panie Karolu. Wprawdzie nie powinno się bez lekarza, ale to wyjątkowa sytuacja. Może się pan spróbuje ruszyć?

Karol najpierw połknął tabletkę, potem delikatnie spróbował zmienić pozycję. Szło jak po grudzie. Po dwudziestu minutach nadal trwał impas i Lucjan postanowił przejść się po pokojach i przywitać z resztą pracowników. Ledwo wyszedł, a pani Ela syknęła przez zaciśnięte usta:

– Może pan przestać udawać, mnie pan nie oszuka.

Karol podniósł do góry udręczone oczy.

– Jakie oszuka? Co pani mówi? Ja naprawdę nie mogę się nijak ruszyć. Muszę czekać, aż tabletki zadziałają.

Pani Ela nie wytrzymała. Podeszła do mężczyzny i chwyciwszy go szybko pod ramiona, szarpnęła do góry.

– Pani chce mnie zabić! – Karol, bliski łez, wył z bólu. Pani Ela puściła go.

– Wygląda na to, że wzięło pana na serio. Wzywamy pogotowie? – zapytała już mniej oschle.

– Co też pani mówi, obśmieję się z nas jak norki – zaprotestował Karol. – Najpierw dwa trupy, potem Lucjan i na końcu ja, taki niedorobiony. To mnie chwytają nie pierwszy raz, trzeba trochę poczekać, tabletki zadziałają, to puści. Ciekaw jestem tylko, co ten Lucjan wyrabia na górze. Kasia, pójdziesz i sprawdzisz – zwrócił się do siedzącej w kącie Kasi Dłuskiej, która nadal udawała, że jej nie ma w pokoju.

– Racja – poparła Karola pani Ela. – Pan Karol ma rację. Idź ty, dziecko, na górę, rozejrzyj się, co się dzieje, i wracaj do nas.



Dyrektor Darski był oburzony. Jak to?! Z jakiego powodu? On jest zajęty! To są szykany! On ma znajomych, gdzie trzeba, on złoży skargę! – miotał się po drugiej stronie telefonu. Miał pecha, że trafił na Marzenkę. Tomek Kulik, bardziej ugodowy, zapewne chciałby załagodzić sytuację, ale nie Marzenka. Uprzejmie, bo uprzejmie, głosem niedopuszczającym sprzeciwu zażądała przyjazdu na komendę w celu złożenia zeznań. Odmowa tegoż złożenia zeznań miała według niej oznaczać domniemanie winy i jak zrozumiał dyrektor – zatrzymanie w celu skruszenia i złożenia zeznań. Oczywiście było wiadomo, że bez solidnych, bardzo solidnych podstaw komisarz nie może poczynić najmniejszego kroku w celu zatrzymania dyrektora i musi mieć wszystko czarno na białym, ale co szkodziło Marzence postraszyć. Nagle zmieniła ton i bardzo uprzejmie dodała:

– Jeżeli tylko pasuje panu piątek o dziesiątej, to zapraszamy serdecznie. Informacje, których pan może udzielić, są bezcenne. – Uśmiechając się pod nosem, delikatnie położyła słuchawkę na widełki. No, teraz muszą się solidnie przygotować do przesłuchania dyrektora, inaczej wykręci się sianem.

Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku Marzenka, odpuściwszy sobie na razie inne sprawy, niejako dla rozrywki, a przede wszystkim, żeby podkreślić swoją niezależność, zajęła się osobą Manueli. Postanowiła podzwonić po znajomych. W końcu to niemożliwe, żeby nikt nic nie wiedział. W takim niedużym mieście, właściwie dużej wiosce, ktoś musiał ją znać, choćby z widzenia. Wiedziała, że prędzej czy później znajdzie osobę, która skojarzy opis narzeczonej kierownika z konkretnym człowiekiem, kobietą, bo że nie mężczyzną, tego raczej była pewna.

Przed wszystkim zrobiła porządek na biurku. Wszystkie, zgruchmonione w jeden stos papiery wcisnęła do szuflady, dopchnęła kolanem, zamknęła. Zrobiła sobie kawę i sięgnęła do torebki. Miała przynajmniej godzinę luzu. Komisarz, wychodząc, napomknął, że nie wróci zbyt szybko. Marzenka wiedziała, że dużo będzie zależało od tego, czy przełożony załapie się gdzieś na drugie śniadanie czy nie. Jeżeli nie, to zapewne wróci wcześniej z torbą pełną zakupów.

Tomek Kulik wybrał się na służbowy spacer, na miejsce drugiej zbrodni. Cały wczorajszy wieczór marudził, chciał iść i przeszukać jeszcze raz miejsce zdarzenia, innymi słowy ławeczkę, na której znaleziono kierownika. Tłumaczenie Marzenki, że wszelkie tego typu działania lepiej wykonywać za dnia, z trudem do niego docierało. Dopiero kategoryczne „nie!” osadziło go w miejscu i ostudziło zapędy. Dzisiaj od rana rekompensował sobie wczorajszy wieczór z nawiązką. Wziął ze sobą jednego z chłopaków od Romana, podręczną walizeczkę i służbowy samochód – i tyle go widzieli. Szukał dodatkowych śladów. Nikt nie wiedział jakich. On też nie wiedział za bardzo, ale marzyły mu się strzępki materiału, jakimś cudem przeoczony bukiet już kompletnie zwiędniętych róż czy porzucona gdzieś w pobliżu legendarna teczka kierownika. Marzenka zaś dzwoniła do wszystkich koleżanek po kolei.

– Cześć, Jagoda! No, to ja, Marzena. Poznajesz? No, kopę lat! Słuchaj, mam pytanie... No, w policji, tak... No, super jest. Słuchaj, kobieto, szukam takiej laski wpadającej w oczy, wysoka blondyna, długie włosy, przedstawia się Manuela, ale może podawać każde inne imię... Dlaczego? Nawet nie pytaj – zająknęła się. – No, jest mi potrzebna! Nie znasz? Szkoda.

Marzenka z hukiem odłożyła słuchawkę. Wściekła była do granic wytrzymałości. Przestała już liczyć, którą koleżankę przemaglowała. I nic. Nikt nic nie wie, nie słyszał, nie kojarzy. Była załamana. Myślała, tak po cichu... nieśmiało, że jak komisarz wróci, to poda mu Manuelę jak na tacy. Imię, nazwisko, adres zamieszkania. Wszystko gotowe. Chciała udowodnić komisarzowi, że potrafi efektywnie i co najważniejsze – efektywnie działać. I kłapa na całej linii. Sięgnęła po słuchawkę i wystukała ostatni numer telefonu.



Biurko Aliny Dobrosz-Zdebskiej uginano się pod tonami papierów. Z furią zwałała na nie coraz to nowsze segregatory. Zawaliła już wszystko. Spod sterty nie można było już nic wyciągnąć, bo groziło zsunięciem się tony papierów na podłogę. Poniewczasie zorientowała się, że pieczętka firmowa, pieczętka osobista, długopisy, talerzyk z ciasteczkami oraz ukochana komórka stały się na jakiś czas kompletnie niedostępne.

– Czyś ty, kobieto, oszalała?! – Ola Jarosz widowiskowo załamywała ręce. – Czego ty tak szukasz?

Ola była informatykiem zatrudnionym na etacie księgowej. Niespecjalnie angażowała się w sprawy firmy. Jako szeregowy pracownik księgowości nie podpisywała samodzielnie niczego. Wszystko podpisywała Alina Dobrosz-Zdebska. Ola, dopiero widząc powiększającą się na biurku stertę dokumentów, zrozumiała, że być może trzeba będzie Alinie pomóc. Przynajmniej szukać.

Pani Alina z pianą na ustach kłęczała przy szafkach na dokumenty i teraz już, cała umorusana, ubrudzona kurzem i pajęczyną, zrzuciła wszystko na podłogę, nie słysząc nic.

– Alina! – Następną próbą dotarcia do pani Aliny była bliska rękoczynom. Ola potrząsała kierowniczką, usiłując ją przywrócić do rzeczywistości. W podzięce usłyszała suche „odczep się” i na dobitkę „precz z łapami!”. Ola nie zamierzała ustąpić. Szefową w takim stanie widziała po raz pierwszy w życiu, a przecież razem pracowały od prawie dziesięciu lat. Musiała dowiedzieć się, o co chodzi tej z nagła oszalałej kobiecie. – Czego ty tak szukasz? – Ponowiła pytanie.

– Nie twój interes! – Usłyszała.

– Interes, nie interes... Jeżeli szukasz czegoś trefnego, to lepiej, żebym o tym wiedziała – odparowała. – W końcu to jest jednak nasz wspólny interes i walka o przetrwanie. Jak Lucjan znacznie węższy, to na pewno coś wywęszy, nawet gdybyśmy byli czyste jak lza. Więc jeżeli szukasz czegoś naprawdę ważnego, to mów, może wiem, gdzie to jest. – Ola wiedziała, że ma cały dzień z głowy, sterta na biurku Aliny wręcz narzucała zrobienie porządków z dokumentami.

Do głównej księgowej chyba coś dotarło, bo wyświstała przez zaciśnięte zęby:

– Szukam... szukam takiej zielonej teczki. – Zastanowiła się i dodała: – Ale może też być żółta, nie pamiętam. – Była już bliska łez.

– A co w tej teczce? Za chwilę powiesz, że w różowej... – Ola Jarosz nie umiała odmówić sobie złośliwości.

– Nawet nie mów, różowej nigdy nie miałam. – Łzy już zdążyły obeschnąć. – W tej teczce są bardzo ważne faktury, których w ogóle nie powinno być. Lucjan nie powinien tego zobaczyć na oczy. Pamiętasz tę wycieczkę integracyjną do Pragi czeskiej?

– No, jakbym nie miała pamiętać? – Oli oczy rozbłysły. – Pamiętam, jak Karolek tańczył mambo na stole i na koniec został w stringach wyszywanych cekinami, to był dopiero widok! – Rozmarzyła się i nagle spochmurnała. – Alina... Czy ty wiesz, o co pokłócił się kierownik z Krzyśkiem? Pożarli się tak, że prawie na noże poszło. Nigdy nie widziałam kierownika tak wściekłego, tak, no, rozumiesz... – zająknęła się – zawziętego. To mi w ogóle do naszego kierownika nie pasowało. – Nagle do uszu Oli dotarło lekkie skrzypnięcie, odwróciła się i zobaczyła wchodzącego do pokoju Lucjana.

Lucjan zdążył już obejść cały budynek. Chwilę pokonferował w sekretariacie z Agatą i przy okazji wypił na obudzenie znakomitą kawę. Rozmowa nie dała jednak nic. Było miło, sympatycznie, ale każda próba wyciągnięcia informacji na tematy firmowe kończyła się fiaskiem. Agata nie chciała oplotkowywać ani dziewczyn z biura obsługi, ani księgowości, nie mówiąc już o świętej pamięci – jak podkreślała – kierownika. Czy była to tylko grzeczność należna każdemu nieboszczykowi, czy też wyraz szczególnej sympatii do kierownika – tego Lucjan się nie dowiedział. Stał teraz w drzwiach księgowości i zastanawiał się, czy na biuro ktoś może rzucić kłutwę, czy też może w budynku krąży jakiś bliżej niezidentyfikowany wirus. Następna osoba dobrowolnie klęczała przed szafami pełnymi dokumentów. I to kto? Jego ulubiona księgowa, tak zawsze pozbierana, zorganizowana, systematyczna i dokładna. Teraz już Lucjan był pewien, że w tym budynku dzieją się dziwne rzeczy. Nieskłonny do dawania wiary przesądom typu czarny kot, zakonnica z wiadrami czy zakaz przechodzenia pod drabiną, był gotów uwierzyć, że akurat te mury emanują jakąś dziwną, zmuszającą pracowników do robienia różnych odbiegających od normy rzeczy aurą.

– Khe, khe, khe – zakaszłał dyplomatycznie. Panie dalej trwały na pozycjach, jak zamurowane.

– Witam, serdecznie witam, moje piękne panie! Było uchylone. – Uśmiechnął się szeroko i zamknął półotwarte drzwi. Alina z Olą wymienili spojrzenia i też się uśmiechnęły.

– Och, Lucjanie! Złapał nas pan na robieniu porządków. Tak nie możemy dojść do siebie po tym wszystkim, że wzięliśmy się za porządkowanie dokumentów. Mamy trochę zaległości, a że Ola wróciła właśnie z urlopu pełna siłą i energią, no to wywalamy wszystko. – Pani Alina uśmiechnęła się uroczo. – Wiem, że wygląda to przerażająco, ale do jutra skończymy i będzie cudnie. – Posłała mu następny uśmiech. Lucjan postanowił zrobić dobrą minę do złej gry i o nic nie pytać, chociaż śmierdziało mu tu fałszem na kilometr.

– Róbcie, co uważacie, moje panie. Nie musicie się mną krępować. Sprzątajcie sobie, co chcecie, ja nie przeszkadzam. – Z uśmiechem wycofywał się za drzwi.

– Auć! Boli! – Padło za jego uchem. Odwrócił się i zobaczył sympatyczną brunetkę siedzącą w pokoju likwidatorów. Jej akurat nie znał. Ładniutka czarnula spodobała mu się bardzo. Pomyślał, że może przyjazd do biura Bezpiecznej Przyszłości okaże się bardziej owocny, niż zakładał.



– Manuela, nie... takiej to ja nie znam, ale opis to mi w sam raz pasuje do Ewki Ryńskiej. Taka laska z Bezsennych Nocy, no, z tego klubu tylko dla dorosłych. Zwłaszcza te oczy, czasami robi sobie fiołkowe, ma wtedy takie niesamowite spojrzenie. – Widać było, że Piotrkowi, byłemu chłopakowi Marzenki, Manuela wpadła w oko, a nawet w oczy, oba. W jego wypowiedzi dominował zachwyt nad urodą niekwestionowanej gwiazdy tańca na rurze, zwanej przez bywalców Markizą.

Markiza od ponad roku zachwycała męskie grono bywalców klubu. Nikt nie wiedział, gdzie mieszka, a znajomość nazwiska wynikała ze zwykłego fartu Piotra. Kiedyś, gdy portier podawał list Markizie, podpatrzył adresata, właśnie Ewę Ryńską.

Marzenka nie wierzyła własnym uszom. Do Piotra nawet nie bardzo chciała dzwonić – wprawdzie rozstali się w jako takiej zgodzie, ale jednak był to jej były chłopak. Na usta pchały się jej już wylewne słowa podziękowania, ale zastopowała. A może Piotrek mówił o całkiem innej osobie? Postanowiła się upewnić.

– Piotruniu, powiedz ty mi, jaki ona ma głos? Ta, której ja szukam, powinna mówić tak trochę grubo, po męsku.

Piotrek westchnął.

– No, to na pewno ona. Markiza ma dosyć gruby głos, nawet niektórzy na początku myśleli, że jest transwestytą, ale okazało się, że nie, to jakaś pozostałość po operacji strun głosowych.

– A jesteś pewien, że ona jest kobietą? – zapytała Marzenka nieco naiwnie.

– Na stówę, byłem na striptizie, mówię ci, było bosko... – Maślił się do słuchawki Piotrek.

– No to dzięki bardzo – rzuciła w odpowiedzi Marzenka, nie wiadomo dlaczego wściekła. Co ją mogą obchodzić zachwyty Piotra nad jakąś Markizą czy też Manuelą? No nic, po prostu nic. Wzruszyła sama sobie ramionami i wydeła usta.

– Co ty, Marzenka? Miny ćwiczysz? – W drzwiach stał komisarz Jodła i uśmiechał się nieco ironicznie. – Przyniosłem ci drożdżówki do kawy. – Położył papierową torebkę z ciastkami na biurku Marzenki. Ta zajrzała, w torebce zgrabnie poukładane mieściły się cztery drożdżówki.

– To wszystko dla mnie, szefie? Dziękuję. – Uśmiechnęła się stołko.

– No, jakie wszystko, przecież podzielił się z kolegami – odparł komisarz.

– Czym? Tymi czterema nędznymi drożdżówkami? Ja zjem dwie, Tomek zje dwie, bo go poczęstuję... i koniec! – Rozłożyła ręce.

– O nie, nie! – Komisarz pokręcił głową. – Ty jesz jedną, ja jem jedną, Tomkowi też dajemy jedną – wylczył.

– A dla kogo czwarta?

– Dla Ziębińskiego, wisimy mu flaszkę, ale może go spacyfikujemy drożdżówką.

– No dobrze, to dzwonię. – Marzenka chwyciła za telefon.

– Do kogo? – Komisarz był zdziwiony.

– Do doktora Ziębińskiego. Zapraszam go na kawę, ostatnio mówił, że to ja parzę w tym budynku najlepszą. – Marzenka ledwo powstrzymywała się od śmiechu. Wiedziała dobrze, że w cichości ducha komisarz czwartą drożdżówkę przeznaczył dla siebie, a doktor Ziębiński stanowił wybieg. – No, zaraz będzie. To jeszcze Tomek i parzymy kawkę, a ja mam dla was niespodziankę! – Cieszyła się Marzenka.



Teczka nie była ani zielona, ani żółta, tylko brązowa. Z naklejonym serduszkim Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Ola Jarosz natrzęsała się z Aliny bezlitośnie.

– Nic z tego nie rozumiem. Popatrz, przecież to jest taka charakterystyczna teczka, jak mogłaś zapamiętać? I to jeszcze gdzie! Na wierzchu. Kompletnie niepotrzebne było to przewalanie ton papierów. Teraz to ty schowaj te rachunki głęboko albo może lepiej od razu przemieli w niszczarce – radziła koleżance.

Pani Alina trzęsącymi się z nerwów rękami, brudna i potargana, wciskała do torebki teczkę z trefnymi dokumentami.

– Nie widziałaś, nie słyszałaś! – rzuciła do Jaroszowej.

– O czym? – Ola postanowiła nie drażnić szefowej. – Myślę, że nawet dobrze się stało, posegregujemy dokumenty, poukładamy. Będziemy wiedziały dokładnie, gdzie co leży, bo ja już zaczęłam się gubić – podsumowała ugodowo.

Alina Dobrosz-Zdebska siedziała zmachana na jedynym wolnym fotelu i przeczesała ręką włosy. Musiała pomyśleć chociaż przez chwilę. Potrzebowała odrobiny spokoju, a ta beznadziejna Ola jazgotała prawie bez przerwy. Co Alina jej powiedziała, to jedno, co zawierała teczka, to drugie. Nie chodziło tylko o sławetną wycieczkę do Pragi. Z tego to by się jakoś wytłumaczyli, jakieś pieniądze z funduszu socjalnego, policzyliby, co i kto dołożył, wyszłoby na zero. W tej teczce były ważniejsze dokumenty.

Księgowa Bezpiecznej Przyszłości przynajmniej rok temu zorientowała się, że nie wszystko w biurze dzieje się zgodnie z prawem. W odróżnieniu od Bożenki nie kwapiła się z informowaniem prezesa Darskiego o swoich podejrzeniach. Ona obrała inną, bardziej ryzykowną drogę. Jako główna księgowa podpisywała dokumenty do wypłaty. Wiedziała dobrze, że jeżeli ona podpisze, to kierownik także podpisze i to bez czytania, tak był pewny jej kompetencji. Od ponad roku kserowała wypłaty, które jej zdaniem w ogóle nie powinny wyjść, a jednak wychodziły. Głównym likwidatorem był zawsze Krzysiek Zdebski, jej już były mąż. Często widniał tam też, zwłaszcza przy dużych szkodach podpis kierownika likwidacji, czyli Karola Barańskiego. Pani Alina dodała dwa do dwóch i prawidłowo wyszło jej cztery. Sama po prostu zbierała haki na byłego, a rok temu jeszcze aktualnego męża. Nawet nie pomyślała, że jednocześnie sama sobie szkodzi, nie informując prezesa firmy o podejrzanych machinacjach. Zachowywała się tak, jakby jej to nie dotyczyło, nie umiała czytać ani pisać, a już na pewno myśleć. Wiedziała, że te materiały nie mogą wpaść w ręce Lucjana ani tym bardziej policji, i jedyne, o czym marzyła, to wynieść je bezpiecznie z biura. Dochodziła już druga i uznała, że może iść do domu. Tak brudna nie mogła się już nikomu pokazać, a przecież po południu miała jeszcze umówioną randkę z byłym pierwszym mężem. Nie spodziewała się po spotkaniu niczego nadzwyczajnego. Pierwszy mąż był raczej nudnym, gderliwym facetem, ale nie mogła sobie odmówić przyjemności olśnienia go urodą, klasą oraz wdziękiem. A na przygotowanie się potrzebowała czasu.

– Idę do banku – rzuciła do Oli. – To oficjalnie, a do twojej wiadomości, będę w domu, muszę się umyć i odpocząć. Mam serdecznie dosyć dzisiejszego dnia – westchnęła. – Jakby mnie Lucjan potrzebował, to dzwoń. – Pozbierała wszystkie rzeczy, wyszarpnęła spod sterty papierów komórki i poszła do domu.

Ola została sama, zżerana ciekawością. Bożenka rano zadzwoniła z wiadomością, że bierze dzień urlopu. Też nie miała kiedy! Ola musiała, ale to musiała koniecznie sprawdzić, co kryły inne leżące na biurku, stolkach i podłodze teczki.



Klub Bezsenne Noce był czynny dopiero od trzynastej. Komisarz zastanawiał się, czy miało to nawiązywać do słynnej godziny trzynastej i zakazu picia alkoholu we wcześniejszych godzinach, czy też po prostu chodziło o to, by panienki się wyspały. Stawał w ciemno na to drugie. Klub mieścił się na peryferiach miasta i musieli trochę pokrążyć po okolicy, zanim znaleźli kogoś dobrze zorientowanego. Tyle tylko, że komisarz został dwa razy opluty z rozmachem przez nobliwe, starsze panie i nazwany bezbożnikiem. Tłumaczenie, że jest z policji, miało skutek odwrotny i zakończyło się komentarzem, że wszystkie chłopy jednakowe i nawet mundur nie pomoże. Komisarz zaczynał czuć się nieswojo i żałował, że nie wziął ze sobą Marzenki. Zrobiła mu piekielną awanturę, nawet wspominała coś o traumatycznych przeżyciach związanych z ciężką pracą niedocenionej policjantki i takie tam podobne teksty. Komisarz puścił to koło uszu i wysunął argument wagi ciężkiej, a mianowicie, że taka młoda dziewczyna nawet służbowo nie powinna odwiedzać przybytków rozpusty. Wziął Tomka i szybko pojechali. Dopiero łysawy młodzieniec w dżinsach i czarnej koszuli wytłumaczył im dokładnie, gdzie się kierować.

Lokal z zewnątrz bardziej przypominał barak dla robotników budowlanych niż klub nocny. Ściany pomalowane na dostojny, szary kolor, zakładane od zewnątrz drewniane, pomalowane na różowo okiennice i ciemnoróżowe drzwi wejściowe robiły w sumie dobre wrażenie, a i skojarzenie, choć jasne, nie było aż tak oczywiste, jak przy zastosowaniu krwistej czerwieni. Wnętrze też było utrzymane w tonacji popielatoróżowej z białymi akcentami. Ogromne, skórzane, różowe kanapy, szare stoliki i supernowoczesny, odlotowy bar dopełniały całości. Na lekkim podwyższeniu pyszniła się połyskująca srebrzyście rura. Główna bohaterka nocnych występów.

Komisarz przyzwyczajał wzrok do pustego, mrocznego wnętrza. Nigdzie nie było żywego ducha. Widać, że klientela przychodziła dopiero po pracy albo późnym wieczorem. Było mu głupio, ale wnętrze wyglądało zachęcająco i gdyby nie Bożenka, to być może zaglądnałby tu w godzinach pozasłużbowych, w celu penetracji otoczenia.

– Czym możemy panom służyć? – Nieoczekiwanie tuż obok komisarza pojawił się starszy mężczyzna o wyglądzie dżentelmena. Nienagannie ubrany, zachowywał się uprzedzająco grzecznie.

– Chcieliśmy zobaczyć się z Markizą – odpowiedział komisarz.

– Z kim? – zdziwił się nienaganny pan. – Nie znam.

– Może i pan nie zna, ale inni znają. Policja. – Komisarz sięgnął po legitymację służbową.

– Markiza już u nas nie pracuje, panie komisarzu. – Uśmiechnął się chytrze dżentelmen. – Zwolniła się z dnia na dzień. Powiedziała szefowi, że dostała lepszy kontrakt, i tyleśmy ją widzieli. Szef chciał ją

zatrzymać, ale poszła. Wiadomo, że kto, jak kto, ale ona zawsze znajdzie pracę.

– Gdzie mieszkała? – zapytał komisarz krótko.

– A tego to ja nie wiem, jej sprawa – wykręcił się pan, którego komisarz w myślach zaczął nazywać Alfonssem.

– Dokumenty poproszę. – Komisarz wyciągnął rękę w kierunku nadal uśmiechniętego dystyngowanego pana.

– Ale po cóż?! Tak, zaraz... dokumenty. Ja powiem... – migał się Alfons. – Ona ma jakiegoś bogatego narzeczonego. Kiedyś opowiadała dziewczynom, że mogłaby nie pracować, takiego bogatego jelenia złapała. To są jej słowa. I jeszcze opowiadała, że przez przypadek trafił się jej drugi, głupi na jej punkcie strasznie. Latał za nią, błagał. Ja to się nawet dziwiłem, jak ona to robi, że oni nie dość, że nie wiedzą o sobie nawzajem, to jeszcze nie wiedzą, gdzie ona pracuje. Ale Markiza to chytra sztuka. Tyle wiem i tyle mogę panom powiedzieć. – Starszy pan bezradnie rozłożył ręce.

– Tak mało? A gdzie jej dokumenty, przecież chyba nie pracowała u was na czarno? – Jak na pytanie zadane przez Tomka Kulika wyjątkowo łagodnym głosem, reakcja starszego pana była wyjątkowo agresywna.

– Ja sobie wypraszam takie zarzuty, wszystko legalne, badania, szczepienia, umowy zlecenia, sanepid... Co tylko chcecie, wszystko mamy w porządku! – Starszy pan wyrzucał z siebie po kolei wszystkie instytucje, dodając na końcu skarbówkę i ZUS. Było widać, że bardzo zależy mu na udokumentowanej legalności interesu.

– Cieszę się bardzo, że ma pan wszystkie wymagane przepisami papiery, bo to oznacza, że wie pan dokładnie, jak brzmi imię i nazwisko tej pani i jaki jest jej adres, a co za tym idzie, my też zaraz poznamy ten adres. Chyba że chce pan mieć kłopoty, pomimo wszystkich zezwoleń? – dodał łagodnie aspirant Kulik.

Za chwilę trzymał w ręku kartkę z namiarami na Markizę, czyli Ewę Ryńską. Wychodzili z lokalu usatysfakcjonowani, żegnani przez starszego pana uprzejmie, lecz z pewną dozą powściągliwości. Nie zostali zaproszeni na wieczór.

Nadal utrzymywała się ładna, teraz już bardziej jesienna pogoda. Do astronomicznej jesieni brakowało jeszcze trochę, ale wieczorami czuło się już chłód bijący od ziemi, nocami przychodziły mgły.

Wyprawa do miejsca zamieszkania panny Ewy nie dała nic. Na grzeczne pytanie zadane z uśmiechem przez komisarza padła najmniej spodziewana odpowiedź. Pańcia wyglądająca na jakąś starszą krewną z furią stwierdziła, że nic jej nie wiadomo, gdzie teraz ta dziwka, jej córka, mieszka i nic ją to nie obchodzi! Chcą, to niech szukają, ich interes, nie jej. Ona nic nie wie.

Na wszelki wypadek komisarz zarządził całonocną obserwację domu rodzinnego Ewy Ryńskiej. Miał doświadczenie i wiedział, że słowa wypowiedziane w gniewie to jedno, a naturalny instykt chronienia własnego, chociażby najgorszego dziecka to drugie.

Na czatach został Tomek Kulik. Za trzy godziny miał go ktoś zmienić. Na razie Tomek obserwował, a komisarz kombinował, kogo by podesłać na zmianę. Nie chciał wciągać w takie sprawy Marzenki, chociaż zapewne byłoby to ziszczenie jej marzeń.

Aspirant Kulik nudził się niemilościwie. Samochód, ustawiony w strategicznym punkcie, nie za blisko domu, ale z dobrą widocznością, nagrany przez promienie słońca, wręcz zapraszał do wypoczynku. Jedynym, co aspiranta powstrzymywało przed ucięciem sobie przynajmniej półgodzinnej drzemki, był głód. Na drugie śniadanie zaliczył tylko jedną drożdżówkę i kawę. Czekał cierpliwie, aż

ktos go zmieni, wierząc, że nie przyjedzie z pustymi rękami. Na razie starał się mieć oczy szeroko otwarte, ale dotąd zauważył tylko matkę Ewy Ryńskiej wieszającą pranie. Czyli tyle co nic.

Z lekkiej półdrzemki wyrwał go dzwonek telefonu. Otrząsnął się, przetarł oczy – w okolicy nic się nie zmieniło. Pranie powiewało na sznurach z łopotem, telefon dał się niemiłosiernie. Odebrał i go zatkało.

- Tomeczku, gdzie ty teraz jesteś? – Marzenka była słodka do przesady.
- Na rybach – wyjąkał pierwsze, co mu przyszło do głowy.
- Na jakich rybach? – zdziwiła się.
- Na rzecznych, siedzę nad rzeczką i łowię – brnął dalej.
- To dobrze, usmażysz mi na kolację, lubię rybki – rozmarzyła się Marzenka.

Dopiero teraz dotarło do aspiranta, że umówił się z Marzenką na wieczór. Chciał ją zabrać na kolację, może do kina. Zapomniał! Teraz szukał wyjścia z sytuacji. Zaproponowanie Marzence innego terminu spotkania było nierealne. Zwęszyłaby kłamstwo. Nie pokaże jej też już uwędzonych ryb, bo go wyśmiej. Pozostawało tylko jedno wyjście z sytuacji.

- Marzenko, nie zapomniałem – kłamał, ile weszło – po prostu zarezerwowałem stolik w Mikado, kiedyś wspominałaś, że marzysz o kolacji tam... – zająknął się, cały spocony z przejęcia.
- Nie spodziewałam się tego – ucieszyła się Marzenka. – Na którą?
- Na ósmą. Przyjdę po ciebie.

Nic bardziej nieprawdopodobnego nie mógł wymyśleć. Dostać stolik w Mikado w tym samym dniu graniczyło z cudem. Świetne zarcie (podobno szef kuchni praktykował we Francji), elegancka obsługa i nastrojowa atmosfera – to wszystko sprawiało, że goście ciągnęli do lokalu jak pszczoły do miodu.

Przez chwilę zastanawiał się, co robić. Jedyłą znajomą osobą, która miała tam kogoś, był doktor Ziębiński, z racji swojej urody tudzież intelektu przyjmowany we wszystkich kręgach, tak władzy, jak i artystycznych. Wystarczył jeden telefon i było załatwione. Aspirant mógł tylko pomarzyć o takiej skuteczności. Teraz tylko wypadało cierpliwie czekać, aż ktoś go zmieni.



Ola, ciężko wdychając, wzięła się za przeglądanie segregatorów. Miała nadzieję na znalezienie czegoś ciekawego. Czego – nie wiedziała, ale nie szkodziło poszperać. Nadarzała się jej jedyna w życiu okazja. Była sama, poza kontrolą Aliny i ciekawością Bożenki.

Zrobiła sobie kawę z ekspresu, wyciągnęła zapasowe prince polo, też służbowe, przegryzła. Miała dwie godziny luzu. Praca mogła poczekać. Zastanawiała się, od czego zacząć. Wszystkie segregatory, wszystkie teczki i dokumenty luzem poniewierały się w bezładzie na biurku i wokół niego. Setki wydruków zaścieniały wolne krzesła. Wyglądało to okropnie. Ola nie była przesadnie porządną, ale taki rozgardiasz raczej się jej nie zdarzał. Teraz piła kawę i układała powoli w głowie plan działań. A trzeba było zacząć prozaicznie od mokrej szmaty i wycierania z kurzu półek i segregatorów. Dopiero potem przyjemność szukania i układania. Firma zatrudniała sprzątaczkę, ale widać było, że te półki nie były wycierane nawet nie od miesiący, tylko od lat. Po prostu tony zalegającego kurzu.

Praca z papierami należy do najbardziej nużących na świecie. Po godzinie układania miała już serdecznie dosyć i niczego nie była ciekawa. Automatycznie przekładała teczki i segregatory, jedynie

pilnując chronologii. Miała już prawie czyste biurka i zaczynała coraz częściej sięgać po papiery i teczki leżące na stołkach. Trzeba było jeszcze zdecydować, co pójdzie do archiwum, a co zostawić pod ręką, ale to już jutro. Ola miała nadzieję, że szefowa zapamięta, kto odwalił lwią część roboty.

Wzięła do rąk całą stertę papierów przeznaczoną do ułożenia w szafce. Nagle ktoś zapukał do drzwi, Ola drgnęła, a papiery wysliznęły się jej z rąk. Pośpieszyła otworzyć. Widocznie za drzwiami stał ktoś obcy, nieznaną nową kombinacją kodowej potrzebnej do otwarcia drzwi.

A tam we własnej osobie stał dyrektor Darski. Kobieta nie była w stanie ukryć zaskoczenia. Przez moment gapiała się na dyrektora z otwartymi ustami, nieświadoma swego wyglądu.

– Co pani taka zdziwiona? – burknął niezadowolony. – Niechże pani zamknie usta, strasznie głupio pani wygląda – dodał troskliwie i rozglądając się dookoła, zapytał: – A pani Alina to gdzie? Co tu tak pusto? – Wytrącona z równowagi Ola szybko zbierała myśli. Przypomniała sobie. Bank!

– Przecież poszła do banku – wyszeptwała.

– Głośniej, bo nie słyszę. – Nachylił się do niej dyrektor.

– Pani Alina poszła do banku pozałatwiać sprawy, chyba już nie wróci, tych spraw było dużo – odpowiedziała dobitnie. Postanowiła trzymać się wersji banku do upadłego.

– Komórka – zażądał dyrektor.

– Nie mam – odpowiedziała zdumiona, czego on od niej chce.

– Numer do Aliny! – Dyrektor przestał być uprzejmy.

– Komórka jej padła. – Ola ratowała szefową.

– Szukać i to już! – Dyrektor Darski nie zamierzał ustąpić.

– Panie dyrektorze, może ja mogę w czymś pomóc? – zaferowała się odważnie Ola. Nigdy nie lubiła tego zadufanego w sobie dyrektorskiego snoba, ale był to w końcu jej zwierzchnik i przyszły właściciel firmy, a ona chciała dalej w spokoju pracować.

Dyrektor popatrzył na nią tak, że odechciało się jej dalszych pytań i ruszyła do telefonu, symulując gorliwe szukanie Aliny. Szukała tak około dziesięciu minut, zakończonych wyjściem dyrektora z pokoju. Gdyby można było trzasnąć ich ciężkimi drzwiami, to by na pewno trzasnęła. Ola przestała dzwonić na komórkę i wystukała telefon domowy Aliny. Nie wiedziała, gdzie zamierza jej szukać dyrektor, czy po okolicznych bankach, czy też pojedzie prosto do jej domu na Malinową. Należało uprzedzić szefową.



Aspirant Kulik na ławeczce, pod ławeczką i w okolicy nie znalazł nic. Prawie jak przedwojenny detektyw, z lupą w ręku, przeczołgał się nawet pod siedziskiem. Pomocnik od doktora Ziębińskiego przyglądał mu się z niejakim politowaniem, wzruszając co chwilę ramionami.

– Przecież panu mówiłem, że wszystko sprawdziliśmy maksymalnie – mamrotał po cichu, niezadowolony z tego, co widzi.

– Czasem trzeba sprawdzić kilka razy, żeby coś znaleźć.

Teraz aspirant Kulik, siedząc w samochodzie i nadal prowadząc obserwację na razie nieobecnej Manuei, sięgnął po zeszyt w kratkę i długopis. Najwyższy czas na sporządzenie notatki służbowej. Jedynym osiągnięciem była rozmowa z pobliską kioskarką. Starsza pani, nieco ciekawska, obserwowała

węjście do parku. Z jej zeznań wynikało, że w poniedziałek po jedenastej widziała mężczyznę z ogromnym bukietem róż wchodzącego do parku. Widziała także kobietę ładną podobną do Manueli. Kobieta bardzo szybko wyszła z parku, widać było, jak się spieszyła. Nie zwracała uwagi na otoczenie.

Aspirant był zbulwersowany, takie sensacje, a ona dopiero teraz mu to mówi! Kioskarka była zdziwiona, bo po pierwsze pracuje na zmiany, skończyła o dwunastej i poszła do domu, owszem wiedziała, że kogoś zamordowano, ale nie wiedziała kogo. Poza tym nikt jej tak dokładnie nie pytał. „Sami są sobie winni” – burknęła.

Aspirant te wszystkie sensacje przekazał komisarzowi słownie, teraz wypadało sporządzić formalny raport.



Krzysiek Zdebski cieszył się wolnością. Już zaczynał przyzwyczajać się do roli zakutego w kajdany więźnia, a tu taka niespodzianka. Może iść do domu. Czuł się trochę głupio, wychodząc z komendy. Zatrzymali go, nic nie powiedział, teraz go puszczają wolno. Był zdezorientowany, ogłupiały i miał ochotę na piwo. Rozsądek przeważył i noga za nogą powlókł się w kierunku domu, to jest mieszkania tatusia.

Nawet nie usiłował zrozumieć, co się dzieje. Zdebski należał do ludzi, którzy najczęściej stanowią narzędzie w rękach innych, dużo inteligentniejszych osób. Słaby psychicznie, nieco nawet nieudolny, dał sobie wmówić, że jest w stanie w sposób najprostsz na świecie zarobić bardzo duże pieniądze. Za zezwoleniem, aprobatą i wręcz namową dyrektora Darskiego Krzysztof Zdebski od prawie dwóch lat brał udział w okradaniu własnej firmy. Przemówiły do niego tłumaczenia dyrektora, że przecież i tak kiedyś, po długim życiu ukochanego ojca, czyli prezesa, dyrektor wszystko odziedziczy, więc z takim zezwoleniem to nie kradzież. Niepotrzebnie na to wszystko przypałał się Anatol. Krzysiek nie miał zielonego pojęcia, kto zabił Anatola. Podejrzewał, kto zabił kierownika, ale sam przed sobą trzymał to w tajemnicy, tak podejrzenie to było nierealne. A jednak... jeżeli ktoś wiedział tyle, co on, to wiedział prawie wszystko, brakowało mu natomiast lotności, żeby te wszystkie sprawy powiązać. Jedyne, czego teraz pragnął, to porozmawiać z dyrektorem Darskim i wyjaśnić niedające mu spokoju wątpliwości. Komórka przypuszczalnie została w biurze i Zdebski z rozmową musiał zaczekać do jutra. Dzisiaj pozostawało wziąć kąpiel, zjeść coś, zdać złagodzoną relację z wydarzeń ciekawskiemu i zatroskanemu ojcu i położyć się spać.



Ola Jarosz w stanie maksymalnej rozterki trzymała w ręku nożyk do przecinania kopert. Pamiątkowy prezent na pożegnanie od Aleksandra Kąckiego. Dziewczyny bardzo go lubiły. Służył w zasadzie do wszystkiego, oprócz tego, do czego powinien służyć, czyli przecinania kopert. Szukały go od jakiegoś czasu, zaginęł chyba z tydzień przed śmiercią Anatola. Teraz cały uwalany zbrązowiał już krwią wypadł z papierowej, zielonej teczki. Ola Jarosz przeżyła szok, gdy domniemane narzędzie zbrodni spadło u jej stóp na podłogę. Sięgnęła ręką i cofnęła ją, uświadamiając sobie kwestie odcisków palców.

Wahała się, co zrobić. Wiedziała, że powinna zadzwonić do komisarza Jodły. Ale jeżeli zabiła Alina? Co wtedy? Nie mogła donosić na policję za plecami koleżanki. Chwyliła za telefon, należało przede wszystkim zawiadomić szefową. Niech ona decyduje. Jak na złość telefon nie odpowiadał. Ola postanowiła zrobić na wszelki wypadek zdjęcie noża, a potem go dobrze schować.

Spojrzała na zegarek, dochodziła piętnasta trzydzieści, najwyższa pora, by zbierać się do domu. Spakowała torbę, pozamykała okna i drzwi. Zamknęła kratę i poszła do domu Aliny.

Teraz dla Oli największym problemem, większym nawet od problemów z dorastającą córką, było utrzymanie pracy. Nie należała ani do najlepszych, ani do najbardziej obowiązkowych pracowników na świecie. Nie przepadała za szefami w typie dyrektora Darskiego, ale to właśnie od takich typków jak on zależał teraz jej byt. Miała dwa wyjścia z sytuacji: udać, że nic się nie stało, zapomnieć o nożu i pracować spokojnie dalej, chroniąc swoje i nie tylko swoje miejsce pracy, albo po prostu postawić na praworządność i zanieść nóż na policję jako prezent dla komisarza Jodły, względnie przesłać go anonimowo, niejako umywając ręce.

Ola Jarosz nawet nie miała z kim porozmawiać o zaistniałej sytuacji. Cała spięta, zdenerwowana, niedokładnie umalowana, marzyła o znalezieniu się w domu i przespaniu całego problemu. Wiedziała, że nic z tego. Wrodzone poczucie przyzwoitości pchało ją w kierunku adresu Malinowa pięć. Wokół panowały spokój i cisza. Słońce jeszcze trochę przygrzewało, a wzmagający się wiatr kołował liśćmi furgoczącymi wokół nóg. Nadchodziła jesień. Ola, ślepa na otaczającą ją przyrodę, z napięciem naciskała dzwonek zamontowany przy bramce wejściowej. Nikt nie reagował. Wiedziała, że Alina była na wieczór umówiona na jakieś ważne dla niej spotkanie, ale do wieczora jeszcze było daleko i szefowa powinna być w domu. Miała przecież doprowadzać się do porządku. Ola nacisnęła klamkę u bramki – ustąpiła. Weszła na podjazd, nikogo, dookoła ani żywego ducha. Zdesperowana podeszła do drzwi wejściowych, nacisnęła klamkę. Były zamknięte. Trochę zaniepokojona obeszła dom dookoła. Nawet jeżeli szefowa załatwiła coś po drodze, to powinna już wrócić. Istniała jeszcze możliwość, że szefowa po krótkim pobycie w domu wyszła, nie zamykając za sobą bramki na klucz. Chyba że ukrywa się przed dyrektorem Darskim, on tu już był i nie wiadomo, co między nim a główną księgową zaszło. Czy w ogóle się widzieli? Ola Jarosz musiała odczekać do jutra ze wszystkimi rewelacjami. I nóż i policja musiały jeszcze poczekać.



Ewa Ryńska vel Manuela, vel Markiza naprawdę była bardzo piękną kobietą. Gdzie tam kierownik Bryś-Kowalski, a gdzie ona. Wdzięk, uroda, szyk i styl. Marzenka podliczała sobie w myślach, ile to tysięcy złotych Ewa Ryńska ma na sobie. Markowe, bardzo markowe ciuchy, buty na czerwonej podeszwie i torebka budząca zawiść u każdej normalnej kobiety.

Piątkowy poranek okazał się szokujący, gdy dyżurny wpuszczający na komendę zameldował telefonicznie Marzence, że niejaka Ewa Ryńska zgłosiła się i chce złożyć zeznania. Teraz siedziała spokojnie na służbowym, drewnianym stołku, założywszy nogę na nogę. Czekwała na przyście komisarza Jodły. Tylko z nim życzyła sobie rozmawiać. Wyglądała luksusowo, budząc zawiść wcale nie brzydszej i do tego młodszej Marzenki. Nie rozmawiały, zachowując wrogą dystans. W pokoju z minuty na minutę, pomimo pozornego spokoju, atmosfera gęstniała. Wchodzący komisarz Jodła poczuł, że mógłby w powietrzu powiesić siekiere i nie bać się, że upadnie, napięcie by ją podtrzymało. Zatrzymał

się na moment z ręką na klamce, chcąc wzrokiem poprosić Marzenkę o wyjście z pokoju. Czuł, że tym posunięciem zaskarbiłby sobie wdzięczność Manueli. Nie zdążył. Prawie jednocześnie Marzenka podniosła się od biurka, a Ewa Ryńska wstała z twardego służbowego krzesła, wdzięcznym ruchem poprawiając ołówkową spódnicę. Wyciągnęła do komisarza rękę na powitanie, a on ją w sposób automatyczny ucałował. Marzenka zmierzyła go wzrokiem i postanowiła udać, że nie rozumie sugestii co do zmiany pomieszczenia.

– Witam pana, panie komisarzu. – Ewa Ryńska uśmiechnęła się do komisarza leciutko. Głos miała trochę zbyt gruby, ale ładnie modulowany dodawał jej wdzięku i charakteru. – Trudno było mi się zdecydować na spotkanie z panem, ale nie żałuję. – Stała naprzeciw niego, nadal uśmiechając się kusząco.

Marzenką zatelepało. A to żoźla jedna, podstępna. Przecież ona czaruje i podrywa komisarza! Bezwstydnica. Narzeczony pochowany, afery goni afery, a ta jakby nigdy nic. Komisarz otrząpał się nieco, jakby zrzucając z siebie urok stojącej tak blisko niego kobiety. Opanował się, przywołując w myśli Bożenkę i dwóch nieboszczyków.

– Witam panią, proszę usiąść. – Wskazał ręką krzesło. – Cieszę się, że pani do nas dotarła. W samą porę. Byłoby gorzej, gdybyśmy to my pierwsi dotarli do pani. – Starał się mówić oschle, zachowując odpowiedni dystans do przesłuchiwanej.

Usiadł na miejscu Marzenki, naprzeciw nawet nie podejrzanej, bo przecież żadnych konkretnych dowodów nie mieli. Zaczął sobie powoli i dokładnie przygotowywać papiery. Chciał, żeby do Ewy Ryńskiej dotarło, że znajduje się w komendzie policji i będą prowadzili rozmowę według reguł tu obowiązujących, a nie narzuconych przez przesłuchiwaną. To, że była ładna, a nawet piękna, nie powinno mieć żadnego znaczenia.

– Panie komisarzu, zgłosiłam się, ponieważ dotarło do mnie, że jestem przez pana usilnie poszukiwana. A mogę wiedzieć, w jakiej to sprawie? – Znowu się uśmiechnęła. – Tak cały czas myślę i myślę i dochodzę do wniosku, że nie mam nic takiego na sumieniu.

– A narzeczony? – wypalił komisarz. Zaczynała go denerwować ta cała Ryńska z tym swoim wystudiowanym opanowaniem.

– Nie mam – odparła szybko.

– No już teraz to pani nie ma! Wie pani, że kierownik Teodor Bryś-Kowalski nie żyje! – wykrzyknął komisarz.

– Wiem, ale on nigdy nie był moim narzeczonym – zaprotestowała.

– A pierścionek z brylantem przepadł – podjudził komisarz.

– Co pan opowiada, komisarzu? Jaki pierścionek, jaki brylant? O co w końcu tutaj chodzi? – Docierało do niej, że są rzeczy, o których być może nie wie.

– Kierownik właśnie w poniedziałek był z panią umówiony. Zgadza się?

– Tak, jak najbardziej – potwierdziła.

– To dlaczego z parku nie wyszedł o własnych siłach, tylko trzeba go było wynosić sztynnego? – zadał brutalne pytanie komisarz.

– Ja nic nie wiem. – Z oczu tej na pozór twardej kobiety popłynęły łzy.

– Weszła pani do parku i wyszła pani stamtąd bardzo szybko. Mamy świadka – uprzedził jej protesty.

Ewa Ryńska siedziała milcząca, na policzkach zasychały jej ostatnie, czarne od tuszu łzy. Była już mniej piękna. Po płaczu, lekko opuchnięta, z rozmazanym makijażem, budziła w Marzence coś jakby

litość, a i komisarz zdawał się mniej radykalny. Sięgnęła do torebki i wyciągnęła paczkę chusteczek higienicznych intensywnie pachnących miętą i puderniczkę od Diora. Nie zwracając uwagi na komisarza i siedzącą z boku Marzenkę, zaczęła się pudrować. Po chwili, dużo ładniejsza, podniosła wzrok na siedzącego naprzeciw policjanta i usprawiedliwiła się:

– Bardzo przepraszam, taki odruch, najpierw poprawić makijaż. – Znowu uśmiechała się smutno. – Mówi pan, że byłam narzeczoną Teodora... – zastanowiła się. – Według niego zapewne byłam, według mnie niekoniecznie. Gdyby mi się oświadczył, odmówiłabym mu. Tak... na pewno... Wie pani – zwróciła się bezpośrednio do Marzenki – ja go po prostu nie kochałam. Był taki nudny, taki przewidywalny, taki, taki – zająknęła się – taki we mnie zakochany. Tłumaczyłam mu, że nie zamierzam wychodzić za mąż, ale jak do pnia. Nic tylko dom, rodzina i jeszcze do tego dzieci. – Otrząsnęła się z obrzydzeniem. – Widział pan, gdzie ja pracuję. Teoś oczywiście nie wiedział, bo nie miałabym życia. On nie chodził do takich lokali, pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy z ich istnienia – westchnęła. – Teodor był bardzo niezyciowy.

– Ale Teodor Bryś-Kowalski nie był pani jedynym narzeczoną? – zapytała kąśliwie Marzenka, obserwując reakcję dziewczyny. Ta zaczerwieniła się nieco i próbowała ukryć zmieszanie lekceważącym wzruszeniem ramion.

– Proszę pani! Ja mam wielbicieli na pęczki, a co drugi myśli, że mógłby być moim narzeczoną – prychnęła pogardliwie.

– Może i tak, ale nam chodzi o bardzo konkretną osobę, o dyrektora Darskiego. – Z dobrego nastroju w sposób dość brutalny wytrącił ją komisarz. – Od kiedy zna pani dyrektora Darskiego i co panią z nim łączy? – zapytał. Ewa Ryńska myślała przez chwilę. Odpowiedź była nieco zaskakująca.

– Z dyrektorem Darskim łączą mnie interesy.

Komisarz popatrzył na nią zdeorientowany.

– Jakie interesy? Te, które miały finał na biurku kierownika w czasie jego nieobecności? – zapytał znowu brutalnie.

– Nie... to tylko tak... wie pan... dla przyjemności. Lubię czuć, jak mi się poziom adrenaliny podwyższa – odpowiedziała ironicznie.

– No tak, ale na pewno wolała pani dyrektora z jego pieniędzmi, koneksjami i odlotowym porsche niż kierownika z dużo mniejszymi pieniędzmi, bez samochodu, z małym mieszkaniem i metr sześćdziesiąt pięć w kapeluszu? – zapytała bezpośrednio Marzenka.

– A pani by nie wolała? – odpowiedziała wprost Ryńska. Była już opanowana, po ostatnim płaczu pozostało tylko wspomnienie.

– Darski to taka moja przygoda, zero stabilizacji, sam seks, no i jak powiedziałam, interesy.

– Czy kierownik Bryś-Kowalski wiedział o tej pani przygodzie i interesach?

– Tak naprawdę, to nie wiem. Ja mu nigdy nie mówiłam, Darski też na pewno nie. Jeżeli ktoś mógł cokolwiek na ten temat wiedzieć, to chyba tylko Anatol Banyś i być może... – zamyśliła się – Krzysiek Zdebski. Tylko oni przychodzą mi do głowy.

– A jakie interesy ma pani na myśli? – przypomniało się komisarzowi.

– Po prostu nagaśniałam klientów Anatolowi Banysowi. Nie bezpośrednio, to szło przez dyrektora i oni tam wszystko załatwiali. Ja dostawałam procent. Wie pan, ja mam bardzo bogatych i wpływowych znajomych – postraszyła aluzyjnie.

– A małżonki tych bogatych i wpływowych znajomych mają pojęcie, że ich mężowie się z panią przyjaźnią? – zapytał cierpko komisarz.

– Mają czy nie mają, mnie to nic nie obchodzi – odparowała.

– Ale jak pani będzie miała problemy, to wątpię czy pani tak oficjalnie pomogą – oddał komisarz i zapytał uprzejmie: – Może kawy? Mamy rozpuszczalną ze śmietanką – zaproponował.

– Chętnie. – Była mile zaskoczona zmianą tonu na bardziej towarzyski.

– Kto według pani mógł, miał powód, aby zabić kierownika Teodora Bryś-Kowalskiego i Anatola Banysia? Czy tą osobą mógł być dyrektor?

– Darski?

– A zna pani jakiegoś innego dyrektora, który mógł mieć powód, by zamordować obu panów? – zdziwił się naiwnie komisarz Jodła. Widać było, że Ewa Ryńska z każdą minutą ma dosyć tego już ją nużącego przesłuchania.

– Nie wiem, panie komisarzu, może po prostu Anatol wypaplał Teodorowi o mojej bliższej znajomości z dyrektorem Darskim. Teodor się wkurzył i go zamordował. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Przyszłam dobrowolnie, nie ma pan wobec mnie żadnych zarzutów, bo spotykać się nawet z trzema mężczyznami to nie grzech i nie sprawa policji. Tu ma pan moją wizytówkę, w razie dodatkowych pytań proszę dzwonić. – Skinęła mu uroczo głową, nie zauważając Marzenki. – Żegnam.

Komisarz siedział jak wmurowany i myślał intensywnie.

– Marzenka, a myśmy w końcu sprawdzili, kto dzwonił wtedy do Anatola Banysia? – zapytał.

– Chyba tak... Ale nie jestem pewna. Tomek miał posprawdzać te wszystkie rzeczy.

Aspirant Tomasz Kulik przerzucał nerwowo papiery. Z natury powolny, a nawet flegmatyczny, teraz był trochę zdenerwowany. Pamiętał, że wziął wszystkie ekspertyzy i wśród nich powinien być numer osobnika, który dzwonił do Anatola Banysia. W końcu znalazł i odetchnął z ulgą. Jak byk było napisane, że podany numer telefonu jest telefonem służbowym należącym do firmy Bezpieczna Przyszłość. Nie był to telefon przyporządkowany do kogoś, ale taki, którego używali w razie potrzeby wszyscy pracownicy. Leżał od początku w sekretariacie i każdy miał do niego nieograniczony dostęp, z tym że dzwoniący musiał się wpisać do specjalnego zeszytu i zanotować, do kogo dzwonił, podać numer telefonu i sprawę. Miało to zapobiec używaniu telefonu na prywatny użytek i ograniczyć czas prowadzonych rozmów do niezbędnego minimum.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział, jak sytuacja wygląda?! – darł się na Tomka komisarz Jodła. – Zrobiłem z siebie totalnego idiotę! – Komisarz był wściekły. Nie dość, że umknął im dość istotny szczegół śledztwa, to jeszcze miał wrażenie, że Manuela przyszła do nich specjalnie i naopowiadała to wszystko tylko po to, by rzucić podejrzenia na bogu ducha winnego kierownika.

– Dobrze, szefie, to może teraz na spokojnie podsumujmy, co wiemy, czego się domyślamy i czego tak naprawdę chciała od nas ta kobieta. Bo że nie przyszła bez określonego, sobie tylko znanego powodu, to widzimy. Ale dlaczego takie podejrzenia, a nie inne? Co tak naprawdę chciała nam powiedzieć? Czy może, co musiała powiedzieć? Przecież my nie wiemy, jakie stosunki łączą ją z dyrektorem. Romans, interesy, może jakiś szantaż?

– Marzenka! Bądź człowiekiem, zaparz tej swojej siekiery i bierzemy się do roboty – poprosił komisarz. Po chwili wdychali aromat arabiki i zabierali się od początku do pracy. – Zaczynamy od pierwszego morderstwa, od piątku. Co się takiego zdarzyło akurat w piątek, że zamordowano Anatola Banysia? Od rana. Marzenka, zaczynaj – polecił komisarz.

– Podobno od rana nic się takiego nie działo. Potem był jakiś klient u pani Kingi, tej starszej pani prowadzącej sprawę windykacji. Zrobił awanturę, bo dostał wezwanie do zapłacenia zaległych składek. Pani Kinga podobno prawie zemdląła, ale potem doszła do siebie, poszukała i okazało się, że wszystko

jest w porządku. Podobno nazwisko tego klienta było przekreślone. Także w piątek dyrektor Darski przywiózł Anatolowi tę jakąś licencję i umowę o współpracy. Czyli z tego wynika, że nie dość, że Darski był w piątek w biurze, to jeszcze dbał o zapewnienie bytu starszemu, wprawdzie przyrodniemu, ale jednak bratu.

– Czyżby w grę wchodził szantaż? Tylko kto? Kogo? – dociekał cały przejęty Tomek Kulik.

– No właśnie, cały czas mamy pytania: kto? kogo? Tak naprawdę to nikogo, kto miał dostęp do kluczy, nie możemy wykluczyć z grona podejrzanych. A były aż cztery komplety kluczy. Pół miasta mogli obdzielić. Jeżeli Anatola faktycznie zabił kierownik, to dlaczego pisał sam do siebie anonimowe liściki, skrapiane obficie perfumami? Perfumami, którymi pachniało także pomieszczenie kasowe. Czyżby w ten sposób chciał odsunąć od siebie podejrzenia? A ten telefon? Jak zeznali koledzy Banysia, Anatol rozmawiał przez telefon prawie służbowo i tak jakoś bezosobowo. Był to ktoś, kto miał dostęp do sekretariatu. Tam Agata Jaskólska trzyma ten święty telefon. Jeżeli ktoś potrzebuje zadzwonić, to bierze go bezpośrednio od niej. Chyba że po godzinach pracy, tak jak w tym przypadku, ktoś zadzwonił, nie pytając nikogo o zgodę. Czy telefonował morderca, czy też mamy do czynienia ze zbiegiem okoliczności? Gdzie się podziała karteczka z napisem pięćset tysięcy i przekreślonym milionem? Co ona znaczy? Czy ktoś w kasie dobijał targu? Jeżeli tak, to mamy do czynienia z szantażem i naprawdę dużymi pieniędzmi – podsumowywała Marzenka. – Słuchajcie to jest taka układanka, w której na razie nic nie pasuje. Mamy tyle różnych elementów, że może najlepiej wziąć to wszystko na logikę. Odrzucić zapachy, liściki, karteczki i skupić się na motywach.

– Właśnie, ciekawe, co mogło być motywem? – zapytał komisarz.

– Przede wszystkim myślę, że w grę, oprócz tych wszystkich pokątnych interesów i, nie bójmy się tego słowa, machlojek, wchodzi szantaż, zdradzona miłość i bardzo, ale to bardzo duże pieniądze – Marzenka zaczynała się rozkręcać. – Popatrzmy na to z boku. Co widzimy? Na pewno faceta, który bardzo kocha i jest zdradzany. Kierownika, który podpisuje różne dokumenty, nie do końca zdając sobie sprawę z ich wagi. Kogoś, kto znajduje się pod dużym wpływem dyrektora, jest od niego bardzo zależny. To w końcu dzięki niemu zajmuje tak intratną posadę. Po co go jednak zabijają? – zadała pytanie i sama na nie odpowiedziała: – Myślę, że dyrektor Darski bardzo potrzebował kogoś takiego jak kierownik. Osobnika, który nie będzie interesował się zbyt dogłębnie tym, co się dzieje w firmie. Kogoś, kto nawet nie przyrykał oczu, bo miał je prawie cały czas zamknięte. Jednocześnie cała odpowiedzialność za to, co działo się w biurze, spoczywała na kierowniku. W razie czego to on miałby mało przyjemne rozmowy z policją i prokuraturą, nie dyrektor, który mógł utrzymywać, że nie wiedział o niczym. Kto lub co otworzyło oczy kierownikowi? Czy tym kimś był Anatol Banyś? Anatol, który stale potrzebował gotówki, chwalił się, że będzie miał duże wpływy z bliżej nieokreślonego źródła. Czy ten strumień kasy miał popłynąć od kierownika czy może, co bardziej prawdopodobne, od dyrektora Darskiego? A może sponsorem Anatola miała być Ewa Ryńska? Osoba dyrektora narzuca się niejako sama. Największe pieniądze, szemrane interesy. Pojawiał się w mieście akurat wtedy, gdy zdarzyły się morderstwa. A może było tak, że kierownik zabił Anatola Banysia w napadzie wściekłości? Może ten zażądał pieniędzy za utrzymanie w tajemnicy faktu, że narzeczona kierownika tańczy na rurze i utrzymuje bliskie stosunki z wieloma mężczyznami? A może sama informacja o tym wyprowadziła kierownika z równowagi? Niewiele myśląc, chwycił za nożyk i zabił Anatola?

– Nie, na pewno nie zabił – zaprotestował Tomek Kulik. – Pamiętaj, jak zginął Banyś. Ktoś wyższy od niego zadał mu ciosy z przodu, a pamiętaj, że kierownik miał metr sześćdziesiąt pięć w kapeluszu.

To nie mógł być on. Fizycznie nam nie pasuje. Trzeba sprawdzić, kto pasuje wzrostem, siłą, przytomnością umysłu.

– Ja jednak stawiam na kierownika. Ktoś dzwonił z komórki służbowej. Może nie zabił, ale na pewno rozmawiał. A dlaczego kierownik uciekł z biura firmy przed przesłuchaniem? Czy nie było tak, że chciał najpierw z kimś porozmawiać, niekoniecznie ze swoją ukochaną Manuelą? – dochodziła Marzenka.

Nagle rozterkował się telefon stojący na biurku komisarza, ten słuchał przez chwilę tłumaczeń dyżurnego i rzucił krótko: „Wpuścić!”.

Do pokoju weszła pani Ola Jarosz, błada jak papier, kompletnie nieprzypominająca tej sprzed tygodnia, opalanej, zrelaksowanej. Nie mówiąc ani słowa, otworzyła torebkę i wyjęła z jej głębi szarą, biurową, pogniczoną kopertę formatu A4. Nadal bez słowa, podała ją komisarzowi. Ten w kompletnej ciszy zaglądnął do środka i westchnął. W środku leżało spełnienie jego marzeń, nóż, którym, jak przypuszczał, zamordowano Anatola Banysia.

– Odciski – wyjąkała ze zgrozą – krew, dużo krwi, pan popatrzy – mamrotała zachęcająco. Komisarz zawiązał kopertę z powrotem i przywołał Tomka Kulika.

– Natychmiast niech robią linie papilarne, na cito, szybcitko do laboratorium.

Ola Jarosz nadal stała, już nie taka błada. Zaczynała dochodzić do siebie.

– Niech pani siada – poprosił. – Marzenka, zrób pani kawy. Dobrze pani robi. Gdzie pani ten nóż znalazła? – zapytał.

– Nóż wyleciał mi spośród papierów, gdy robiłam porządki. Wczoraj Alina wzięła się na całego za sprzątanie. Potem musiała wyjść do banku, a potem była z kimś umówiona, no i zostałam sama. Wszystko było zawalone papierem, a pracować gdzieś trzeba – odetchnęła – no to wzięłam się za sprzątanie i właśnie to... – pokazała wzrokiem miejsce gdzie wcześniej leżała koperta – to wypadło z papierów. Wzięłam i poszłam szukać Aliny. I z tym też przychodzę, bo dzisiaj nie przyszła do pracy i martwimy się z Bożenką, co się mogło stać. Nie dzwoniła, wczoraj nic nie mówiła. A jeszcze wczoraj – przypomniało się jej – wczoraj był u nas dyrektor Darski. Pytał o nią. Kazał jej szukać, ale nie odbierała telefonu. Nie wiemy, co się dzieje, do niej to wszystko takie niepodobne. A nożyk wypadł z jej papierów.



Alina Dobrosz-Zdebska, niczym niezainteresowana, siedziała przy ścianie we własnej piwnicy. Była półprzytomna z bólu i kompletnie nie mogła sobie przypomnieć, w jaki sposób się w tej piwnicy znalazła. Od początku podejrzewała, że przynajmniej za jednym morderstwem stoi dyrektor Darski, ale myślała trochę naiwnie, że wszystko można w jakiś sposób wytłumaczyć. Wcale nie była bardzo zaskoczona, gdy zobaczyła go przed drzwiami. Dużo bardziej już była, gdy okazało się, że dyrektor sam je sobie trzymanymi w ręku kluczami otworzył. Przypomniało się jej, że wprawdzie klucze od byłego męża odebrała, ale zamków nie zmieniała. Jakoś wyleciało jej to z głowy. A ten drań, jej mąż, klucze dorobił, do tego jeszcze dał je dyrektorowi. No, ona się z nim policzy! Była wściekła i kalkulowała, co robić. Uciec gdzieś, schować się czy wręcz przeciwnie – stawić czoła rzeczywistości.

Stawienie czoła rzeczywistości okazało się nieco bolesne. Nie potrafiła sobie przypomnieć, co działo się po tym, jak dyrektor wszedł do domu. Wydawało się jej, że rozmawiali w miarę spokojnie. Alina Dobrosz-Zdebska nie należała do osób, które by się czegokolwiek bały. Zbrojna w wiedzę o różnych grzechach i grzeszkach współpracowników, uważała, że nie ma sytuacji, w której by sobie nie poradziła. Teraz miotła się, siedząc na wilgotnej podłodze. Było ciemno, a ona była potwornie głodna i potwornie wściekła. Nikt jej nie związał, nie zakneblował. Jeżeli dyrektor chciał ją uciszyć na zawsze, to zrobił to po partacku. Tylko czy zrobił to dyrektor czy też ktoś całkiem inny? Postanowiła najpierw wydostać się z własnej piwnicy, umyć się, zjeść i przebrać w inne ciuchy. Potem zamierzała zadzwonić na policję. Trochę żałowała, że nie powiedziała temu miłemu komisarzowi wszystkiego, ale była przyzwyczajona do zbierania wiadomości, a nie do dzielenia się nimi. Cóż, co się stało, to się nie odstanie – pomyślała i powoli, trzymając się ściany, zaczęła wchodzić po piwnicznych schodach na górę.

Mieszkanie wyglądało na dokumentnie splądrowane. Widać było, że ktoś czegoś rozpaczliwie szukał. Najpierw rzuciła się sprawdzać, czy czasem złodzieje nie zabrali teczek z rachunkami. Odetchnęła z ulgą, gdy je znalazła. Po godzinie gościła już komisarza Jodłę i opowiadała mu przebieg zdarzenia, tym razem nie ukrywając niczego.



Dyrektor Darski nie stawiał się na przesłuchanie, a zaczynał być podejrzanym numer jeden. Okazało się, że odciski na nożu są przypuszczalnie jego. Na pewno nie należały do żadnego z pracowników Bezpiecznej Przyszłości. Nie dotykała noża także Ewa Ryńska. Logicznie rozumując, z nieznanych bliżej powodów dyrektor zamordował Anatola Banysia, chociaż tenże Banys był mu potrzebny cały i żywy, żeby dalej robić interesy. Potem zapewne z rozpędu zamordował kierownika Brysia-Kowalskiego. Nóż przez przypadek ukrył w księgowości. Nie zdążył go wziąć z powrotem. Kontroler Lucjan Wysocki zabrał ze sobą klucze z sejfów w centrali i biuro przestało być dostępne. Dyrektor widział, że dziewczyny robiły porządki, pomyślał, że być może pani Alina znalazła nóż, i zaczął szukać. Teraz trzeba było poszukać jego.

– No dobrze, komisarzu. – Marzenka miała wątpliwości. – A co z teczką i kluczami kierownika? Nigdzie ich nie ma. Nikt nic nie wie. Przecież w tej teczce były nie dość, że druki, to jeszcze klucze i pierścionek z brylantem.

Siedzieli w pokoju na komendzie, zmęczeni. Zbliżał się wieczór. Komisarz myślał o Bożence, którą totalnie zaniedbał. Już drugi dzień nie zadzwonił. Był zmęczony i zdezorientowany. Dowody przemawiały za winą dyrektora Darskiego, przynajmniej w przypadku Anatola Banysia i pani Aliny. Nie pozostawiała pola do przypuszczeń kwestia licznych malwersacji dokonywanych przez pracowników Bezpiecznej Przyszłości. Istniał jeszcze problem kierownika Brysia-Kowalskiego. Kto tak naprawdę zabił tego człowieka? Dlaczego kierownik został zabity niejako podwójnie? Czekolada nadziewana trucizną i uduszenie! Co takiego wiedział czy też widział kierownik, że trzeba było go aż zabić? Siedzieli pogrążeni w ciszy, którą przerwał dzwonek telefonu. Wszystkich poderwało. Komisarz sięgnął po słuchawkę.

Czekali spokojnie, jakie to sensacyjne wieści przekazuje mu Bożenka. Co do tego, że to ona, nie mieli żadnych wątpliwości – widzieli minę komisarza. Po chwili rozmowy odłożył słuchawkę i powiedział

po nich rozpromienionym wzrokiem.

– Bożenka przypominała sobie, kto używał tego zapachu, który unosił się w pomieszczeniu kasowym. On tam musiał być! Tylko dlaczego złał tymi pachnidłami kartkę papieru. To bez sensu, ale tu są same rzeczy bez sensu. No dobra, moi drodzy, zbieramy się do domu – zarządził komisarz.



Bożenka chciała, żeby komisarz chociaż trochę odpoczął. Oprócz kolacji zaplanowała na wieczór spacer. Nie mogli przecież tylko siedzieć u niej w domu. Zaczynała się do niego przywiązywać, a nawet, co gorsza, zakochiwać. Chciała dać sobie trochę więcej czasu, zanim całkowicie ulegnie jego urokowi osobistemu. No, przynajmniej do czasu rozwiązania sprawy. Co nie znaczy, że chciała, by sprawa ciągnęła się w nieskończoność. Ale tak jeszcze z tydzień. Na razie myślała intensywnie, jak by tu pomóc Kaziowi odrobinę przyspieszyć.

Kolacja była niezwykle udana. Żeberka w miodzie i sałatka z surowego kalafiora i orzechów, podlana obficie czerwonym winem. Tym razem kupował komisarz, lekkie kalifornijskie. Podana na deser sałatka z owoców na omlecie z bitą śmietaną i czekoladą rozkrochaliły komisarza zupełnie. Czuł się najedzony, zadbany i rozleniwiony. Kompletnie zapomniał o pracy. Najchętniej rozwalony w najwygodniejszym fotelu pooglądałby telewizję. Niech inni rozwiązują skomplikowane zagadki. On chce mieć odrobinę spokoju i słodkiego luzu oraz Bożenkę, jak najbliżej. Niestety nie zdążył się rozmarzyć, bo Bożenka zarządziła spacer. Dyplomatycznie udawała, że nie słyszy jęklanych protestów. Gdzie mu było teraz iść na spacer! Chciał trawić!

– Zachowujesz się, jak jakiś sterany życiem starzec, nie jak facet ledwie po czterdziestce – dołożyła mu Bożenka brutalnie. – Wstawaj, Kaziu, i to już! Nie kombinuj, że cię kurcz w łydce chwycił czy coś podobnego. Po jedzeniu trzeba się dotlenić.

– Ale ja już jestem dotleniony – zaprotestował słabo policjant.

– To się dotlenisz więcej, pójdziemy na cmentarz.

– Znowu! – zaprotestował.

– Jakie znowu? Z kim ty chodzisz na cmentarz? Chciałam przejść się na grób kierownika, trzeba pousuwać te wszystkie wieńce i wiązanki. Wszystko już pewnie zwiędło. – Idziemy. – Chwyliła go za rękę. – Nie targuj się, przecież to niedaleko.



– Jak to dobrze, że pana widzę, panie komisarzu! – Pan Czesio wyglądał na autentycznie uradowanego widokiem przedstawiciela miejscowej policji. – Tak myślałem, że do pana zadzwonię i już nie muszę – cieszył się.

– A dlaczego to tak, panie Czesiu? – zapytał niemrawo komisarz. Trawił i naprawdę nie chciał, żeby mu ktokolwiek przeszkadzał.

– No bo mówił pan, że jak ktoś przyjdzie na grób tego świeżego nieboszczyka, to mam dać znać. – Pan Czesio zafrasowany drapał się za uchem. – Ja żem trochę przyspał, bo to było wczoraj, taka kobita

piękna jak modelka tu była. Postąpiła trochę, kwiatki położyła, znicz zapaliła. Może jaka koleżanka z pracy albo z rodziny? Ja tam nie wiem. Bo żona, to pan wie, przychodzi codziennie. Robi za nieutuloną wdowę, widać dobrze jej z tym.

– Dziękuję, panie Czešku, jakby co, to pan da znać – poprosił komisarz, rozglądając się wokół siebie. Nawet nie zauważył, kiedy Bożenka zostawiła go samego i poszła szukać grobu kierownika. Była tu tylko raz, na pogrzebie. Pamiętała, że kierownik nie miał żadnej rodziny. Teraz stała przed wysprzątanym grobem. Kamieniarz zrobił swoją robotę szybko i dokładnie. Grób, chociaż mały, był zrobiony z pięknego szarego, mieniącego się srebrzyście granitu. Wszystkie, jakże liczne, wieńce i wiązanki zostały uprzątnięte, tylko w wazonie pysznił się bukiet krwioście czerwonych róż. Bożenka stała jak wmurowana. Bukiet był identyczny jak ten kupiony przez kierownika dla Manuli, tylko oczywiście świeży. Jedna myśl nasuwała się sama, a mianowicie, że Manuela musiała tu być. To ona zrobiła porządek na grobie, to ona zapewne postawiła na grobie piękny wazon z bukietem wspomnieniowych kwiatów. A to znaczyło tylko jedno: Manuela widziała swój zaręczynowy bukiet, na pewno widziała się z kierownikiem. Co zaszło między nimi? Tylko ona wiedziała.

– Popatrz. – Bożenka pokazała Jodle bukiet. Zrozumiał bez dalszego tłumaczenia.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby teczka, dokumenty, klucze i pierścione także były w posiadaniu Manuli.

– Musisz dokładnie wypytać tę kioskarkę. Ona nie wspominała, żeby Manuela cokolwiek niosła, ale może uznała, że to nieważne – sugerowała cała przejęta Bożenka.

Komisarz z optymizmem pomyślał, że w końcu widzi światełko we mgle. Teraz należało przesłuchać ponownie Ewę Ryńską.



Poniedziałek zapowiadał się wyjątkowo pracowicie. Dowód numer jeden, czyli nóż, jako mordercę Anatola Banysia wskazywał dyrektora Darskiego. Udało się wyodrębnić jego linie papilarne ze szklanki z sokiem pomarańczowym w domu pani Aliny. Widać go poczęstowała.

W charakterze poszlaki występował odurzający, opiumowy zapach. Kierował on podejrzenia na Krzysztofa Zdebskiego, posiadacza i użytkownika tej dławiącej perfumy. Tylko dlaczego Zdebski złał się tą akurat wodą, idąc na spotkanie z Anatolem, tego na razie komisarz nie wiedział. Czy Zdebski spotkał się z Anatolem? Tego też na razie nie ustalono. Wyglądało na to, że Anatol Banyś niepotrzebnie zaczął bawić się szantaż i przeholował. Był taki pewny, że dyrektor nie obejdzie się bez niego, że nie przeczuwał zagrożenia. Zapewne zaczęli się klócić, dyrektorska ręka poszła nie tam, gdzie trzeba, i po Banysiu, niestety.

Komisarz ze smutkiem pokiwał głową. Pamiętał, że jeżeli wyjdzie, że rację miała Marzenka, to razem z Tomkiem będą musieli szarpnąć się na wystawny obiad. Nie tylko dla Marzenki, ale także dla Bożenki. Oni też o suchym pysku nie będą siedzieli. Westchnął przeraźliwie, a Marzenka posłała mu lekko kpiące spojrzenie. Dobrze wiedziała, o czym myślał.

Więszym problemem było morderstwo kierownika Teodora Brysia-Kowalskiego. Po kiego grzyba ktoś go zamordował? Dlaczego został podtruty, a jednocześnie ktoś go udusił? Czy zrobiła to Manuela? Czy zabił dyrektor Darski? W końcu był widziany w mieście w poniedziałek. A może śmierć

kierownika obciąża całkiem inne sumienie? Czy może oprócz spotkania z Manułą kierownik miał umówione spotkanie z jeszcze inną osobą? Na razie nic na to nie wskazywało. Dyrektor Darski mógł wiedzieć, że Manuela jest umówiona z kierownikiem. Kto jeszcze wiedział?

To były pytania, na które mogła odpowiedzieć Manuela. Mógł też odpowiedzieć dyrektor Darski – jak się znajdzie. A Ewa Ryńska nadal milczała. Odmówiła złożenia wyjaśnień, zażądała widzenia z adwokatem, pogroziła znajomościami. Komisarz, nieco pogubiony, wszak nadal siedziała przed nim wyjątkowej urody kobieta, nie chciał zbyt mocno naciskać. Siedział więc, także milcząc. Rozważał, co dalej.

– Proszę pani – zaczął spokojnie – ja mam dużo czasu, mogę sobie poczekać. Być może to trochę potrwa, ale dojdziemy, co się naprawdę wydarzyło, tylko wtedy pani sytuacja będzie dużo gorsza. –

Siedziała głęboko zamyślona, nadal smutna. Czekała. – Proszę powiedzieć, co naprawdę się wydarzyło? – zapytał jeszcze raz. Podniosła na niego oczy i westchnęła głęboko, przeciągle.

– Niech mi pan wierzy, sama nie wiem, co się tak naprawdę stało.

– Proszę powiedzieć, co pani wie, a my jakoś to poskładamy.

– To prawda, że na poniedziałek umówiłam się z Teodorem. Miałam już tego wszystkiego dosyć. Nie przypuszczałam, że on się we mnie aż tak zakocha. Tak naprawdę chodziło tylko o interesy. Darski chciał mieć nad wszystkim i wszystkimi absolutną kontrolę. On to biuro traktuje jak swój osobisty folwark i generator pieniędzy. Nad tym, co się dzieje w biurze, czuwa Krzysiek Zdebski. Darski ma go w kieszeni. Ten głupek nie potrafi myśleć i ponad wszystko kocha pieniądze. Mieć, nie wydawać. Jest chorobliwie oszczędny. Z tego, co wiem, to Darski manipulował nim, jak chciał. Ja miałam zająć się kierownikiem. Prawda jest taka, że Teodor nie był tak głupi, na jakiego wyglądał i jakiego zgrywał. Miałam go zająć, odciągnąć uwagę. A on się zakochał. – Znowu westchnęła i po chwili przerwy kontynuowała wspomnieniowe zeznania: – Teodor od pewnego czasu orientował się, że z firmy wyciekają pieniądze. Podejrzał, że to sprawka Darskiego, szykował się do rozmowy z prezesem, ale miał opory. To w końcu Darski załatwił mu pracę, jemu zawdzięczał sute wynagrodzenie. Miałam z Teodorem porozmawiać, wytłumaczyć. Może mi pan nie uwierzy, ale dostałam szoku, gdy zobaczyłam Teodora martwego. Leżał na ławce, twarz miał przykrytą pięknym bukietem róż. Od razu zrozumiałam te jego przebiekiwania o wspólnej przyszłości. Zabrałam róże na pamiątkę, stoją zasuszone u mnie w domu, w wazonie. Nie wiem, czy to ważne, ale skoro Darski wiedział o moim spotkaniu z Teodorem, a sama mu o nim powiedziałam, to wiedział o nim również Zdebski. Panie komisarzu – popatrzyła mu prosto w oczy – z jednego tylko się cieszę, że Teodor do końca nie wiedział, kim ja tak naprawdę jestem. To by go załamało. – Otarła oczy, ręce zaczynały jej drżeć. Komisarz widział, że za wszelką cenę usiłuje się nie rozpłakać. – To był porządny człowiek, nudny, nijaki, bez polotu, ale porządny. Chciał normalnie żyć, ale nie miał w tym środowisku na to szans. Ja miałam być jego szansą. Jak pan widzi, nie wyszło, niestety.



Lucjan Wysocki powiódł wzrokiem po zebranych w księgowości pracownikach. Byli prawie wszyscy. Tradycyjnie przy kserokopiarce siedziała blada i wymęczona pani Kinga. Za swoim biurkiem urzędowała pani Alina. Wodziła wokół mało przytomnym wzrokiem. Wyrwała się ze szponów pierwszego męża, który koniecznie chciał ją zostawić w szpitalu na obserwacji. Twierdził, że ma

wstrząs mózgu, jest poobijana. Na dodatek nieodpowiedzialna, skoro nie chce zostać w szpitalu. Obok niej przycupnęła Jola Dębicka. Starła się trzymać pion, ale spódnicę miała już prawie zrolowaną od ciąglego gniecienia. Z boku biurka stała Ola Jarosz udająca, że nie widzi nienawistnych spojrzeń Krzyśka Zdebskiego. Ten siedział naprzeciwko dziewczyn i zachowywał się tak, jakby nic nie miał na sumieniu, czyli jak typowy półdidiota. Elżbieta Wójcik z Kasią Dłuską udawały, że oglądają widoki za oknem. Karol Barański nawet nie udawał, że go to całe zebranie interesuje, czytał „Gazetę Prawną” i miał wszystko gdzieś.

W drzwiach otwartego pomieszczenia kasowego ustawiła sobie krzesło Bożenka. Miała czyste sumienie, więc nie obawiała się tego, co Lucjan powie. Przyglądała się z uwagą twarzom koleżanek i kolegów. Obok niej z nogą założoną na nogę, zdystansowana, siedziała Agata Jaskólska. Agata wiedziała, że są to ostatnie dni, jakie spędza w Bezpiecznej Przyszłości. Została odwołana przez szefa, za zgodą prezesa Darskiego. Raport z przebiegu spraw miała już prawie gotowy. Tak naprawdę czekała tylko na podsumowanie sporządzone przez Lucjana i wykrzycie sprawcy czy też sprawców morderstw przez policję. Miała już wyznaczone nowe zadania i z Bezpiecznej Przyszłości odchodziła bez żalu, nawet z pewną ulgą. Przy szafach z dokumentami i sławetnymi kolorowymi teczkami siedziały Ania i Basia. Co jakiś czas oglądały swoje komórki, pisały esemesy i wyglądały na kompletnie niezainteresowane całym zebraniem.

Przy drzwiach wejściowych swoje krzesło ustawił Lucjan. Bożenka pomyślała, że wygląda to tak, jakby Lucjan odcinał im drogę ucieczki, i uśmiechnęła się pod nosem.

– Co też tak panią bawi, pani Bożenko? – zapytał kąśliwie Lucjan. Nie przepadał za Bożenką, która od lat była odporna na jego propozycje wspólnego spędzania czasu.

– Nic, nic, coś mi się przypomniało. – Bożenka nie zamierzała zaognić sytuacji. W pokoju panowała ciężka do zniesienia cisza i atmosfera pełnej napięcia podejrzliwości.

Lucjan odchrząknął kilka razy. Był zmęczony od ślęczenia nad papierami. Zanim przedstawi końcowy raport prezesowi Darskiemu, chciał porozmawiać z pracownikami. Był od prawie dwudziestu lat kontrolerem, przeprowadził setki kontroli, mniej lub bardziej wyrywkowych, ale z tak bezczelnymi kantami miał do czynienia pierwszy raz w życiu. Dziwił się, dlaczego większość tych manipulacji umknęła mu w czasie lutowej kontroli. Chyba że pracownicy rozbestwili się dopiero później. Poczuli się pewni siebie albo myśleli, że następną kontrola czeka ich dopiero za dwa lata. Do tego czasu wszystko się mogło zdarzyć. Nie wiedział nic na pewno oprócz tego, co znalazł w papierach. Znalazł dużo! Według jego oceny akurat to biuro firmy kwalifikowało się do zamknięcia w trybie natychmiastowym. Jednocześnie uświadomił sobie, że właśnie to biuro przynosiło jeden z najwyższych przychodów, pomimo wypłacanych lewych szkód. Agenci pracowali naprawdę znakomicie i to tylko dzięki nim wszystko kręciło się aż tak dobrze. Zamykać było szkoda, uciekłyby cała masa pieniędzy, agenci i pracownicy biurowi straciliby pracę lub przeszli do konkurencji. Zostawić w takim kształcie jak teraz, też tego nie mógł. Prezes Darski dał Lucjanowi wolną rękę. Sam miał w tej chwili dość kłopotów na głowie w związku z podejrzeniem, że to jego własny syn jest podwójnym mordercą. Najgorsze, że dyrektor zniknął i nikt nie wiedział, gdzie się ukrywa. Nie było z nim kontaktu, komórka nie odpowiadała. Cały czas była poza zasięgiem. Lucjan powiódł wzrokiem dookoła. Naprawdę nie miał ochoty na tę rozmowę, ale obowiązek to obowiązek.

– Miło mi, że wszyscy poczuli się zobligowani do stawienia się na moje wezwanie – zaczął trochę napuszonym tonem. „Potem to już tylko z górki”, pomyślał. – Chciałbym wam przekazać wyniki kontroli, prawie ostateczne. Prawda jest taka, że w trybie natychmiastowym z wpisaniem nagany do akt

powiniem zwolnić następujące osoby: pana Krzysztofa Zdebskiego. Panie Krzyśku, co pan nawyrabiał!? Przecież to wszystko kwalifikuje się do prokuratora, pan powinien siedzieć za te wszystkie malwersacje!

– Ale dlaczego zwolnić? – wyjąkał Krzysiek Zdebski zdumiony – przecież ja to wszystko, wszystko – powtórzył z naciskiem – robiłem za wiedzą, zgodą, nawet więcej, bo z polecenia dyrektora Darskiego. Jak jeszcze żył Anatol, to mieliśmy bardzo dobry układ. Dyrektor to wszystko zorganizował. Nie było powodu, by wszystkie pieniądze z zawieranych polis szły do kasy firmy. Jak zdarzyła się wypłata odszkodowania, to pilnowałem, żeby klient dostał, ile mu się należało, i nie marudził. Co za jakaś świnią zabiła Anatola! – Zdebski prawie płakał. – Wszystko było doskonale zorganizowane, a Anatol jedyny do takich spraw. Jak szedł w miasto, potrafił w ciągu dnia zebrać nawet czasem ponad pięć tysięcy. Wszystkim wystarczyło – biadał.

Lucjan słuchał tych wywodów osłupiały. Podejrzewał, że dyrektor coś tam musiał wiedzieć na temat kantów robionych przez pracowników biura, ale litości! Nawet przez myśl mu nie przeszło, że dyrektor sam te kanty wymyślał i dawał do realizacji. Nie wiedział, jak zareagować na rewelacje Krzysztofa Zdebskiego, który chronił własną skórę. Powoli rozumiał, dlaczego prezes Darski wspominał niedawno o sprzedaży firmy i przejściu na zasłużoną emeryturę. Widocznie wiedział więcej, niż chciał powiedzieć. Słowa Krzysztofa Zdebskiego rzucały nowe światło na całą sprawę. Musiał zareagować w jedyny możliwy do przyjęcia sposób.

– Panie Krzysztofie – wycodził przez zęby. – Nic, ale to naprawdę nic pana nie usprawiedliwia! Trzeba było od razu zawiadomić prezesa. Przecież to nie jest prywatna firma dyrektora. Dyrektor tak jak i państwo tylko w niej pracuje. Czy będzie prezesem? Czas pokaże. Ja wątpię. – Lucjan wzruszył ramionami. – Przypuszczam, że bardziej musimy być przygotowani na informację o sprzedaży firmy.

– No dobrze, jeżeli prezes sprzeda firmę, to co z nami? – zapytała Alina, cała zmartwiona.

– No cóż. Jak w życiu, wszystko zależy od tego, czego będzie sobie życzyła firma, która nas kupi. O ile się taka znajdzie – dodał Lucjan kęśliwie.

– Niech się pan nie wymądrza, pan też może mieć kłopoty! – wtrącił Karol Barański, do tej pory milczący.

– Ja? – obruszył się Lucjan. – Co pan opowiada?

– No tak. Jeżeli ktoś nas kupi, to pan też może stracić pracę. Na co komu kontroler z wieloletnim stażem, który nie wykrył naszych grzeszków od razu? A jak już mówić wszystko, to wszystko – powiedział obojętnie Karol. – Ze mną najmniejszy problem. Już napisałem wypowiedzenie, odchodzę z pracy. Możecie mnie rozliczać, ile wlezie, policja wszystko wie i się ustosunkuje albo nie, a pan rób, co chcesz. – Karol wzruszył ramionami i ponownie sięgnął po „Gazetę Prawną”.

To, co powiedział Karol, miało swój sens, ale Lucjan miał także swój kontrolerski honor. Pracownicy za kanty musieli odpowiedzieć. Jeżeli nie wszyscy, to przynajmniej jeden – Krzysztof Zdebski. To, co on wyczytniał, przechodziło ludzkie pojęcie. Widział, że na razie do Zdebskiego nie docierała powaga sytuacji. Nigdy nie miał zbyt wysokiego zdania o jego intelekcie i widział, że niestety nic a nic się nie pomylił.

– Z naszymi uroczymi agentkami Anią i Basią już sobie porozmawiałem. Panie niestety nie zachowały czujności i popełniły kilka błędów. Nie chce mi się wierzyć, żeby to było takie zwykłe przeoczenie. Niestety muszę o wszystkim napisać w raporcie wewnętrznym, ale mam nadzieję, że nie poniesiecie jakichś przesadnych konsekwencji – pocieszył. Dziewczyny udawały, że ich to wszystko nie interesuje, dalej esemesowały, prawie nie podnosząc wzroku na Lucjana. – Pani Alino... dlaczego pani

nic nie powiedziała? – zapytał dramatycznie. Nie zadzwoniła pani, żadnego sygnału! Główna księgowca tak nie robi!

Alina Dobrosz-Zdebska patrzyła na Lucjana półprzytomnym wzrokiem. Widać było, że środki przeciwbólowe i uspokajające, które zażyła, działają na nią otępiająco i ogłuszająco. Świadoma swoich grzeszków wołała nie dyskutować z Lucjanem.

– Zaniedbałam! Odpokutuję. Proszę mnie zwolnić! – zaproponowała dramatycznie.

– Ależ co ty opowiadasz, Alinko? Jakie zwolnić? – zareagowała natychmiast Bożenka. – Ja dałam znać prezesowi, że dzieje się u nas coś niedobrego. A jeżeli ja, to tak jakby cała księgowość, więc nas niech się pan nie czepia. Było zareagować, jak prosiłam, to może nie doszłoby do tych dwóch morderstw – zakończyła dobitnie.

– No właśnie i nikt by mnie nie pobił – dodała jakoś żałośnie, ciągle trzymająca się za czoło Alina.

– Mogę uznać taki tok rozumowania – przytaknął Lucjan. Nie chciał się z nimi spierać. Kłócenie się z pobitą kobietą, w momencie gdy i tak by to nic nie pomogło, nie miało najmniejszego sensu. Lucjan przyjrzał się pozostałym. Pani Kinga obojętna, nadal siedziała koło kserokopiarki. Myślni błędziła gdzieś daleko. Nie miał jej nic do zarzucenia. Jej obecność stanowiła tylko formalność.

Agata Jaskólska zrobiła, co miała do zrobienia. On uważał, że zbyt mało, ale prezes był z niej zadowolony, więc nie dyskutował. I tak był w szoku, gdy dowiedział się, że ta ponętna kobieta pracuje jako prywatny detektyw. Podobno bardzo ceniony.

Pozostawała Jola Dębicka. W zasadzie nic na nią nie miał. Zaślepienie nie jest grzechem ani przestępstwem. Jola po prostu przesadziła z wiarą w dobre intencje i przede wszystkim możliwości dyrektora. W każde wypowiedziane przez niego słowo wierzyła jak w Biblię, ale miała do tego prawo. W końcu był to syn prezesa.

Matko jedyna! Gdzie on się poniewiera? – pomyślał Lucjan. Nie przepadał za tym bubkiem, ale w końcu powinien wrócić, wyjaśnić, co się stało. Oczyszczyć się z zarzutów. Tak myślał służbowo. Niesłużbowo wołał nie myśleć, bo wszystko, co mu przychodziło do głowy, kłóciło się z paragrafami.

Elżbieta Wójcik patrzyła na niego wrogo. Nadal trzymała usta zaciśnięte w kreseczkę, a w dłoni komórkę. Podobno czekała na jakiś arcyważny telefon.

Kasia Dłuska, dobre dziecko, udawała, że nie ma jej w pokoju. Kompletnie nie rozumiała, co ci ludzie mówią. Patrzyła na nich, jakby ich pierwszy raz na oczy widziała. Za nic nie mogła zrozumieć, w jaki sposób można się było dopuścić takich machinacji. W firmie ubezpieczeniowej, przy tych wszystkich kontrolach! W ogóle nie miała polotu, a wyobrażenie sobie tego, co działo się w firmie, było poza jej możliwościami. Ten pan Lucjan mówił tak mądrze. Był taki przystojny, szkoda, że taki stary. Na pewno po pięćdziesiątce. Gdyby był z piętnaście lat młodszy... och! To by było co innego. Rozmarzyła się.

Lucjan popatrzył na Kasię. Widać było, że myślami dziewczyna jest gdzieś daleko. Były to chyba jakieś bardzo przyjemne myśli. Do dziewczyny nie miał nic. To, co robiły, w stosunku do tego, co się działo, stanowiło szczyty uczciwości i lojalności wobec firmy. Lucjan podjął decyzję. Wbrew temu, co naopowiadał, nie chciał zbytniego zamieszania wokół biura i wszystkie sprawy wołał załatwić po cichu. Wiedział, że prezes prawie podjął decyzję. Im mniej szumu, tym większa wartość firmy. Po co sami sobie mają robić szkodę?

– Panie Krzysztofie – zwrócił się do siedzącego sztywno Krzysztofa Zdebskiego – mogę pójść panu na rękę. – Zdebski popatrzył na niego otępiłym wzrokiem. – Mogę przyjąć od pana wypowiedzenie, tak jak od pana Karola, za porozumieniem stron, bez odpłaty, na zero. W pańskich papierach nie

będzie śladu o tych wydarzeniach, znajdzie pan sobie inną pracę. Tylko radzę... niezwiązaną z finansami, bo prezes jednak ma długie ręce. W ten sposób pożegnamy się w jako takiej zgodzie – zaproponował. – Nie słyszę... co pan mówi? – Nachylił się do Zdebskiego. Dopiero teraz Zdebski zdał sobie sprawę z tego, co się stało. Ile w sumie miał szczęścia w tym wszystkim.

– Tak... dobrze... ja podpiszę – wyjąkał słabo.

– To mamy załatwione – ucieszył się Lucjan. – Nie muszę przypominać, że wszystko powinno pozostać pomiędzy nami.

Pracownicy powoli rozchodzili się do swoich pokoi, nie patrząc na siebie. Wiedzieli, że era w miarę beztroskiej i swobodnej pracy się skończyła. Teraz należało dokończyć porządki w papierach i pomyśleć o pisaniu CV. Lucjan na pewno wiedział, co mówi. Jeżeli ktoś ich wykupi, a wyglądało to raczej na pewne, to czekała ich cała masa mało korzystnych zmian. Przede wszystkim zmiana dotychczasowego trybu pracy. Każdy myślał o sobie. Przestali tworzyć zgraną i zwartą grupę, zresztą nigdy tacy nie byli.

Lucjan zamierzał zostać jeszcze kilka dni, podokańczyć zaczęte sprawy, a przede wszystkim odnaleźć dyrektora Darskiego, o którym słuch zaginął.



Kwestia zaginięcia dyrektora nie dawała spokoju także komisarzowi Jodle. Sprawa powoli się wyjaśniała. Co do tego, że mordercą Anatola, wbrew rozsądkowi, jest dyrektor, nie było wątpliwości. Dowody nie kłamały. Okazało się, że posiada identyczną wodę toaletową. Egzemplarz trzymany pamiątkowo przez Zdebskiego pokazywał dno i okazał się prezentem imieninowym od dyrektora, który lubował się w takich przyciężkich zapachach. Co innego morderstwo kierownika Teodora Bryś-Kowalskiego. Tutaj niestety wyglądało, że Manuela kłamie. Nikt inny nie mógł go zabić. Wszyscy mieli alibi, łącznie z dyrektorem, który w tych godzinach prowadził szkolenie pracowników pobliskiej placówki. Przynajmniej tak brzmiały oficjalne zeznania szkolonych pracowników.

Rewizja przeprowadzona w domu Manuli potwierdziła podejrzenia komisarza. W wazonie, na spodzie, pod zasuszonymi różami leżały klucze do biura firmy ubezpieczeniowej i piękny pierścionek z brylantem. Nigdzie nie było polis ubezpieczeniowych, które powinny były znajdować się w teczce. Manuela twierdziła, że nie wie, skąd się to wszystko u niej wzięło oraz że nie ma zwyczaju trzymania pierścionków w wazonie, zwłaszcza takich ładnych.

Wszystkie te swoje rewelacje wyrzucała jednym tchem, jakby chcąc pozbyć się ciężaru. Uparcie twierdziła, że nie jest winna śmierci kierownika. Owszem, dała mu czekoladki na odchudzanie, ale dużo wcześniej. Teodor uwielbiał czekoladę w każdej postaci. Nie umiał jej sobie odmówić. Przeglądając internet, znalazł informację o specjalnych czekoladkach stosowanych przy odchudzaniu. Nie wie, kto nafaszerował czekoladkę trucizną. Na pewno nie ona! Być może Teodor, czekając na nią, zjadł jedną czekoladkę. Być może czekoladka była nafaszerowana trucizną, ale jednego jest pewna: Teodor czekał na nią, ktoś go zabił, ktoś go ograbił. Może przysiąc, że przy ławce nie było żadnej teczki. Gdy przyszła, trochę spóźniona, Teodor leżał na ławce. Twarz miał przykrytą bukietem róż. Już nie żył. Ona te róże wzięła, to prawda, była przerażona, w szoku. Dopiero w domu doszło do niej, co zobaczyła.

– Nadal nie jestem w stanie zrozumieć, co się naprawdę stało. – Kobieta prawie płakała, kompletnie zdezorientowana i bezsilna.

Komisarza gnębiła kwestia faszerowanej czekoladki. Długo nie mógł zrozumieć, dlaczego czekoladka była zatruta i w jaki sposób dotarła do kierownika. Okazało się to proste. Manuela utrzymywała przed Teodorem, że jest przedstawicielką koncernu farmaceutycznego. Od czasu do czasu przynosiła mu próbki rozmaitych specyfików. Niedawno sam poprosił ją o czekoladki na odchudzenie. Nigdy o takich nie słyszała, ale obiecała, że załatwi. Dostała je od dyrektora. Teodor miał przy sobie czekoladki, które mu podarowała – poznała po opakowaniu. Manuela nie musiała zabijać kierownika. Według niej to miało być pożegnalne spotkanie z kierownikiem, po którym chciała zniknąć. Nigdy by jej nie przyszło do głowy go zabijać. Po co? Mogła się wyprowadzić, dokąd chciała. Teodor nawet nie wiedział, gdzie mieszkała. Wszystko to było bezsensowne. Nigdy! Za nic w świecie nie przyzna się do zamordowania Teodora! Była wstrząśnięta i trzymała się swojej wersji wydarzeń. Cały czas powtarzała: „Zapytajcie Darskiego, on wam wszystko powie”. Żał było patrzeć na tę piękną, teraz trochę załamana kobietę. Chyba nie udawała, była autentycznie przerażona i niepewna, co będzie dalej, zwłaszcza że nadal nie było wiadomo, gdzie przebywa dyrektor Darski. Tylko on mógł potwierdzić jej wersję wydarzeń. W końcu jest różnica pomiędzy nieprzyjęciem oświadczyń a morderstwem z premedytacją. Pomimo dowodów nie można było postawić zarzutów dyrektorowi Darskiemu, nie można było także zweryfikować zeznań Manuely. Musiała pozostać w areszcie. Czekaając.



Czas uciekał, dni mijały szybko... Znowu rozpoczął się weekend. Przedpołudniowa sobota, jeszcze słoneczna, chociaż już wrześnieowa, kusila wypoczynkiem. Jasiak Banyś postanowił zrobić porządki na zaniedbanej w tym roku działce. Mama od kilku dni chodziła jakaś nieprzytomna, zamyślona. Jasiak zaczął się o nią niepokoić. Nie przypuszczał, że aż tak bardzo przeżyje śmierć byłego w końcu męża. Nie miał pojęcia, że ostatnio aż tak często się widywali. Zazwyczaj gdy on był w szkole lub na treningu.

Dzisiaj postanowił zrobić mamie niespodziankę i samodzielnie pozgrabić liście i przekopać grządki. Miał ochotę na ziemniaki pieczone w ognisku, takie, jakie kiedyś robili z ojcem. Całe lata temu. Gorące, ze spieczoną, brudną od popiołu skórka, odrobiną masła i soli, pachnące jesienią. Spakował wszystkie potrzebne rzeczy do plecaka i wyszedł z domu, zostawiając jeszcze śpiącą mamę. Na stole położył kartkę z informacją, że bierze rower i jedzie na cały dzień na wycieczkę. Tak usprawiedliwiony wobec mamy czuł się swobodnie i cieszył się na nadchodzący dzień.

W okolicznych ogródkach działkowych praca wrzała od rana. Zaległe koszenie trawy, grabienie i palenie liści, zabezpieczanie altanek przed nadchodzącym zimmem. Jasiak nie wiedział, po kim odziedziczył zamiłowanie do pracy w ogrodzie, ale chyba nie po mamie, która od pielenia grządek migiała się jak mogła i najchętniej by w ogóle na działkę nie przychodziła. Trzymała ją z przyzwyczajenia, a może po prostu dla Jaśka, na przyszłość. I tak to on wszystko na działce robił. Własnoręcznie wyhodowana marchewka dawała mu więcej radości niż piątka z matematyki. Może dlatego, że o piątkę nie musiał się specjalnie starać, był zdolny. Marchewka wymagała trochę więcej pracy.

Dzisiaj zaczął od pootwierania drzwi i okien ładnej, drewnianej altanki. Trzeba było przewietrzyć. W środku panował koszmarny zaduch, a nawet smród. Jasiak zastanawiał się, czy czasem gdzieś pod

podłogą nie rozkłada się któryś z okolicznych szczurów. Postanowił najpierw wywietrzyć, jednocześnie pracując w ogrodzie. Jeżeli wietrzenie nic nie da, to będzie musiał przeglądnać wnętrze domku. Miał do sprawdzenia dwa pomieszczenia. Pokój z kuchenką, urządzony starymi meblami, które aż prosiły się o pomalowanie, oraz dobudówkę, w której trzymali taczki, kosiarkę, łopaty, miotłę do zmiatania śmieci i tym podobne niezbędne narzędzia.

W dobudówce śmierdziało jakby mniej. Jasiek powyciągał podstawowe narzędzia, narzucił roboczą, flanelową koszulę, specjalnie przeznaczoną do prac polowych, i zabrał się do roboty. Wzorem innych działkowiczów zaczął od wrywania ostatnich selerów i pielenia zarośniętych na pół metra trawą grządek. Na porządkowanie działki zamierzał przeznaczyć cały dzień. Po pieleniu czekało go grabienie liści, na końcu koszenie kosiarką trawy. W międzyczasie drugie śniadanie i na obiad pieczone ziemniaczki. Aż obliżywał się ze smakiem na myśl o czekających go jeszcze przyjemnościach. Na razie zawzięcie pieliał i myślał. Ten paskudny zapach... Coś mu przypominał? Skojarzenie z rozkładającym się szczurem było takie oczywiste, że nawet nie zastanawiał się, czy myśli prawidłowo. Postanowił po wypieleniu grządek zrobić sobie przerwę i jednak sprawdzić dokładniej, dlaczego w altance aż tak śmierdzi. Miał nadzieję, że nie będzie musiał zrywać podłogi. Potem musiałby ją z powrotem przybijać, a on czuł się bardziej ogrodnikiem niż majsterkowiczem. W końcu wyrwał ostatnie, dumnie sterczące z grządki zielsko i wyprostował się. Nie miał ochoty wchodzić do altanki, ale jak mus, to mus.

Niestety nie było lepiej. Od wejścia poczuł jeszcze gorszy odór niż rano. Robiło się coraz cieplej, ale dlaczego miałyby to mieć wpływ na jakiegoś szczura, który zszedł pod podłogą? Tam na pewno słońce nie grzało więcej niż normalnie. Najpierw należało znaleźć coś, czym będzie mógł przysłonić nos. Odwinął z rolki długi pas papieru toaletowego. Przyciskając go do ust i nosa, przystąpił do pracy, przeszukując wszystkie kąty. Oprócz jednej, dawno temu zdechłej, zasuszonej jak mumijka myszy nie znalazł nic. Została jeszcze do przeszukania ściana, przy której stało łóżko z ponarzucanymi narzutami, pościelą i starymi, niepotrzebnymi w domu kocami. Pod łóżkiem też leżały jakieś tłumoki, jedne na drugich. Tę pracę jako najmniej przyjemną Jasiek zostawił sobie na koniec. Skoro nigdzie nic nie odkrył, to zapewne tam, w przytulnej pościeli zagrzebał się na wieczny spoczynek szczur wędrowniczek.

Jasiek pochylił się nad stertą i ostrożnie, rękami ubranymi w ledwo trzymające się ze starości rękawiczki gumowe, sięgnął po pierwszą z brzegu poduchę.

To, co zobaczył na samym spodzie, przeszło jego wszelkie oczekiwania. Stało się jasne, że źródło niesamowitego odoru zostało zlokalizowane prawidłowo. Zataczając się ze wstrętu i przerażenia, Jasiek wypadł na zewnątrz altanki. Nie miał pojęcia, co może zrobić w takiej sytuacji, choć jedyne, prawidłowe wyjście nasuwało się samo. Powoli sięgnął po telefon, nie pamiętając żadnego innego numeru, wystukał 997 i czekał, aż się ktoś odezwie.



Dyrektor Darski nie miał już szans na wyjaśnienie niczego. Nie mógł przyznać się do winy ani nie mógł zaprzeczyć posądzeniom. Nie mógł wybronić Manueli i wyjaśnić, co się naprawdę wydarzyło. Ktoś na zawsze zamknął mu usta.

Dyrektor Darski został brutalnie zamordowany. Gdyby nie ogrodnicze zapędy Jaśka, poleżałby pewnie w altance Banysiów do wiosny. Komisarz Jodła rwał włosy z głowy. Ostatnie, czego

potrzebował w tej zagmatwanej sprawie, to trzeci trup. Teraz był pewien, że przydzielą im jakiegoś młodego zdolnego z komendy wojewódzkiej. Pomimo niezłych wyników i tak zwanej wykrywalności. W końcu sprawcy włamania do monopolowego zostali zlokalizowani. Może trochę przez przypadek i poza procedurami, ale jednak. Cóż z tego, że prokurator w szybkim tempie, po wpłaceniu jakiejś mizernej kaucji wypuścił ich na wolność. Komisarz nawet się nie dziwił, skoro prowadzycem i organizatorem włamania okazał się syn okolicznego biznesmena, właściciela dobrze prosperującego złomowiska, niejaki Nowak. Nierzadkie to nazwisko przewijało się także w opowieściach z pracy Bożenki.

Zatrzymanie sprawców włamania komisarz uznał za sukces. Kantami w Bezpiecznej Przyszłości sam z siebie się nie zajmował, uważając, że skoro nikt nic nie zgłosił, to co mu do tego. Wiedział, że Karolek ma dalekosiężne plany, i pochwalał je w całej rozciągłości. Odrobinę niepokoił się o dalsze losy Bożenki. Przebąkiwało się, że nowa firma, która ma kupić Bezpieczną Przyszłość i wcielić wraz z klientami w swoje struktury, nie kwapi się z deklaracjami zapewnienia miejsc pracy wobec starych pracowników. Nawet tych niewinnych. Manuela nadal siedziała w areszcie. Niestety okazało się po rewizji, że dysponowała niejedną nadziewaną trucizną czekoladką. Jej zwalenie winy na dyrektora Darskiego nie było najlepszą taktyką. Cały czas nawoływała do intensywnych poszukiwań dyrektora. Nie zamierzała zostać kozłem ofiarnym. Zawiniła, owszem! Była gotowa odpokutować za wszystko, co zrobiła, ale nie za winy, do których się nie poczuwała. Zwłaszcza gdy okazało się, że z informacjami o możliwych znajomych nic a nic nie przesadziła. Komisarz cały czas odbierał naglące telefony w jej sprawie. Wiedział tylko tyle, ile mu powiedziała. To wszystko było za mało.

Sobota zapowiadała się miło. Wybierali się z Bożenką do ciotki komisarza, na wieś. Zaangażowany uczuciowo, jak nie zdarzyło mu się od czasów małżeństwa, komisarz koniecznie chciał poznać ze sobą najważniejsze kobiety swego życia. Bożenka stawiała lekki opór, argumentując, że to trochę zbyt wcześnie, ale dała spokój, gdy odrobinę zdenerwowany Kaziu oświadczył, że ciocia nie młodnieje i każdego dnia szkoda. Skapitulowała, ciekawa starszej pani i spragniona wypoczynku. Ostatnie dni były bardzo ciężkie. Sama jeszcze nie wiedziała, jakie zmiany czekają ich w pracy. Wiadomo było, że nie będą to zmiany na lepsze. Powoli pakowała podręczna torbę. W najlepszej cukierni kupiła ciasto i ogromną bombonierkę dla starszej pani. Jeżeli mieli jechać, to chciała, by wszyscy mieli z tego jak największą przyjemność.

Zaczynała się już trochę niecierpliwić. Kaziu, zawsze taki punktualny, spóźnił się już ponad piętnaście minut. Było to do niego zupełnie niepodobne. Postanowiła, że poczeka jeszcze kwadrans i zadzwoni. Jeżeli nie odbierze, to zadzwoni do Marzenki. Może ona będzie wiedziała, co się stało.



Komisarz nie zamierzał odbierać służbowej komórki. Nie pamiętał, kiedy ostatnio miał cały weekend wolny, ale komórka dała się coraz natręczywiej, nie pozwalając skupić myśli. Zerknął najpierw, kto dzwoni.

Marzenka... Westchnął ciężko. Przeczuywał kłopoty. Słuchał uważnie, zastanawiając się, czy podjechać do Bożenki i osobiście wyjaśnić sytuację. Zdecydował, że jednak zawróci. Ten nieboszczyk nie mógł czekać.

Zanim jeszcze wysiadł z samochodu, zadzwonił do Bożenki i nawet nie usprawiedliwiając się zbyt długo, powiedział, że niestety nie da rady. Dyrektor się znalazł. Odrobinę po czasie, podobno nie nadaje się do oglądania. A w ogóle wszystko jej opowie, jak wróci.

– Kiedy wróci?

– A nie wie, kiedy wróci. Na obiad zapewne... nie... na kolację. No, zobaczymy. Całuje i tyle. – Komisarz kończył szybko rozmowę, bo już przez szybę, nad jego ramieniem zwiśla Marzenka. Mało delikatnie poganiała go do pracy. – No już dobrze... idę ... – Zabrał podręczny notes, długopis i powędrował na miejsce odkrycia zwłok.

Jasiek stał z boku, przebierając nogami. W głowie nie mogło mu się pomieścić, co na ich własnej działce mógł robić ktoś taki jak dyrektor Darski. Teraz martwy, ale w końcu w jakiś sposób przywędrował czy też przyjechał żywy. Po co? Dlaczego? Z kim zamierzał się spotkać? Czy też ktoś go już martwego podrzucił? Tylko dlaczego na ich działkę?

Widok policyjnych samochodów zgromadził okolicznych działkowców, którzy stłoczeni przy bocznym ogrodzeniu chcieli jak najwięcej zobaczyć i komentowali całą sytuację na całego. Naraz podniósł się gwar, a podniecenie rosnącego z minuty na minutę tłumku zaczęło wzrastać. Z domku praktykanci od Ziębińskiego odziani w służbowe kitle wynosili zapakowane w worek i ułożone na noszach zwłoki. Jeden z nich trzymał w ręku buty dyrektora Darskiego, piękne, z popielatego zamszu, ręcznie haftowane.

Na ten widok jeden z obserwujących całe zajście panów zachłysnął się i otworzył usta. Po momencie opanował się i spokojniejszy podszedł do stojącej z brzegu Marzenki.

– Pan nie przeszkadza. Nie wolno! – warknęła, nie oglądając się na intruza.

– Przepraszam. – Siwy, starszy pan nie zamierzał odejść. – Ja widziałem tego człowieka – powiedział cicho, prawie szepcząc do ucha Marzenki. Obróciła się, nagle ożywiona, i zapytała podstępnie:

– A skąd pan wie, że pan go widział? Przecież jest zapakowany!

– Po butach poznałem – szeptał nadal starszy pan konspiracyjnie. – Uwielbiam zamszowe buty. Wie pani, jak byłem młody, to takich butów u nas nie było. Tylko węgierskie lub jugosłowiańskie były zamszowe. Były bardzo drogie, a ja nie miałem pieniędzy. Potem, jak już mnie było stać, to zawsze kupowałem zamszowe buty. To mi zostało. Zawsze patrzę na buty, a on miał je piękne. To był chyba jakiś bardzo bogaty człowiek. Widziałem, jak tu przyjechał, tydzień temu, ponad tydzień... w czwartek wieczorem. Takim pięknym samochodem, sportowym. Chyba był sam. – Przypominał sobie. – Ja zostałem na wieczór, malowałem altankę. Chciałem dokończyć, nie lubię, jak mi coś zostaje do zrobienia na następny dzień. Już kończyłem, a ja mam działkę prawie przy wejściu do ogródków. Nikogo nie było, chociaż nie dam głowy, mogłem nie zauważyć. Ten człowiek stanął przy mojej działce, tak z brzegu, a tu jest latarnia. Widział mnie, ale nie zwracał uwagi. Myślę, że zastanawiał się, którędy iść na działkę Banysiów. Postać chwilę, wyciągnął komórkę, coś powiedział i poszedł. Ale buty widziałem dokładnie – podkreślił jeszcze raz starszy pan.

Marzenka słuchała tych rewelacji z uwagą. Zanotowała dane starszego pana i poprosiła, aby zgłosił się na komendę w poniedziałek rano, to jeszcze raz wszystko opowie i spiszą dokładnie jego zeznania. Był bardzo ważnym świadkiem.

Dlaczego dyrektor Darski został zabity? Przez kogo? To były podstawowe pytania, jakie zadawał sobie komisarz Jodła. Niby sprawa była zakończona, bo sprawca nie żył. Ale z kolei kto go zabił? Jaka jeszcze osoba była zamieszana w proceder wyprowadzania pieniędzy z firmy ubezpieczeniowej? Kto

z tych miłych, czy też mniej miłych, ludzi miał powód, by zabić dyrektora i to jeszcze na działce Banysiów? Kto wiedział, że Baniś miał działkę i gdzie? I podstawowe pytanie: czy była to działka Anatola Banysia, czy też jego byłej żony i syna? Te pytania należało zadać Jaśkowi, który miał pecha do znajdowania nieboszczyków.

Jasiek miał podejrzenia, o których wolał nie informować komisarza. Komisarz to był miły człowiek, ale Jasiek pewne kwestie chciał sobie sam wyjaśnić. Na pytanie o własność działki odpowiedział wymijająco. No... była ich, to znaczy mamy i jego, ale ojciec też na niej bywał i nie można wykluczyć, że kiedyś pokazał działkę dyrektorowi jako własną.

– Komisarz wie, jaki był ojciec – Jasiek nie bawił się w owijanie w bawełnę. – Jeżeli ojcu pasowało mówić, że coś jest jego, to tak mówił. Czy było, czy nie było. Klucze miał, bo mama mu kiedyś dała, niby miał nam pomóc. Potem tych kluczy nie zwrócił. – Nie... Jasiek nie miał pojęcia, kto zabił dyrektora, ale jeżeli, jak słyszał, to dyrektor Darski zabił mu ojca, to go nie żałuje. Nie żyje, widocznie mu się należało.

Jasiek mówił, co myślał. Był wściekły. Policja zapieczętowała mu altanę, on nie mógł dokończyć porządków i jeszcze z pieczonych ziemniaków nici. Mógł się tylko obejść smakiem.

– Przez tego bubka cały dzień stracony – burknął w kierunku komisarza.

– Nie lubieś dyrektora Darskiego? – zapytał komisarz.

– Nie było za co go lubić. Ja wiem, że on współpracował z ojcem, widywałem ich razem, ale nie wyglądali na zaprzyjaźnionych – podsumował Jasiek.

Ekipa policyjna badała ślady pozostawione na miejscu zbrodni. Po wstępnych oględzinach okazało się, że dyrektor zginął od uderzenia tępokrawędzistym narzędziem. Może to był młotek, może siekierka. Policjanci przeglądali teraz narzędzia leżące w Jaśkowej komórce. Na razie bez rezultatu.

Znaleźli za to ślady krwi przy stole kuchennym. Wyglądało na to, że dyrektor zginął, siedząc, uderzony w tył głowy. Nawet nie miał szans na obronę. Tylko dlaczego akurat tutaj?

Komisarz wiedział, że teraz następnym etapem pracy będzie przesłuchanie Elwiry Banysiowej i sprawdzenie, kto jeszcze wiedział o działce i kto oprócz Anatola miał do niej dostęp. Śladów włamania nie stwierdzono. Wszystko było przykładnie pozamykane, gdy Jasiek przyszedł. Żadnych niepokojących zmian. A w środku Darski. Można powiedzieć, wytęskniony i wyczekiwany przez wszystkich, ale żywy, nie martwy, niestety. Śledztwo zmierzało ku końcowi, chociaż na wyjaśnienie czekało jeszcze wiele spraw i wątków. Komisarz nie miał złudzeń. Musieli zaopatrzyć się w drożdżówki. Szanse na zjedzenie jakiegokolwiek ciepłego posiłku były nikłe. Swoje musieli zrobić.



Już na dole klatki schodowej bloku, w którym mieszkała Banysiowa z synem, słychać było potężną awanturę. W zasadzie słychać było tylko jeden głos, męski, nieco momentami piskliwy. W tle rozlegały się rozpaczliwe łkania, przerywane tylko dwoma słowami:

– Nie wiem... nie wiem. – I znowu łkania.

Odgłosy te dochodziły z mieszkania pani Elwiry Banysiowej. Drzwi były uchylone, więc komisarz nie bawił się w uprzejmości, pukania, czekania, tylko otworzył je od razu.

Za stołem, zalana łzami, siedziała Elwira Banysiowa. Rękami tłamsiła obszytą koronką chusteczkę, całą mokrą od łez. To właśnie ona powtarzała jak katarynka to łkające „nie wiem”.

Ubrana na czarno, z posiwiałymi włosami, których kosmyki oblepiały jej mokrą od łez twarz, woskowo blada, broniła się przed agresją stojącego nad nią Krzyśka Zdebskiego. Ten, nie lepiej wyglądając od niej, trząsał się i wrzeszczał piskliwie, że to wszystko to jej wina. A w ogóle, gdzie są dokumenty?!

– No panie Krzysztofie, co pan wyprawia? – Komisarz, stojący w drzwiach, postanowił zwrócić na siebie uwagę.

– Ja... ja nic... Ona to zrobiła! – Cały wykrzywiony z wściekłości, kłut palcem w ramię panią Elwirę.

– Niech on przestanie, och! O Boże... Boże... Ja już nie mam siły! – Pani Elwira patrzyła błagalnie na komisarza. – Niech on się tak nie wydziera... Głowa mi pęka... Ja się przyznam. I tak miałam do pana iść, ja nie umiem... – zająknęła się tak jakoś żałośnie.

– Czego pani nie umie? – zapytał spokojnie komisarz Jodła. Podejrzewał, o co chodzi, ale chciał dać czas kobiecie na opanowanie emocji. – Pani Elwiro, najpierw to może zrobimy herbatę, potem jakieś krople na uspokojenie. Gdzie pani to wszystko trzyma? – Komisarz rozglądał się po kuchni, chcąc zlokalizować apteczkę.

– No jeszcze czego! – parsknął wkurzony Zdebski. – Może pan jeszcze tej morderczynie da kieliszek koniaku, żeby doszła do siebie!

– Pomysł niezły, ale lepszy będzie nerwosol. – Komisarz nie dał wytrącić się z równowagi. Powoli krzątał się po kuchni. Przetyknął czajnik elektryczny, znalazł herbatę w saszetkach, powkładał do kubków. Nawet dla Zdebskiego przygotował. Osobno, na łyżce, podał nerwosol pani Elwirze. Wypiła, popijając zimną wodą i krzywiąc się niemiłosiernie.

– Może pan też chce? – Komisarz pomachał Zdebskiemu butelką przed nosem.

– Pan chyba zwariował, komisarzu! – Zdebski otrząsnął się z obrzydzeniem. – Pan z nią jak z jajkiem, a to morderczynie! – krzyczał zaciekle.

– Czy to prawda? Pani Elwiro... – Komisarz nawet nie był zbyt zdziwiony.

– Prawda – wyszeptała cicho i z powrotem zaczęła gnieść koronkową chusteczkę.

– Jak to się stało? – zapytał łagodnie komisarz. – A pan niech siedzi cicho! – Osadził pyskującego z powrotem Zdebskiego. – Z panem to ja jeszcze mam do pogadania.

Zaczęła opowiadać, a wszystko co mówiła, było tak nieprawdopodobne, że komisarz miał ochotę co chwila łapać się za głowę.



Całe szczęście, że grób nie został jeszcze zmontowany i nadal moglię Anatola Banysia okrywały sterty uklepanej już ziemi. Po harcujących kotach nie było śladu, a ziemia ułożona w schludny kopczyk przykryta była gałązkami jedliny przetykanymi pomarańczowymi aksamitkami. Pomiędzy jedlinę wetknęto znicze, paliły się jeszcze, zwłaszcza te większe, siedemdziesięciogodzinne. Odkopywanie ziemi szło sprawnie, a dla grabarzy pocieszające było to, że nie musieli wyciągać trumny. Rozwiązanie tajemnicy zniknięcia dowodów przeciwko dyrektorowi, dowodów, którymi próbował szantażować

dyrektora Anatol, stanowiła zawartość poduszki, ukochanego jaśka Anatola Banysia, który spoczął na trumnie.

Nikt tego nie wiedział na pewno, ale trzeba było sprawdzić. Banysiowa twierdziła, że Anatol życzył sobie być pochowany ze strupieszalym jaśkiem pod głową. Dlaczego? Czy chciał, żeby dowody działalności dyrektora zaginęły, czy też chciał zwrócić uwagę byłej żony na niepozorną poduszczkę? Kiedy zdążył napchać ją papierami? Gdzie zniknęły dowody, których szukał dyrektor Darski? Przecież nie bez powodu przewrócił do góry nogami mieszkanie pani Aliny. Widząc, jak dziewczyny robią porządki, był przekonany, że pani Alina dowody wyniosła z biura i teraz ma go w ręku. Nawet nie pomyślał, że pani Alina szukała czegoś innego.

Komisarz wyobrażał sobie, jaki musiał być zawód dyrektora Darskiego, gdy okazało się, że papierów nigdzie nie ma. A miały kosztować dyrektora bardzo drogo. Anatol Banyś żądał za nie pełnego miliona złotych. Darski targował się, zjechali do pięciuset tysięcy. Niby umowa stała. Rozmawiali spokojnie, w księgowości – dyrektor w firmie czuł się jak u siebie w domu – kiedy Anatola coś podkusiło. Po prostu sprowokował dyrektora kompletnie niepotrzebnie.

Już prawie na odchodnym powiedział dyrektorowi, gdzie pracuje Manuela. Brutalnie uświadomił mu, że nie jest jedynym mężczyzną w jej życiu. Kierownik i tak się nie liczył, musiał zostać wyeliminowany, ale rewelacje Anatola o pracy Manuely w klubie Bezsenne Noce, rzeszy jej wielbicieli i względach, jakimi darzyła bezpośrednio Anatola, pozbawiły dyrektora resztek opanowania i sprawiły, że sięgnął po to, co było najbliżej pod ręką.

A pod ręką był nożyk do papieru, parę godzin wcześniej znaleziony między dokumentami przez panią Alinę. Nie zdążyła nikomu o odnalezieniu nożyka powiedzieć. Oli jeszcze nie było, Bożenka użerała się z klientami, a potem to już wyleciało pani Alinie wszystko z głowy.

Czy Anatol wszystkie swoje tajemnice i grzechy zabrał do grobu? To miało się okazać już za chwilę. Wieniec, a pod nim poduszka były już blisko, prawie na sięgnięcie ręką.

Na biurku komisarza, obsypana igliwiami, leżała poduszcзка typu jasieczek. Powłoczka, czerwona, haftowana w łowickie wzory, robiła bardzo dobre wrażenie. W środku, owinięte w powłoczkę, leżały jakieś strzępki jaśka – resztki tkaniny, wełny, kawałeczki gąbki. Nie było śladu żadnych papierów, ani strzępka. Komisarz zaklął szpetnie. Na rozkopanie grobu musiał mieć zgodę wszelkich czynników oraz żony zmarłego, która nie pragnęła niczego innego, jak tylko zakończenia tej paskudnej sprawy. I nic!

– Niech pan wszystko wyrzuci na biurko – powiedziała Marzenka. Poszukała gazetę, podłożyła. Komisarz desperackim ruchem szarpnął za poduszczkę. Rozerwał całość na szyciu, podniósł do góry i potrząsnął. Z poduszki zaczęły wylatywać resztki wełny zciachane zębami myszy, spowite w kłęby kurzu. Na końcu, po cichu, na całą stertę spadł malutki, niepozorny przedmiot.

– No tak... właśnie tego się spodziewałam! – wykrzyknęła ucieszona Marzenka.

Komisarz przez chusteczkę wziął przedmiot do ręki.

– Co to jest, Marzenka? – zapytał.

– To pendrive, komisarzu. Takie małe, ale ma dużą pamięć, można na tym nagrać dane z komputera. Zamiast drukować, to wszystko jest na tym. Podłączymy do komputera i wszystko będzie wiadome. Myślę, że powinny tu być listy klientów, zdjęcia polis, które wystawiał Anatol, dowody, że zlecenia pochodziły od dyrektora. Listy klientów pisane jego ręką i tym podobne – entuzjazmowała się Marzenka. – No to co, chłopaki? Stawiacie obiad w Mikadzie, wyszło na moje.

– Dyskutowałbym, Marzenka, ale niech ci będzie – droczył się komisarz. – Skonsultuj się z Bożenką co do menu, bo obie macie wielkie zasługi i obie jesteście zaproszone.

– A ja? – Do pokoju zaglądnął doktor Ziębiński.

– A co ty? – odpowiedział pytaniem komisarz.

– A czy ja też jestem zaproszony? Bo jakby co, to możemy mieć najlepszy stół na jutro, a jak sobie przypominam, to ty mi coś wiesz – zaszantażował Ziębiński.

– Niech ci, Romuś, będzie. – Komisarz miał dobry humor i nic nie mogło wytrącić go z równowagi.

– Tyś jest po prostu ciekawy, prawda? – zapytał.

– Ciekawy czy nie ciekawy, ale bilans musi wyjść na zero, inaczej wiesz... koniec z przysługami ekstra. – Najprzystojniejszy z patologów nie odpuszczał.

– No to, panowie, jesteśmy umówieni – zażegnała spór Marzenka. Cieszyła się na obecność doktora Ziębińskiego, który zaczynał ją coraz bardziej interesować. Ziębiński miał opinię zaprzysięgłego kawalera. Trochę żal było jej Tomka Kulika, miłego chłopaka, ale coraz częściej łapała się na tym, że uczucie Tomka jest niestety jednostronne. Lubiała go bardzo, ceniła, podziwiała. Kochała go, ale niestety jak brata. Wiedziała, że nic z tego ich miłego, ale luźnego związku nie wyjdzie. Nie podejmowała jeszcze żadnych decyzji, rozwiązanie problemu powierzając czasowi. Teraz była po prostu ciekawa. Nie wiedziała wszystkiego. Jediną osobą, która w tej chwili wiedziała wszystko i oddawała się żmudnej pracy pisania raportu, był komisarz Jodła. Oni musieli poczekać do jutra.



Kolacja w Mikadzie była wydarzeniem towarzyskim. I to w takim zacnym gronie! Samo jedzenie jest przyjemnością dla przyjemności. Ta kolacja była przyjemnością kulinarną połączoną z przyjemnością oczekiwania na pełne zeznania komisarza Jodły.

Po przystawkach nastał czas na danie główne. Rozmowa błyskotliwa, zręcznie omijająca temat nagłych zgonów, momentami się urywała. Nad stolikiem unosiła się aura niezaspokojonej ciekawości. Wreszcie, przy deserze, komisarz postanowił o końcu męki współbiesiadników. Wszyscy popijali małymi łydkami kawę i czekali. Doczekali się.

Posapując z zadowolenia, komisarz wyjął kartkę papieru, na której w punktach miał wypisany przebieg zdarzeń, taką małą ściągę. Wyglądził ją wierzchem dłoni i zaczął opowiadać.

– Marzenka miała rację. – Marzenka aż się zaróżowiła z emocji uhonorowana w pierwszym zdaniu.

– W całej powodzi kantów, przekrętów, lewych pieniędzy w ostateczności chodziło o kobietę. I to jaką!

– Komisarz jeszcze raz westchnął, a Bożenka rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie, trochę zaniepokojona.

Komisarz kontynuował: – Interesy szły dobrze. Ponieważ dyrektor Darski od zawsze potrzebował więcej pieniędzy, niż zarabiał, to z pomocą Krzyśka Zdebskiego nauczył się kombinować. Najpierw zrobił rozpoznanie, które biuro przynosi największe dochody. Wyszło mu, że nasze. Było najprężniejsze, agenci ściągali do firmy gotówkę na okrągło. W stosunku do zebranej kasy wypłaty odszkodowań były na bardzo niskim poziomie. Był spokój, klienci zadowoleni, nie skarżyli się. Dostawali dobre odszkodowania, mieli porządną obsługę, wszystko grało. Ponieważ dyrektor znał się z Krzyśkiem Zdebskim od lat, wiedział, że będzie on podatny na pomysły związane z wyprowadzaniem gotówki z biura. Najpierw Krzysiek miał opory, ale dyrektor wytłumaczył mu, że i tak kiedyś to wszystko będzie jego, więc to nie jest kradzież. Takie tłumaczenie było na rękę Zdebskiemu. I się zaczęło. Podwójne wypłaty odszkodowań, podwójne akta szkód, lipne zdjęcia. Wyższe wyszacowania

wartości szkód i branie różnicy do kieszeni. Z czasem panowie rozpasali się, a pieniędzy ciągle było mało. Kierownik Bryś-Kowalski kompletnie nie zwracał uwagi na to, co się dzieje. Nie znał się na ubezpieczeniach. Był szczęśliwy, że dostaje taką kasę za nic. Chciał tylko świętego spokoju. – Komisarz odetchnął głęboko. Sięgnął po kieliszek z winem. Przeplukał gardło i kontynuował opowiadanie: – Okazja do rozwinięcia tego całego interesu nadarzyła się, gdy doszło do spotkania pomiędzy Anatolem Baniem a dyrektorem Darskim. Dyrektor nie miał pojęcia o istnieniu starszego, przyrodniego brata. Widok łysawego blondyna z zaczeską mówiącego do niego per bracie musiał być nielichym szokiem. Ponieważ panowie mieli podobne charaktery, szybko doszli do porozumienia. Opracowali plan doskonale. Dużo wcześniej na polecenie dyrektora Zdebski wyprowadził z firmy część polis. Dyrektor przewidywał, że prędzej czy później się przydadzą. Przydały się bardzo. Anatol był niezwykle prężnym agentem. Trzydzieści procent tego, co zebrał, miał dla siebie, resztą dzielił się dyrektor ze Zdebskim. Było czym. Żeby się zabezpieczyć, z myślą o przyszłości, Anatol od początku fotografował wszystkie wystawione przez siebie polisy. Fotografował też listy klientów z zamiarami sporządzane przez dyrektora. Na jednym ze zdjęć są nawet poukładane na trzy równe kupki pieniądze, pula do podziału. Gdy zdarzyła się jakaś szkoda, całą od początku do końca zajmował się Zdebski, wypłacając odszkodowanie w domu klienta, tak żeby nikt o niczym nie wiedział. Mieli szczęście, że trafili na stosunkowo mało szkodowych klientów. Tak to leciało, miesiąc po miesiącu. Anatol oficjalnie szkolił się na agenta ubezpieczeniowego. Bał się, że ktoś może się zorientować w prowadzonym przez niego procederze i narobić kłopotów. A tak pokaże licencję, dyrektor sprawę zatuszuje i będzie dobrze. W międzyczasie Anatol doszedł do wniosku, że pieniądze z polis to za mało. Zachciało mu się więcej. Rozeznał się w sytuacji. Manuela romansowała ostro z dyrektorem, jednocześnie omotała kierownika. Nie była aż tak niewinna, jak przedstawiała. Kierownik, Teoś, też jej w głowie zawrócił. Przynajmniej w czasie wizyt w gabinecie nie poświęcała się zbyt. Żeby tego było mało, Anatol uparł się, że jak inni mogą, to i on też. Tym narobił kłopotów. Było przymknąć oczy. Ponieważ Manuela chciała wy badać, o co mu naprawdę chodzi, okazała zainteresowanie, a potem to już samo poszło. – Komisarz złapał oddech i wypił duszkiem sok ze świeżych pomarańczy z lodem, po czym kontynuował wątek: – Panowie umówili się na piątek po południu. To dyrektor dzwonił do Anatola. Dlatego Anatol był cały dzień taki zdenerwowany. Darski miał przynieść potwierdzenie wykonania przelewu na konto Anatola. Oczywiście nie przyniósł. W księgowości kłócili się i targowali, na przemian. Anatol koniecznie potrzebował dużej gotówki. Chciał pomóc koledze i jednocześnie zainwestować w dobry interes. Anatol przegiął, dotykając prywatnych spraw młodszego brata. Potem to już tylko była lawina zdarzeń.

– No dobrze, Kaziu! – Bożenka do tej pory siedziała cicho. Teraz chciała wiedzieć więcej. – Czyli, jak rozumiem, alarm jednak był wyłączony?

– To prawda, pan Józef się przyznał, że jak robił obchód, to nie włączył. Te narodziny wnuka kompletnie wyprowadziły go z równowagi. Jak się zorientował, to po prostu włączył wieczorem. Tyle. Róża nie zareagowała na dyrektora Darskiego, znała go od lat. Anatol też nie był jej obcy. W taki sposób wszedł i wyszedł dyrektor. Nastawił klimatyzację. Nożyk zgubił w czasie przeszukiwania księgowości. Anatol mu nazmyślał, że dowody ich współpracy ukrył właśnie w księgowości, stąd te poszukiwania potem u pani Aliny.

– Czyli dyrektorowi sprzyjał zbieg okoliczności – podsumowała Bożenka.

– Żebyś wiedziała, ale dla niego to się bardzo źle skończyło. Był piekielnie zazdrosny o Manuellę. Nawet mu do głowy nie przyszło, że ona go zdradza. I to z takim tłumem facetów! Postanowił pozbyć

się kierownika, który już i tak wiedział za dużo. Ostatnio zaczynał grozić rozmową z samym prezesem. Do tego dyrektor nie mógł dopuścić. Manuela cały czas twierdziła, że z kierownikiem spotyka się platonicznie, a tu takie rewelacje! Dyrektor postanowił pozbyć się rywala. Przyszedł wcześniej, kierownik już czekał na Manuellę, zaczęli spokojnie rozmawiać. Darski wyciągnął czekoladkę nafaszerowaną trucizną. Trucizna działała wolno, czas przybycia Manuely się zbliżał. Dyrektor nie wytrzymał nerwowo i zaczął dusić już mocno otumanionego kierownika. Poszło łatwo. Po chwili Teodor Bryś-Kowalski już nie żył. Darski ułożył go na ławce i na twarz położył mu bukiet zarczynowych róż. Spieszył się, Manuela powinna była lada moment przyjść. Nie zauważył stojącej za ławką czarnej, skórzanej torby kierownika. Bał się spotkania z Manuellą. Potem mógł udawać, że o niczym nie wie. Teczkę wraz z zawartością zabrał Zdebski. Śledził Manuellę, widział, co się stało, podszedł bliżej. Był przekonany, że to Manuela zabiła kierownika. Dlatego podrzucił jej do mieszkania obciążające dowody. Polisy ukrył w garażu. Miał nadzieję, że kiedyś jeszcze się przydadzą. Swobodnie mógł wygospodarować pół godziny pomiędzy oględzinami. Klienci nie potrafili podać dokładnie czasu, w jakim u nich był. Zdebski jest głupi, ale nie aż tak – stwierdził komisarz. – Zaczął kojarzyć fakty i bać się. W czwartek śledził dyrektora. Widział, jak spotyka się z Elwirą Banysiową na działce. Czekał długo, widział, jak z altanki, cała zapłakana wychodzi pani Elwira. Czekał, kiedy wyjdzie dyrektor. Nie doczekał się. Wiedział więc doskonale, że dyrektora zabiła Elwira Banysiowa. Zresztą po tym, co usłyszała, to ja się jej specjalnie nie dziwię – dodał komisarz.

– Czyli było to morderstwo w afekcie – stwierdziła zadowolona Marzenka.

– Zgadza się – potwierdził komisarz.

– Cały czas twierdziłaś, że to nie Manuela zabiła kierownika. Dlaczego to jej uwierzyłeś? – zapytała Bożenka, cała zaróżowiona z emocji i wpatrzona z uwielbieniem w opowiadającego Kazia.

– Świadkowie. Widzicie, Manuela nie wiedziała o zeznaniach Jaśka Banysia. On przecież widział kierownika najpierw leżącego na ławeczce z twarzą zakrytą różami, a potem leżącego, ale już bez róż. Czyli musiał być odstęp czasowy. Gdyby Manuela zabiła kierownika, to wzięłaby róże szybko, nie nakrywałaby nimi jego twarzy, bo po co? To, co mówi ona, zgadza się z tym, co mówi Jasiek, a jemu jednak wierzę. Teraz chłopak jest w stanie szoku, myśli tylko o ratowaniu mamy.

– A dlaczego Elwira Banysiowa zabiła dyrektora i co się stało z porschem? – zapytał rozmarzonym głosem doktor Ziębiński. Zawsze marzył o takim wypasionym samochodzie.

– Romek, zejdź na ziemię, koszty utrzymania by cię zjadły – dogryzł mu komisarz.

– A cóż to, pomarzyć nie można? – obruszył się patolog.

– Ja też marzę – uśmiechnęła się Marzenka.

– O czym? – zechciał się dowiedzieć nagle posmutniały Tomek Kulik. Siedział przez całą kolację milczący, słuchał wywodów komisarza, jednocześnie błędząc myślami gdzieś daleko. Nie uszedł jego uwagi wzrok Marzenki wpatrzony w doktora Ziębińskiego. Chciał walczyć, ale widział, że jego szanse maleją w zastraszającym tempie.

Atmosfera była bardzo przyjemna, rozleniwiająca. Świeczka paliła się równym płomieniem, wino w kieliszkach mieniło się odcieniami czerwieni. Było przytulnie, sala szemrała cicho, ludzie odpoczywali. Komisarz wziął się w garść. Czekają go najważniejsze, relacja Elwiry Banysiowej.

Wyjął dyktafon z kieszeni, włączył. Wszyscy nachylili się nad stolikiem, aż głowy Marzenki i doktora Ziębińskiego się zetknęły. Tomek Kulik poderwał się i jak rażony piorunem pobiegł ku wyjściu, nawet nie przepaszając. Komisarz w mgnieniu oka pojął, co się wydarzyło, ale nie dał po sobie poznać. Spokojnie słuchał monotonnego głosu pani Elwiry:

– W czwartek, po południu, zadzwonił do mnie Darski. Panie komisarzu, niech mi pan uwierzy, to był bardzo zły człowiek...

– Ale dlaczego od razu zabijać? – zapytał komisarz Jodła. – Trzeba było zadzwonić do mnie, zrobilibyśmy zasadzkę. Byłoby po krzyku, przyznanie się do winy, prokurator, sąd, kara. To są normalne procedury, a nie tak niszczyć sobie i synowi życie – powiedziała z naganą w głosie.

– Trudno... ja go nie chciałam zabijać, ale jak tak się śmiał... no to nie wytrzymałam.

– Proszę po kolei.

– Po kolei to było tak, że drań zadzwonił i chciał się umówić w jakimś ustronnym miejscu. Na działce. Wiedział, że mam działkę, pewnie mu Anatol pokazał. No to się umówiłam. Byłam ciekawa, co powie, ale potem to już tylko było gorzej. Chciał ode mnie jakichś dokumentów, papierów. Zapytałam, o co chodzi. „Chodzi o dowody przekrętów Anatola!”. Na te słowa zdenerwowałam się. Anatol się w grobie przewraca, a temu chodzi o jakieś dokumenty! Powiedziałam, że nic nie wiem. Krzyczał na mnie strasznie. Potem zaczął przeszukiwać działkę, grzebać w altanie. Jak w amoku – mówiła powoli Banysiowa, wyraz po wyrazie, zastanawiając się. – Nie mogę powiedzieć, że nic nie wiedziałam, ale o tej zdzirze Manuelei nie miałam pojęcia! Anatol coraz częściej przychodził do domu. Myślałam, że wróci, a tu wiadomość o chorobie, potem o tych kradzieżach i na dobitkę o romansie! To było straszne – westchnęła głęboko i zamilkła.

– Czy dyrektor powiedział pani, kto zabił Anatola i kierownika? – zapytał komisarz.

– Cały czas mówił, że przez tych głupków padł mu taki złoty interes. Groził kierownikowi, ten zorientował się we wszystkim i chciał donieść prezesowi. Jak to powiedział Darski: „Nie było wyjścia, musiałem zabić”.

– Czyli alibi wystawione przez pracowników było nic niewarte! – wykrzyknęła Marzenka.

– To prawda, ci ludzie są potwornie zastraszeni. On im nawet nic nie musiał mówić, po prostu nikt się nie odważył powiedzieć prawdy, że akurat w czasie zabójstwa kierownika mieli czas na ćwiczenia prowadzone przez jedną z pracownic. Nawet nie mieli odwagi myśleć, że za wszystkimi morderstwami stoi dyrektor. Słuchajcie dalej. – Komisarz z powrotem włączył dyktafon.

– Gadał tak i gadał, a ja się czułam coraz gorzej, był taki triumfujący. Twierdził, że policja nie jest w stanie mu niczego udowodnić, że gdyby trzeba było, to zabiłby jeszcze raz. Taki bezczelny! – zdenerwowała się Banysiowa. – Musiałam zareagować, chciałam go tylko uciszyć – powiedziała już spokojnie.

– To go pani uciszyła, tylko dlaczego go pani tak poowijała w te koce? Trzeba było nas zawiadomić. Na pewno byłby łagodny wymiar kary ze względu na emocje, jakie panią kierowały.

– Może i tak. Myślałam, że poleży na tej działce, coś wymyślę... nie wiem... nie mam pojęcia, dlaczego tak zrobiłam. Potem to tylko myślałam i myślałam. Jak zobaczyłam tę kartkę od Jaśka, to ogarnęły mnie złe przeczucia. Myślałam, że jak Jasiek wróci, to się dowiem. Może faktycznie tylko na wycieczkę pojechał? Ale nie, on dobre dziecko, chciał matce pomóc. – Banysiowa rozplakała się, szlochała tak przez parę minut.

Komisarz przewinął dyktafon i puścił końcowe zeznania:

– Teraz jest mi trochę żal, że ten drań nie żyje. W więzieniu miałby gorzej, a tak to ma święty spokój.

– Czym go pani zabiła? – zapytał policjant.

– Młotkiem, takim małym, leżał akurat pod ręką. Jasiek się nie nadaje do takich robót, a ja chciałam zawiesić obrazki. Po ostatnich porządkach odłożyłam trochę do przewiezienia na działkę. Niech cieszą

oczy. Ten młoteczek tak leżał, nawet nie pomyślałam, co robię. Siedział taki rozwalony na tym stołku i kiwał nogą tak lekceważąco... Nie wytrzymałam, nerwy mi puściły. W sumie mało co pamiętam – zeznawała dalej.

– A co z samochodem, pani Banysiowa?

– Nie było. Jak wyszłam, pozamykałam altankę, mało ludzi było, ciemno bardzo, ale samochodu na pewno nie widziałam. Nie wiem, może stanął gdzieś dalej? Ten Darski zniszczył nasze życie, nawet trudno mi powiedzieć, żeby spoczywał w spokoju – podsumowała z goryczą.

– Skąd Zdebski wiedział o wizycie dyrektora na działce?

– Ten sługus wszystko wiedział, śledził go. Tak sobie myślę, że o ten samochód to niech pan komisarz jego zapyta. Pewnie będzie wiedział, gdzie jest. Ja mam tyle do powiedzenia, tylko mi syna szkoda, więcej nic – westchnęła, a komisarz wyłączył dyktafon.

Wszyscy siedzieli zamyśleni. Zagadka potrójnego morderstwa i licznych przekrętów w firmie ubezpieczeniowej została rozwiązana. Jedyną osobą, która miała ponieść karę, oprócz Zdebskiego, była pani Elwira. Komisarz miał nadzieję, że sąd użyje wobec niej nadzwyczajnego złagodzenia kary ze względu na okoliczności, ale pewności nie miał.

– No cóż, pożyjemy, zobaczymy, co będzie dalej.

Z zamyślenia wyrwał ich jakiś dziwnie radosny głos doktora Ziębińskiego:

– Dziękuję wam wszystkim za miłe towarzystwo!

Komisarz zęgnął się z obecnymi kurtuazyjnie. Żał mu było Tomka, ale na miłość lub jej brak niestety nie miał wpływu. Wychodzili z Mikada trochę smutni, trochę zmęczeni, z szumem w głowach. Komisarz myślał o czekającej go jeszcze drodze do domu, całe piętnaście kilometrów.

Odprowadził Bożenkę. Prawie nie rozmawiali, przytuleni. Powoli wchodzili po schodach, nadal objęci. Przystanęli pod drzwiami mieszkania, Bożenka wsunęła klucze w zamek, przekręciła. Komisarzowi wydawało się, że wszystkie te czynności trwają wieki. Wiedział, że powinien się pożegnać, ale nadal stał w progu. Czekał, co powie Bożenka. Ucieszył się, gdy usłyszał:

– Kaziu?! Dlaczego nie wchodzisz? Chyba już najwyższy czas zaryzykować!

KONIEC

Wszystkie osoby oraz firmy występujące w tej książce stanowią fikcję literacką. Jak wiadomo, firma ubezpieczeniowa prosperująca w opisany przez autorkę sposób nie utrzymałaby się na rynku nawet przez rok, a istniejące systemy kontroli odkryłyby takie „kanty” w pięć sekund.

PODZIĘKOWANIA

Chcę serdecznie podziękować moim bliskim i przyjaciołom za ich nieocenioną pomoc i wsparcie, jakże potrzebne w momentach zwątpienia i rezygnacji. Dziękuję mojej Mamie za optymizm i wiarę w spełnienie marzeń oraz odrzucenie po siedmiu przeczytanych stronach pierwszej wersji *Wszystkich grzechów nieboszczyka* – jak zawsze miała rację.

Dziękuję Stasi, Zosi, Agatce i Łucji za pierwsze recenzje i twórcze pomysły oraz pomoc w pokonywaniu trudności i inspirującą obecność. Ewie i Darkowi za przyjaźń i mobilizujący doping. Joli za powiedzenie „Przeżywał jak stonka wykopki” – weszło na stałe do mojego słownika.

Zadebiutowałam w grudniu 2012 roku i do dzisiaj pamiętam treść, jaka mi wtedy towarzyszyła. Pamiętam też, że *Wszystkie grzechy nieboszczyka* zostały ciepło przyjęte przez Czytelników, co dało mi impuls do dalszego pisania. Nie mniejsza trema towarzyszy mi dziś, przy drugim, nieco poprawionym, wydaniu *Wszystkich grzechów nieboszczyka*. Niech się dobrze czyta.

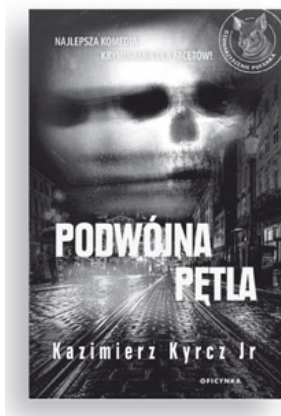
Dziękuję wydawnictwu Oficynka za miłą współpracę, jeszcze raz dziękuję mojej Mamie – za każdy wspólny dzień, a Czytelnikom za wiele lat życzliwej obecności i pytania o kolejne premiery.

Wszystko jeszcze przed nami!

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delectować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

tel. 510 043 387



SPIS TREŚCI:

[Okladka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Wszystkie grzechy nieboszczyka](#)

[Podziękowania](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © Oficynka & Iwona Mejza, Gdańsk 2022

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie drugie w języku polskim, Gdańsk 2022

Opracowanie redakcyjne: zespół

Korekta: Joanna Nowak

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce: © Oleksandr Grechin/shutterstock.com,

© Larisa Rusina/shutterstock.com,

© Ractapopulous/pixabay © PellissierJP/pixabay

ISBN 978-83-67204-21-7



www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

<tel:691962519>

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek